WYWIAD Z AUTORKĄ PRZEŁOMOWEJ KSIĄŻKI

Pandemia „transpłciowości” – jak uchronić przed nią dzieci?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 22/529 29 MAJA–4 CZERWCA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Semka o wojnie Morawieckiego z Ziobrą

Czy nad Polskę dotarła radioaktywna chmura?

Światowa kariera na antypolonizmie

BARBARA ENGELKING OD LAT SPECJALIZUJE SIĘ W OBWINIANIU POLAKÓW O UDZIAŁ W HOLOKAUŚCIE. I JEST ZA TO NAGRADZANA

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 22 >
Nakład: 52 000 egzemplarzy

POLSKA
WIELKI PROJEKT

XIII Kongres PWP

SUWERENNOŚĆ

2-4.06.23

Arkady Kubickiego

Morawiecki
Krasnodębski
Legutko
Eberstadt
Roszkowski
Fabry
Burbridge

- Globalna przebudowa. Konsekwencje wojny na Ukrainie dla ładu europejskiego i światowego
- Podmiotowość gospodarcza w Unii Europejskiej
- Regionalne odpowiedzi na neoimperializm
- Polska i Francja - nowe przywództwo w Europie?
- Made in Poland – polski sukces za granicą
- Sprawiedliwy pokój – reparacje, zadośćuczynienie, pojednanie
- Źródła nadziei – przyszłość konserwatyzmu
- Dokąd zmierzasz, uniwersytecie?
- Zielone miasta przyszłości
- Wojna i kultura

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

Partnerzy i darczyńcy strategiczni: Bank Polski, PZU, Fundacja KGHM Polska Miedź

Partnerzy i darczyńcy główni: Totalizator Sportowy, arp, Orlen Fundacja, BGK Bank Gospodarstwa Krajowego

Partnerzy i darczyńcy: New Direction, grupa Azoty, Enea, KGHM Polska Miedź, PZU Fundacja, Fundacja, PGE Polska Grupa Energetyczna, Centrum Rozwoju Przemysłów Kreatywnych, Krajowa Grupa Spożywcza, Bank Pekao, Bank Pekao Fundacja, Fundacja BGK, fundacja arp, NIW, TAURON

Patronat medialny: TVP Telewizja Polska, Polskie Radio, Polskie Radio 24, TVP Info, TVP World, i.PL, SIECI, wPolityce.pl, Do Rzeczy, Audytorium 17 Regionalne Rozgłośnie Polskiego Radia, deliberatio, Wszystko co najważniejsze, Trójmorze

eprasa.pl 6f270c1a94

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Eksperci i podżegacze

Osobliwą cechą debaty na temat agresji Rosji na Ukrainę jest to, że kompletnie zatarły się w niej, przynajmniej tak jest w Polsce, role. Zniknęli analitycy i eksperci, czyli ludzie badający fakty i budujący scenariusze przyszłości na podstawie danych i oceny realnych sił, bo zastąpili ich prestidigatorzy, twórcy wizji i budowniczowie utopii, których głównym celem jest dodawanie ducha i uwodzenie opinii publicznej. Dla nich nie ma nic niemożliwego, a każdy przejaw rozsądku jest podejrzany i dwuznaczny. Liczy się tylko jedno: pokonanie Moskwy. Doskonałą ilustracją tej polskiej postawy uniesienia – powtarzam, dotknęła ona ogół polskich mediów – jest wywiad, który przeczytałem w „Gazecie Wyborczej" z niejakim doktorem Malcolmem Davisem. Został on przedstawiony jako analityk think tanku Australian Strategic Policy Institute, ekspert od technologii wojskowych, były pracownik australijskiego Departamentu Obrony.

Otóż w tym wywiadzie australijski ekspert i analityk namawia do „podjęcia ryzyka". Dlaczego wybrałem ten wywiad spośród morza podobnych mu, które codziennie zalewają łamy prasy i ekrany portali? Bo pan Davis przynajmniej nie udaje i bez żadnych skrupułów mówi, na czym „podjęcie ryzyka" ma polegać. Stwierdza: „Boimy się, że jeśli pójdziemy za daleko, to Rosjanie użyją w Ukrainie taktycznych pocisków nuklearnych. Tak istotnie może się stać. Ale nie możemy pozwolić na to, by strach powstrzymywał naszą pomoc dla Ukrainy". Nie możemy pozwolić! Strach nie może nas ograniczać! Bać się pocisków nuklearnych? Toż to tchórzostwo!

I dodaje: „Trzeba jasno stwierdzić, że jakikolwiek scenariusz, w którym Rosja utrzymuje okupację terytoriów Ukrainy w Donbasie, Zaporożu czy na Krymie, jest niedopuszczalny. Zatem pierwszym warunkiem definicji jest odzyskanie przez Ukrainę wszystkich ziem w granicach z 1991 r. Nie można pozwolić na jakiekolwiek negocjacje czy rozejm, który zamraża wojnę i daje Rosjanom czas na odbudowanie, i zezwala jej na kontrolowanie nielegalnie zaanektowanych terenów".

Właściwie w tych kilku zdaniach pan Davis jasno powiedział, o co chodzi Zachodowi: Rosja ma utracić – to jest warunek sine qua non – wszystkie tereny, które zajęła po 1991 r. Brzmi pięknie. W przeciwieństwie jednak do wielu polskich autorów, którzy zgłaszają podobne postulaty, milcząc na temat ryzyka, pan Davis nie waha się mówić o cenie i kosztach. „Nie powinniśmy wykluczać tej możliwości [wybuchu wojny atomowej]. Moim zdaniem zbyt wielu ludzi to robi". Ale to nie powinno powstrzymać w żadnym razie Zachodu – dodaje.

Cóż, wydaje się, że po tych deklaracjach każdy powinien sobie zadać kilka pytań. Pierwsze to: Skąd bierze się w panu Davisie ta moc wygłaszania imperatywów? Nie możemy, nie powinniśmy, nie pozwolimy. Czy tak mówi analityk czy prorok? Ale dziwny to prorok. Bo czy jest czymś godziwym, by namawiać do wojny nuklearnej na Ukrainie i w konsekwencji może w Polsce, siedząc na co dzień w Australii? Nie da się nie zauważyć, że gdyby ten scenariusz, który pan Davis, a jak rozumiem wraz z nim wielu innych anglosaskich analityków, bierze pod uwagę i do którego realizacji zachęca nas też „GW", miał się ziścić, to użycie taktycznych pocisków nuklearnych zapewne nie zostałoby ograniczone do terenów Ukrainy. Czy wypowiadanie tego rodzaju opinii, których konsekwencją może być masowa śmierć, gdy siedzi się bezpiecznie za oceanem, jest czymś właściwym? Zakładam przy tym, że mówiąc o taktycznej broni nuklearnej tak ja, jak pan Davis i sekundująca mu „GW", mamy na myśli to samo: broń masowej zagłady.

Poza tym, co też ma związek z moralnością, pojawia się inne pytanie: Kim jest ten Zachód i to „my", w imieniu którego wypowiada się pan Davis, zachęcając Ukraińców do walki? Rozumiem, że chodzi o Australię, zapewne o USA i Wielką Brytanię – dziwnym trafem państwa stosunkowo mało, by nie powiedzieć wcale, niezagrożone efektami użycia broni nuklearnej na Ukrainie i wokół niej. Osobliwy to naprawdę nauczyciel.

Żałuję tylko jednego: w tym skądinąd dużym wywiadzie zabrakło mi pytania o skalę strat ludzkich, które bierze pod uwagę pan Davis, żeby zrealizować plan, jaki wypracował dla Ukrainy i Ukraińców. Bardzo bym chciał usłyszeć, ile ofiar pocisków nuklearnych – w pierwszej kolejności na Ukrainie, ale zapewne także w innych, graniczących z nią państwach, w tym w Polsce – jest potrzebnych, żeby udało się nie zamrozić wojny i nie dać czasu Rosji. Szkoda, że „GW" nie tylko sama nie zadała takiego pytania, lecz także nawet nie uzupełniła wywiadu o stosowny wykres lub tabelkę. Pan Davis na pewno był gotów przygotować właściwe wyliczenia. ©℗

eprasa.pl 6f270c1a94

TEMAT TYGODNIA

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ENGELKING NA MIARĘ POTRZEB
Kariera dzięki „udowadnianiu" kłamstwa

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
PRZECIĄGANIE LINY
STAN NAPIĘCIA W ZJEDNOCZONEJ PRAWICY

26 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
WALCZYMY O CAŁĄ PULĘ

28 TOMASZ ROWIŃSKI
NIECH SZUM MEDIALNY NIE PRZESŁANIA FAKTÓW

30 ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM SOLECKIM
URAN NA UKRAINIE, NIEPOKÓJ W POLSCE

RAPORT

32 ROZMOWA Z ABIGAIL SHRIER
PANDEMIA „TRANSPŁCIOWOŚCI"
Dzieci w szponach ideologów gender

36 ZUZANNA DĄBROWSKA
PODZIEMIE ZŁAMANYCH ŻYĆ

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
W BOHEMII, CZYLI NIGDZIE
Czeski bohater narodowy na ekranie

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ŁUKASZ WARZECHA
CO DALEJ Z UKRAINĄ?
Pokojowe plany Pekinu i Watykanu

50 ROZMOWA Z O. DR. MICHAŁEM CHABERKIEM OP
DARWIN SIĘ MYLIŁ

HISTORIA

54 ROZMOWA Z WIKTOREM KRAJEWSKIM
KOCHAŁ, BIŁ I KRADŁ
Kalibabka oficjalnie miał 28 dzieci

ŚWIAT

58 JACEK PRZYBYLSKI
KTO POKONA BIDENA?
Kwestia Ukrainy może przesądzić o wynikach wyborów za oceanem

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
ROSJANIE NAPADLI NA ROSJĘ

66 JAN BOGATKO
NIEMIECKIE GENDEROWANIE

EKONOMIA

68 JAKUB WOZINSKI
GŁODZENIE SAMORZĄDÓW
Rząd kontra samorządowa opozycja

PODRÓŻE

72 JACEK PAŁKIEWICZ
HARTOWANIE LIDERÓW
Pokonać własne słabości

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (56), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 6f270c1a94

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Jak by to było, gdyby...

Szanowni Państwo,
z wielką przyjemnością piszę do Was. Od wielu lat czytam „Do Rzeczy" i „Historię Do Rzeczy" (w tym miejscu chciałbym wyrazić swój wielki żal z powodu śmierci śp. Pana Macieja, którego bardzo ceniłem i pamiętam jeszcze z czasów, gdy redagował dodatek historyczny w „Rzeczpospolitej").

Moim zdaniem jesteście najlepszym tego rodzaju tygodnikiem w Polsce. Wasze opinie są wyważone i odważne. Mało tego – na Waszych łamach spotyka się częstokroć różne opinie na ten sam temat, co już samo w sobie jest godne pochwały. Wielka w tym zasługa Szefa Pana Pawła.

Wszystkie artykuły są doskonałe (choć nie ze wszystkimi zgadzam się w 100 proc.) i naprawdę trudno kogokolwiek wyróżnić. Niemniej nie mogę odmówić sobie kilku słów do Pana Krzysztofa Masłonia: Panie Krzysztofie, dobrze, że Pan jest, bo gdyby Pana nie było, to nie wiem, co by było.

Szkoda, że macie tylko osiemdziesiąt kilka stron. Jeśli chodzi o mnie, to mogłoby być i 100. Chętnie zapłacę więcej.

Wszystkich Państwa serdecznie pozdrawiam i życzę wszystkiego najlepszego.

Andrzej Maćkowiak

Wyjaśnienie

Do wywiadu („Gospodarcze tsunami", „Do Rzeczy" nr 19/2023), którego udzieliłem Tomaszowi Rowińskiemu, wkradł się błąd. Podając cenę emisji CO_2, podałem kwotę 300 euro za tonę, podczas gdy chodziło o 102 euro.
Za pomyłkę przepraszam.

prof. Zbigniew Krysiak

NEKROLOG

W dniu 12 marca 2023 r.
w wieku 61 lat zmarła

ŚP.

MAŁGORZATA KRATA-GÓRSKA

Lekarz, specjalista chorób wewnętrznych, kardiolog.

Absolwentka Akademii Medycznej w Łodzi (1986 r.).

Patriotka polska, wnuczka Żołnierza Niezłomnego, współzałożycielka Porozumienia Centrum w Piszu.

Wieloletnia czytelniczka „Do Rzeczy".

Pochowana w grobie rodzinnym na cmentarzu św. Rocha (Radogoszcz) w Łodzi.

Spoczywaj w pokoju

Pogrążeni w żalu
mąż Andrzej i synowie Karol i Michał

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Andrzej Iwańczuk/REPORTER**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY
PRZEZ KOMISJĘ KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

eprasa.pl 6f270c1a94

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Rozgrzani sędziowie znowu w akcji

Skazanie Rafała Ziemkiewicza i Magdy Ogórek na grzywnę – po 10 tys. zł – to kolejny przykład zagrożenia wolności słowa. Wyrok sądu nakazuje publicystom zapłatę grzywny za to, że cztery lata temu w programie „W tyle wizji" mieli według sądu „podważać kompetencje i bezstronność Elżbiety Podleśnej". Tym, którzy już zapomnieli, przypominam, że Ewa Podleśna jest psychologiem i psychoterapeutką, która stała na czele agresywnie zachowujących się demonstrantów, którzy zebrali się pod gmachem TVP przy warszawskim placu Powstańców. Nie tylko demonstrowali, lecz także otoczyli samochód wychodzącej z gmachu TVP Magdy Ogórek i wykrzykiwali pod jej adresem obraźliwe słowa.

Fakt, że na czele tego agresywnego incydentu stała psycholog, której zadaniem jest łagodzić agresję, był wyjątkowo bulwersujący. Nic dziwnego, że Rafał i Magda w późniejszym programie „W tyle wizji" postanowili skomentować skandaliczne zachowanie pani Podleśnej. W żartobliwej konwencji podzielili się ze swoimi widzami opinią, że mają wrażenie, iż pani Podleśna „jako psycholog i psychoterapeutka przyprowadza swoich pacjentów na rozmaite eventy", a oni sami „zachowują się, jakby mieli pranie mózgu fachowo zrobione".

Teraz sąd traktuje ich dywagacje jak potwarz rzuconą terapeucie bez skazy. Tak nie jest – dyrygując demonstracją pod telewizją, pani Podleśna stała się osobą publiczną, której każde naganne zachowanie może być oceniane przy użyciu ostrych słów. Wyrok zapadł w sądzie drugiej instancji, jest już prawomocny. „Sąd uznał, że przekroczono dozwoloną krytykę, a ich słowa nie były oparte na prawdzie i podważyły zaufanie do Podleśnej jako psychoterapeutki" – podała adwokat i obrończyni praw człowieka Sylwia Gregorczyk-Abram.

Rafał Ziemkiewicz na Twitterze nazwał podtrzymanie wyroku „czymś więcej niż skandalem". Jak pisał: „Zobaczcie to w kontekście: banda agresywnych kodziarzy napada na wychodzącą z pracy dziennikarkę. Sąd uniewinnia prowodyrkę, która szczuła do tej napaści i przewodziła jej. Następnie to ona pozywa Ogórek za to, że na antenie opisała, co ją spotkało – i tu sądy w dwóch instancjach przyznają przywódczyni napaści rację i odszkodowanie. […] Za agresywnym zadymiarzem staje polityk w todze i łańcuchu z godłem RP, i zachęca: nie mitygujcie się, w razie czego zawsze was uniewinnimy. To coś więcej niż skandal, to niszczenie prawa i porządku publicznego" – skomentował.

Podejrzenie, że sędziowie to cisi sojusznicy awanturników z demonstracji KOD, było żywe już od paru lat. Wyrok na Rafała i Magdę to wrażenie tylko potwierdza. ©℗

FOT. STIAN LYSBERG SOLUM/NTB/PAP

POKAZ SIŁY USA. USS „GERALD R. FORD" W EUROPIE

Największy lotniskowiec świata mierzy 333 m długości i 76 m wysokości. Na okręcie o wyporności ponad 100 tys. ton służy zaś ponad 4,5 tys. ludzi. USS „Gerald R. Ford", który w ubiegłym tygodniu pierwszy raz w historii zawinął do portu w Oslo, wzbudził zachwyt Norwegów i wściekłość Rosjan. „Takie demonstracje siły wydają się nielogiczne i szkodliwe" – narzekali rosyjscy dyplomaci w Oslo. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 6f270c1a94

AKADEMIA NBP
NARODOWY BANK POLSKI

AKADEMIA
KOPERNIKAŃSKA

STUDIA MBA

Narodowy Bank Polski informuje:

Szkoła Główna Mikołaja Kopernika i Narodowy Bank Polski rozpoczynają rekrutację na roczne studia podyplomowe MBA:

Bankowość i system finansowy

Studia Master of Business Administration przybliżą:

- funkcjonowanie systemu bankowego w gospodarce, w tym zadania banku centralnego,
- wybrane aspekty działalności banków komercyjnych,
- funkcjonowanie rynków finansowych, w tym zarządzanie portfelem inwestycyjnym i ryzykiem rynkowym.

Wykłady rozpoczną się już w czerwcu 2023 r. w Warszawie i będą prowadzone przez wykładowców z Polski i z zagranicy.

Projekt realizowany przy wsparciu Akademii NBP oraz Akademii Kopernikańskiej.

Zgłoś się już dziś!

Więcej informacji na:
akademia.nbp.pl oraz sgmk.edu.pl

NARODOWY BANK POLSKI

SZKOŁA GŁÓWNA
MIKOŁAJA KOPERNIKA

eprasa.pl 6f270c1a94

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

A jednak!

Kiedy półtorej dekady temu pisałem „Michnikowszczyznę", napuszone przestrogi przed faszyzmem, którymi sypał był przez całe lata 90. jej bohater, wydawały mi się groteskowo oderwane od rzeczywistości. Dziś muszę przyznać, że nie do końca miałem rację. Czarne sny redaktora Michnika jednak się spełniają, i to w wersji – z jego punktu widzenia – jeszcze czarniejszej, niż je kiedyś śnił. Spełniają się bowiem nie na prawicy, którą straszył przez tyle lat, ale w jego własnym obozie, z jego i jego gazety aktywnym udziałem.

Czego bał się Michnik? Frustratów odrzuconych w demokratycznych procedurach przez społeczeństwo. Że nie potrafiąc się pogodzić z wyrokiem historii, będą próbowali sięgać po przemoc. Bał się takich ludzi jak Roman Giertych, rewitalizujący przedwojenne ruchy narodowo-radykalne. I rzeczywiście, Giertych odgrywa dziś złowrogą rolę w życiu politycznym: na jego mediach społecznościowych aż kipi od przemocowych fantazji o wieszaniu, defenestrowaniu i wszelkich represjach. Ale to tylko frustrat pomniejszy: jest groźniejszy „wódz", zapowiadający otwarcie, że nie pogodzi się z kolejną wyborczą przegraną, i już, z góry, podważając wybory jako sfałszowane, obiecujący, że poprowadzi „silnych ludzi", którzy legalne władze będą „wyprowadzać" z gmachów i „zmuszą do współpracy" prezydenta, gdyby chciał przeciwko takim metodom protestować. Bał się Michnik, że ofiarą zemsty staną się także „ci, co nie dość gorliwie przyklaskują wieszającym". Nie używał określenia „symetryści", ale przecież wyprorokował ich. Wrogiem agresywnych frustratów są już nie tylko ci, którzy odsunęli ich od władzy, lecz także coraz bardziej „zdrajcy" we własnym obozie, kwestionujący – jak to się nazywa w mowie naszych protektorów w UE – „führerprinzip" owego lidera od „silnych ludzi".

Tylko że wszystko to – i tu jednak ja miałem rację – nie na umownej prawicy, tylko w obozie Michnika. To jego gazeta młotkuje dziś polityków opozycji niechcących się bezwarunkowo poddać wodzowi i „symetrystów", i to jego obóz przytulił wyplutego przez prawicę Giertycha. Ciekawie wyszło. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Dwoje przywódców

Lady Margaret Thatcher przeszła długą drogę, kierując polityką Zjednoczonego Królestwa. Objąwszy stanowisko premiera, była przekonana – o czym potem otwarcie pisała we wspomnieniach – że Wspólnota Europejska to bardzo dobry projekt otwarcia rynków, wolnego handlu i dialogu między narodami Europy. Kończyła natomiast swe urzędowanie przemówieniem w Brugii, przestrzegając przed powstawaniem europejskiego superpaństwa i unifikacją walutową.

Odwrotną drogę w tym samym czasie przeszedł Jacques Chirac. W 1976 r. zrezygnował z kierowania rządem wskutek różnic z prezydentem Giscardem d'Estaing. Przekształcił ruch gaullistowski w Zgromadzenie na rzecz Republiki i wygłosił słynny apel z Cochin, w którym piętnował „partię zagranicy", zgadzającą się na zwiększenie kompetencji organów wspólnotowych, w tym Parlamentu Europejskiego, w którym przecież Francję wtedy reprezentowało „jedynie" (jak wówczas uważał) 25 proc. posłów.

Potem Chirac poszedł w przeciwnym kierunku. Jako prezydent Republiki wzmacniał uprawnienia Unii Europejskiej. Kiedy Francuzi (tak jak Holendrzy) odrzucili w powszechnym głosowaniu Konstytucję dla Europy, Chirac ukoronował swą prezydenturę zmową rządów, że nad traktatem lizbońskim (będącym tą samą Konstytucją, tylko bez nazwy) nie będzie referendum w żadnym kraju Unii Europejskiej. Wyjątkiem była Irlandia, gdzie nie dało obejść się konstytucyjnego wymogu referendum w kwestiach europejskich.

Jak widać – można nie rozumieć i zrozumieć. I można rozumieć – i mieć w nosie wiedzę i przekonania. Werbalny radykalizm nie świadczy bynajmniej o sile zaangażowania, raczej o szukaniu rozgłosu w ramach cwanej „mądrości etapu". Równoległe historie premier Thatcher i prezydenta Chiraca to niejedyny dowód, który prawdę tę dokumentuje. Nie jedyny, ale nadzwyczaj pouczający. ©℗

eprasa.pl 6f270c1a94

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O faszystach w Turynie

W Turynie od 35 lat odbywa się Międzynarodowy Salon Książki. To festiwal literacki, który co roku przyciąga kilkaset tysięcy osób – czytelników, autorów, wydawców i krytyków. Odbywają się spotkania, dyskusje i prezentacje.

Odbyła się również – a właściwie nie odbyła się – prezentacja książki Eugenii Marii Roccelli pt. „Radykalna rodzina". Autorka jest córką arcyaktywistów Partii Radykalnej, którzy stanęli w pierwszym szeregu walki o prawo do rozwodu i aborcji. Poza tym, i w tym szkopuł, jest teraz ministrem ds. rodziny, narodzin i równouprawnienia. Sfrustrowany przegranymi wyborami obóz postępu uznał, że to doskonała okazja do kontestacji. Na sali pojawiła się co najmniej setka bojówkarzy progresistów, głównie feministek i ekofanatyków. Buczeniem i gwizdami nie dopuścili autorki do głosu. Na dodatek feministki dla jakichś powodów dokonały aktu samoobnażenia.

Gdy policja chciała wyrzucić tę hałastrę, pani Roccella powstrzymała mundurowych, wyjaśniając, że w demokracji każdy ma prawo do wyrażania swoich poglądów. Zaprosiła kontestatorów do dyskusji, a także na estradę, żeby wyjaśnili, o co im chodzi. Na scenie pojawiła się młoda niewiasta, która nie potrafiła się jasno wyrazić, więc się poddała i sięgnęła po kartkę. Odczytała jakiś manifest, który trudno było zrozumieć, bo był napisany wykwintnym newspeakiem. Zaraz potem znów rozpoczęła się kocia muzyka – i na tym prezentacja się skończyła.

Włosi mogli sobie te żenujące sceny obejrzeć w każdej telewizji i przeczytać o nich w każdej gazecie. Co wiecej, partyjno-intelektualna czołówka postępowców stanęła murem za kontestatorami. Nowa szefowa Partii Demokratycznej Elly Schlein stwierdziła: „Prawica ma ogromne problemy z zaakceptowaniem krytyki". Na choćby jedno słowo krytyki nie zdobyła się „La Repubblica", z której każdy postępowiec dowiaduje się, jak myśleć i co robić. Pisarka Murgia ponownie stwierdziła, że obecny rząd jest rządem faszystów, więc wszelkie formy kontestacji są dozwolone. Jak można się domyślić – również faszystowskie. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 6f270c1a94

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

SMOCZY ODDECH MONIKI

Wieść gminna niesie, że Monika Richardson rozstała się z ukochanym. Nie ma więc w takiej sytuacji innego rozwiązania niż otworzyć swoje „trzecie oko", „wewnętrzne ja", swój „szósty zmysł" i zrelacjonować to na Instagramie. „Mam ogromną potrzebę zakończenia pewnego etapu w moim życiu, odcięcia różnych myśli, emocji i postaw,

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

które mi nie służą, uwolnienia serca z siatki powiązań, które już dawno powinny po prostu zniknąć. Chodzi wyłącznie o to, co we mnie samej. Ponieważ pierwszy raz w życiu poczułam to tak radykalnie, postanowiłam zwrócić się o pomoc do specjalisty". Chodzi może o terapeutę, psychologa? Skądże! „Zaprosiłam do siebie szamankę i jasnowidzkę na rytuał Smoczego Oddechu. Uwierzcie mi albo nie, dziewczyny wiedziały, co robią" – opisuje Richardson. „Było wypalanie żywym ogniem, był szamański bęben, dzwonki i śpiewy. Poszło. Coś się we mnie przewartościowało" – zapewnia prezenterka. Następnie dziękuje dwóm „specjalistkom" i wyznaje, że „zrobiły jej ochotę na dziewczyńską szamańską podróż. Może się uda?". Na inną planetę? Kibicujemy.

MYŚLIWI IDĄ DO SĄDU

Doigrała się. Kinga Rusin się doigrała. Ale od początku. Dawno temu, bo aż w 2018 r., dziennikarka opublikowała wpis, który uraził myśliwych. Ona sama przekonuje, że tylko „zachęcała do podpisywania petycji przeciwko strzelaniu do jeleni w czasie rykowiska", ale łowczy widzą to zupełnie inaczej. „Popularna ongiś gwiazdka telewizyjna próbowała przypomnieć o sobie postem, w którym strzelanie do jeleni w okresie rykowiska nazwała aktem niewyobrażalnego okrucieństwa, bezmyślności i krótkowzroczności, a same polowania określiła jako hańbę!" – czytamy w ich stanowisku. W związku z wpisem, który przedstawiciele Instytutu Analiz Środowiskowych zajmującego się m.in. obroną łowiectwa i myśliwych uznali za akt „publicznego pomawiania", pozwali Kingę Rusin. „Urażeni kłamliwymi słowami etyczni myśliwi, których wspiera Instytut Analiz Środowiskowych, postanowili nie odpuścić i, konsekwentnie, krok po kroku, doprowadzają oskarżoną przed oblicze wymiaru sprawiedliwości. Trzymamy kciuki i liczymy na to, że sąd nie okaże pobłażania dla szerzenia kłamstw, manipulacji i venatofobii" – wyjaśniają swoje stanowisko. Podobno finał sprawy jest bliski.

LINIA OBRONY

Kinga Rusin, rzecz jasna, winna się nie czuje i zapowiada walkę do upadłego z „lobby myśliwych". „Jestem przyzwyczajona do ataków myśliwych na mnie, dlatego raz jeszcze powtórzę to, pod czym podpisują się miliony Polaków: sprzeciwiamy się zabijaniu dzikich zwierząt dla rozrywki! Zabijanie DZIKICH zwierząt z zimną krwią i to jako hobby (!) to czyste okrucieństwo, a zwierzęta nie mają w tej nierównej walce szans. Nie mówimy tu o, czasami koniecznych, odstrzałach sanitarnych, ale o zabijaniu dla uciechy i trofeów" – czytamy na jej instagramowym profilu. „Myśliwi chyba sobie kpią, nazywając siebie w medialnych przekazach »prześladowaną mniejszością«. To wyjątkowo podłe i cyniczne nadużycie, biorąc pod uwagę prawdziwe problemy różnych mniejszości w naszym kraju. Akurat myśliwi to wyjątkowo uprzywilejowana grupa społeczna przypisująca sobie niejako prawo do decydowania o życiu i śmierci w naszych lasach" – grzmi była dziennikarka TVN. Dalej nie będę już państwa zanudzać – generalnie myśliwi źli, Kinga dobra itd., itp. Ja za to niezmiennie nie mogę wyjść z podziwu dla tego, jak gwiazda, wciąż podróżując po świecie (niedawno gościła w hiszpańskiej Andaluzji), ma głowę do ratowania naszej biednej Polski. Bohaterka.

TYLKO NIE KAZIMIERZ!

Niedawno Michał Wiśniewski po raz szósty został ojcem. Wszystkie jego pociechy (ma sześcioro dzieci z trzema kobietami) noszą dość niespotykane w Polsce imiona: to Xavier Michał, Fabienne Marta, Etiennette Anna, Vivienne Vienna, Falco Amadeus i Noël Cloé. Muzyk zupełnie nie rozumie powracających pytań o niestandardowe imiona. – Dla mnie to jakby ktoś miałby mi dyktować, że mój syn ma się nazywać Kazimierz. Proszę, nie – stwierdził „Wiśnia", sugerując, że imię Kazimierz i imiona jemu podobne (czytaj: tradycyjne polskie) to w ocenie wokalisty lekki przypał. – Moje dzieci mają normalne imiona, niewydziwaczone, nie mają w nich cyfr, nie są obraźliwe w żaden sposób, nie są udziwacznione, nie są wymyślone przez sztuczną inteligencję. Są bardzo kochane i mogą korzystać z drugiego imienia, które w pojęciu standardu są normalne – zapewnia Wiśniewski. – Czas pokazuje, że one nie mają do tego specjalnie pretensji. Bardzo często je pytam: „Chciałabyś się nazywać inaczej?". Odpowiadają, że nie – ucina dyskusję. Wszystko OK. Ale co właściwie jest nie tak z „Kazimierzem"?! ©℗

eprasa.pl 6f270c1a94

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, konto na Netflixie prawem, nie towarem! Przecież każdy z nas współdzieli użytkowanie tego najwyższego współczesnego dobra kultury z ludźmi poznanymi w internetach albo z frendami z kolektywu, z którymi nie prowadzi wspólnego gospodarstwa domowego.

A tu niestety do Netflixa dotarł późny kapitalizm, ze wszystkimi swoimi antyludzkimi obliczami, i podobno osoby użytkujące w Polsce otrzymują już informacje, iż Netflixa można udostępniać wyłącznie domownikom.

Dziwi nas ten model, bo to znów jest jakieś takie skryte promowanie tradycyjnej rodziny, ale po Netflixie byśmy się tego nie spodziewali. Przeciesh sami wiecie, iż jego produkcje są raczej progresywne. Dlatego też wydaje się nam, a nawet jesteśmy przekonani, iż jest to efekt wyraźnie zagęszczającej się atmosfery przedwyborczej.

Po prostu w tym kraju robi się za duszno i Netflix, wyczuwając to, postanowił nieco ugiąć się przed milczącymi naciskami ze strony sami wiecie kogo i wprowadzić takie nieprzyjazne rozwiązania. Inaczej pewnie byśmy w ogóle go nie mieli, no a przecież to jasne, iż dobrze, że jest.

A wiecie, dlaczego dobrze? Bo nikt tak jak Netflix nie przekłuwa nadętego balona naburmuszonej, staroświeckiej, do bólu patriarchalnej i heteronormatywnej polskiej kultury.

Otósh słuchajcie: podobno w kolejnym sezonie „Wiedźmina", czyli serialu opartego na serii popularnych… książek xD, osoba Jaskra – w oryginale okropnego heteronormatywnego uwodziciela, poety i muzyka – będzie miała romans nieheteronormatywny z postacią króla Radowida.

My of kors jesteśmy bardzo na tak. Jako iż kochamy wszelkie rekonstrukcje, nie chcielibyśmy poprzestawać na tylko takim jednym wątku, iż do zdekonstruowania zostało tam, nawet pomimo wysiłków Netflixa, całkiem sporo.

Przede wszystkim sam Wiedźmin. No popatrzcie sami – płatny zabójca potworów, no serio? W XXI w. gloryfikujemy taki archetyp bohatera, który bierze miecz i idzie najzwyczajniej na świecie zarąbać jakiegoś biednego lepszego, wampira czy strzygę?

Nowoczesny Wiedźmin zamiast w miecze powinien być wyposażony w wiecie co? Edukację i wiedzę. Powinien rozumieć, iż traktowanie niektórych osób jako potwory wynika wyłącznie z zastanego consensusu społecznego, a jako takie nie jest niezmienne i podlega ewolucji.

Czy nie przyjemniej oglądałoby się serial, w którym Wiedźmin zostaje wezwany przez wieśniaków, bo jakiś drakonid zeżarł Jontka pod lasem, ale odmawia przyjęcia zlecenia? Zamiast tego organizuje we wsi panel dyskusyjny i pokaz slajdów, w którego efekcie wieśniacy nabywają świadomości gatunkowej i w akcie nagłego zrozumienia jeden po drugim dają się pożreć drakonidowi.

Przecież to by się dopiero oglądało: są bohaterowie, jest akcja, jest zwrot akcji, jest słuszny progresywny przekaz, a nie jakieś wydziwianie z mieczami. Kto to widział! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Odrobinka ewentualnego zagrożenia

Panie ministrze, a nie dałoby się chociaż troszkę zostawić tej pandemii?

Ale jak to – troszkę zostawić, panie doktorze?

No… żeby tak całkiem nie odwoływać.

Ale jak ja mam całkiem nie odwoływać? Odwołuję stan zagrożenia i nie mogę go troszkę zostawić.

A nie ma jakiegoś takiego mniejszego? Na przykład stan odrobinkę ewentualnego zagrożenia…

Nie ma.

Ale ja tak dawno w telewizji nie byłem!

Trudno. Co ja poradzę?

Może chociaż jakaś świnka czy odra?

No, ale nic takiego się nie dzieje…

Tu mam taką fioleczkę. Jakby pan minister był uprzejmy rozsypać na stołówce w ministerstwie… Bo ja tak za telewizją tęsknię! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kto nieobecny, ten za PiS-em. Poza sytuacjami losowymi. Grill to nie usprawiedliwienie. To kompromitacja".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze, o organizowanym przez opozycję marszu 4 czerwca*

eprasa.pl 6f270c1a94

dwaj panowie g

Połowa z panów G. gościła na imprezie z okazji 10-lecia Telewizji Republika. Było ciekawie, gdyż większość rozmów ogniskowała się wokół tematu – czy rząd ma jeszcze większość. Zdania były podzielone. Część uważała, że Ziobro został spacyfikowany, inni, że może jeszcze wywijać numery. Niestety, nie mogliśmy tego z Ziobrą skonfrontować, bo on programowo nie bywa w miejscach, w których bywa Mateusz. Tutaj akurat Mateusz był.

Był na imprezie także autor hitu „Wystarczą cztery Ziobra i Polska będzie dobra", czyli Andrzej Rosiewicz. Jakiś taki osowiały. Jednak, jak się okazało, przyczyną jego zmartwienia nie był brak Ziobry. Otóż nestor polskiej estrady dowiedział się, że w TVN pracuje jakieś dziewczę o nazwisku Rosiewicz i wszyscy podejrzewają, że to jego krewna. Usiłowaliśmy go pocieszać argumentem, że brat Kurskiego pracuje w „Wyborczej".

Podobny problem dotknął innego weterana sceny i humoru, którym jest Jan Pietrzak. Ale diabeł tkwi w szczegółach, które już nagłaśniamy. Ponieważ nazwisko Pietrzak jest dość popularne, mało kto podejrzewa, że jedna z twarzy walki o tzw. Praworządność, czyli mecenas Mikołaj Pietrzak, może mieć coś wspólnego z Janem. A Mikołaj Pietrzak, przypomnijmy, to ten sam, który razem z Giertychem chce, aby Polskę uznać w Hadze za winną zbrodni przeciw ludzkości. Musimy jednak państwa zmartwić. Otóż obu panów Pietrzaków łączy więź pokrewieństwa. I to dość bliska. A mianowicie mecenas Mikołaj jest rodzonym synem satyryka Jana.

Uwaga techniczna. Impreza Republiki odbywała się auli Wydziału Fizyki Politechniki Warszawskiej. Niestety, organizatorzy nie uwzględnili praw fizyki. A jedno z nich głosi, że ogrzane powietrze jest lżejsze od chłodnego. Tymczasem sale dla VIP-ów urządzono na ostatnim piętrze galerii okalającej aulę, co sprawiło, że po kilku minutach tam spędzonych paniom zaczęły się rozpuszczać makijaże (niektórym również koafiury), panom zaś robić zacieki tu i ówdzie. Krótko mówiąc, atmosfera była naprawdę gorąca.

Wracając do Ziobry. Z uwagą przeczytaliśmy wywiad, którego lider SuwPolu udzielił naszemu wpływowemu tygodnikowi. Mamy jedną uwagę do twierdzenia, że premier Mateusz się mylił we wszystkich sprawach dotyczących polityki wobec UE. Otóż nie do końca. On pomylił się tylko raz, gdy kiedyś przybiegł na Nowogrodzką i powiedział Naczelnikowi, że pieniędzy już ni ma, a bez forsy z KPO nadejdą krach, koniec świata, kryzys i przegrane wybory. Reszta pomyłek to już dzieło tych, którzy premierowi Mateuszowi uwierzyli i podjęli decyzję o pilnej naprawie stosunków w Brukselą. A co z tego wyszło, to sami wiecie.

Wielkie zainteresowanie wzbudził ujawniony przez nas tydzień temu sekret MSZ. Mianowicie info, że rzecznik tego sympatycznego resortu nie tylko ma w gabinecie otomanę, lecz także nadał jej imię. Uwaga, udało nam się ustalić u źródła, jakie to imię. Otóż otomana nosi imię Grześ. Zawsze myśleliśmy, że otomana jest rodzaju żeńskiego, ale w czasach, w których każdy może sobie wybrać dżender, nie dziwi nic.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Napięcie sięga zenitu, gdyż wszystkie nadzieje związane są z wielkim marszem zaplanowanym na 4 czerwca. Bronisław I Wąsaty, były prezydent, informuje, że jednak pójdzie. A Olek I Chwiejny, też były prezydent – że jednak nie pójdzie. Kwaśniewski bowiem akurat ma tego dnia promocję książki w Gdańsku. Zawsze nam się wydawało, że ratowanie Polski jest ważniejsze niż spotkania autorskie, ale byliśmy w mylnym błędzie.

W wypowiedzi Bronisława Wąsatego Komorowskiego dostrzegliśmy jednak istotny niuans. Otóż mówił on, że jest to marsz obozu prodemokratycznego. Wielu innych z Eine Totalopposition mówi o sobie, że to obóz demokratyczny. Długo się zastanawialiśmy, ale zrozumieliśmy aluzję. Obóz demokratyczny to taki, który praktykuje demokrację. A prodemokratyczny – taki, który jest za demokracją, ale sam demokratyczny nie jest. (Per analogiam: np. obóz proniemiecki nie może być Niemcami, wtedy byłby po prostu niemiecki).

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 6f270c1a94

Wszystko się zgadza, Donaldowi wielu ludzi zarzuca różne rzeczy, ale akurat nie to, że jest demokratą.

Wracając do Tuska. „Mateusz, ale z ciebie bambik!" – zwrócił się wirtualnie Zły Donald z Sopotu do premiera Mateusza. Co wywołało ekstazę i drwiny. Drwią ci, którzy za śmiesznych uważają dziadersów sięgających po młodzieżowy slang, w ekstazę wpadli fani Donalda, uważający że właśnie dał dowód swej młodości i nowoczesności. Jako beznamiętni obserwatorzy politycznej rzeczywistości chcieliśmy zauważyć, że Donald bywa cool przeciętnie raz na 10 lat. Co potrafimy udowodnić.

A było tak: dawno, dawno temu, kiedy Tusk był jeszcze premierem, zaprosił na spotkanie do kancelarii posłów PeŁo. Esemesami. To jeszcze nie było szokujące. Ale to, że w esemesach pojawiła się uśmiechnięta buźka – już tak. Szok był tak wielki, że posłowie PeŁo czym prędzej pośpieszyli do mediów z informacją, że Donald po raz pierwszy w życiu użył emotikonu. Skąd o tym wiemy? Gdyż to nasza rubryka była owymi mediami, do których pośpieszyli zaszokowani platformersi.

Teraz ważny dodatek. Jako ludzie źli do szpiku kości ujawniliśmy w naszej rubryce, że Donald zaczął używać emotikonów. A dzieło się to wszystko w roku 2013. Teraz rozumiecie nasze twierdzenie, że Donald bywa cool raz na 10 lat. Biorąc pod uwagę to, że emoji zostały wymyślone w 1999 r., pozostaje otwarte pytanie: Czyżby w latach 2000–2012 Donald nie był cool? A co z latami 2004–2022?

Wracając do Kwaśniewskiego. Niedawno posłowie Lewicy zorganizowali w samo południe konferencję prasową pod Stadionem Narodowym, żeby ponarzekać na drożyznę i szefa NBP Adama Glapińskiego. A teraz ostatnie zdanie z esemesa zapraszającego dziennikarzy: „Następnie posłowie udadzą się na Stadion Narodowy, gdzie – podczas Targów Książki na stoisku Wydawnictwa Znak – wezmą udział w spotkaniu autorskim z Prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim". Wiecie, lewicowe tradycje: masówki, przemarsze. Oni wszystko robią razem.

Zastanawiamy się w związku z powyższym, czy wielki marsz obozu prodemokratycznego 4 czerwca też nie mógłby się zakończyć jakimś pożytecznym akcentem. Kwaśniewskiego w Warszawie nie będzie, Donald ostatnio nie wydał żadnej książki. Ale może zorganizować spotkanie autorskie Radka Sknerusa Sikorskiego? Albo choć podpisywanie książki kochanych posłów Jońskiego i Szczerby: „Wielkie żniwa. Jak PiS ukradł Polskę"?

Tymczasem Jan Grabiec z PeŁo ujawnił, że Polska ma nadwyżkę budżetową 60 mld ziko. I że Platforma, gdy dojdzie do władzy, wyda ją na ludzi. Wierzymy. Pamiętając poprzednie rządy PeŁo, nawet wiemy, na których ludzi.

Jest pewien kłopot. Tezy Grabca oraz duetu kochanych posłów Jońskiego i Szczerby nam się nie składają. No bo niby jak: PiS ukradł 60 mld tylko po to, żeby schować je w budżecie państwa? To znaczy, że nawet Robin Hood przy PiS wychodzi na Sknerusa McKwacza!

Apropos Sknerusa. Mamy fatalną wiadomość dla tych, którzy uważają, że światem rządzi Grupa Bilderberg. Owo gremium gromadzić ma demonicznych wpływowych krezusów oddanych idei rozwalana w drzazgi starego świata. Niestety, nie może być to prawda. Na ostatni szczyt bilderbergowców zaproszono bowiem właśnie Radka Sikorskiego, który nie jest przecież ani wpływowy, ani demoniczny, ani krezus z niego. Powiedzmy szczerze: każda grupa, która ma prawdziwe ambicje rządzenia światem, na pewno nie zapraszałaby do swego grona Radka.

Trzy lata temu Grupa Bilderberg przyjmowała w swoim gronie Rafcia Trzaskowskiego, znanego w niektórych kręgach jako prezydent Warszawy. Tu już jest powód do niepokoju. Jeśli bilderbergowcy będą rządzić światem tak sprawnie, jak Rafcio rządzi stolicą, to znaczy, że światu grozi katastrofa na dużo większa skalę, niż ktokolwiek z was się spodziewa. ©℗

REKLAMA

POZNAJ
INNE OBLICZE
POLSKIEJ
SZLACHTY!

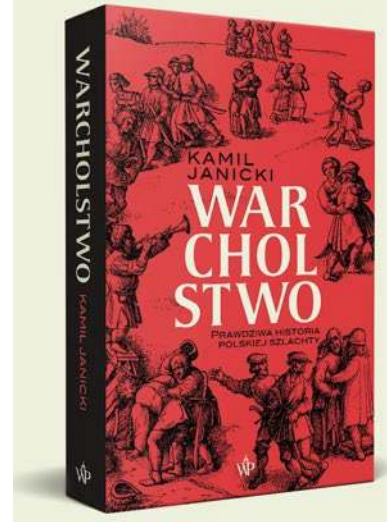

PREMIERA:
31 MAJA 2023

ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA wydajenamsie.pl

eprasa.pl 6f270c1a94

Polskie lasy w dobrych rękach

Praca w kontakcie z naturą, samodzielność i wszechstronność. To główne cechy zawodu leśnika, profesji, której przedstawiciele z troską opiekują się jedną trzecią Polski. Kim jest leśnik?

Społeczeństwo pracę leśnika postrzega dosyć stereotypowo. Zielony mundur, spacery po lesie, nierzadko z dubeltówką i w myśliwskim kapeluszu. Leśnicy często są kojarzeni z romantycznym obrazem natury, jako osoby, które spędzają czas na łonie przyrody, otoczone pięknymi lasami i dzikimi zwierzętami. Praca leśnika może być postrzegana jako bliska naturze i pełna spokoju.

– Niektórzy postrzegają też zawód jako trudny fizycznie i wymagający, co wynika z konieczności wykonywania prac w różnych warunkach atmosferycznych i często na trudnym terenie. I faktycznie praca moich kolegów w nadleśnictwach może wymagać umiejętności fizycznych i wytrzymałości – mówi Józef Kubica, dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Leśnicy są też często kojarzeni z ochroną środowiska i dbaniem o lasy. Są postrzegani jako strażnicy przyrody, którzy chronią lasy przed nielegalnym wycinaniem drzew, pożarami i zaśmieceniem. Praca leśnika jest często kojarzona z działaniami na rzecz zrównoważonego rozwoju i zachowania różnorodności biologicznej.

– Wiele osób, z którymi rozmawiam, wyobraża sobie leśników jako pracujących w głuszy i izolacji. Związane z tym stereotypy obejmują samotność, brak kontaktu ze społeczeństwem i brak dostępu do wygód miejskiego życia – mówi Kubica. – Ale to absolutna nieprawda. Leśnicy są ludźmi towarzyskimi i są silnie obecni

eprasa.pl 6f270c1a94

w lokalnych społecznościach. Znają ich potrzeby i odpowiadają na nie.

WSZECHSTRONNY I SAMODZIELNY JAK LEŚNIK

Faktycznie leśnik to osoba odpowiedzialna za zarządzanie, ochronę i nadzór nad lasami. Jest to zawód związany z gospodarką leśną, a także ochroną środowiska naturalnego. Leśnicy pracują w lasach, gdzie monitorują stan drzewostanu, prowadzą prace związane z sadzeniem, pielęgnacją i pozyskaniem drewna oraz dbają o zachowanie równowagi ekologicznej w lesie. Ich zadaniem jest również ochrona przed pożarami lasu, zwalczanie szkodników i chorób oraz realizacja działań mających na celu zachowanie różnorodności biologicznej i ekosystemów leśnych. Leśnicy mogą również zajmować się edukacją, informując społeczeństwo o znaczeniu lasów i prowadząc działania z zakresu turystyki.

– Mało jest zawodów o tak wszechstronnym charakterze jak nasz. Będąc leśnikiem, musisz przede wszystkim znać się na świecie roślin i zwierząt. Przyda się wiedza z zakresu meteorologii. Jesteś też inżynierem i logistykiem. Opanowujesz umiejętności z zakresu geodezji i pomiarów drzew i drewna. Znasz się na planowaniu przestrzennym i geomatyce, hydrologii i zamówieniach publicznych – wylicza Michał Gzowski.

Dyrektor generalny Lasów Państwowych Józef Kubica zwraca uwagę na dużą samodzielność, a co za tym idzie – odpowiedzialność terenowych pracowników Służby Leśnej.

– Mając pod opieką leśnictwo, zostaje się samodzielnym gospodarzem na obszarze ok. tysiąca hektarów. Owszem, to szczegółowe plany gospodarcze wyznaczają nam zadania do realizacji, ale już czas, sposób ich wykonania musimy zaplanować sami, dopasowując je do okoliczności przyrodniczych. To nie jest praca, którą można odbębnić między 8 a 16. Leśnik stale trzyma rękę na pulsie, jest troskliwym gospodarzem przez 24 godziny na dobę i siedem dni w tygodniu – mówi dyrektor Kubica.

PRZYGODA NA CAŁE ŻYCIE

Leśnicy ponoszą odpowiedzialność za utrzymanie i ochronę lasów, zarówno dla teraźniejszych, jak i przyszłych pokoleń, przy jednoczesnym uwzględnianiu potrzeb środowiska naturalnego i społeczności korzystających z lasu.

– Decyzję, by zostać leśnikiem, podjąłem już w szkole podstawowej. Jako szkołę średnią wybrałem technikum leśne i nie żałuję tej decyzji. Moja praca to pasja i trwająca wiele już lat przygoda z lasem – mówi Józef Kubica, dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Wybór zawodu leśnika może być atrakcyjny z wielu powodów. Dyrektor Kubica podkreśla, że wielką satysfakcję daje zrównoważone zarządzanie zasobami leśnymi. Leśnictwo jest kluczowym obszarem odpowiedzialnym za zarządzanie lasami i ochronę środowiska. Pracując jako leśnik, zyskujemy możliwość wpływania na zrównoważone wykorzystanie zasobów leśnych, ochrony różnorodności biologicznej i przywracania ekosystemów.

PRACOWAĆ I CIESZYĆ SIĘ PRZYRODĄ

Nie bez znaczenia jest praca na świeżym powietrzu. Większość kadry Lasów Państwowych to ludzie, którzy każdego dnia, niezależnie od pogody, przebywają w lesie.

– Jeśli ktoś ceni sobie pracę na świeżym powietrzu i blisko natury, to praca leśnika może być dla niego idealna. To okazja, by spędzać dużo czasu w naszych pięknych lasach, obserwować zmieniające się pory roku i cieszyć się pięknem przyrody – uważa Gzowski.

Leśnik w pracy na pewno się nie nudzi, bo co dzień ma do wykonania różnorodne zadania. Może być zaangażowany w przeprowadzanie inwentaryzacji drzewostanów, planowanie zalesień, monitorowanie stanu lasów, ochronę przed organizmami szkodliwymi, logistykę drewna, prowadzenie badań naukowych lub edukację najmłodszych.

Warto zauważyć, że w leśnictwie pracuje coraz więcej kobiet. W samych Lasach Państwowych dziś to niemal jedna trzecia personelu.

DIALOG SPOŁECZNY CORAZ WAŻNIEJSZY

Aby zostać leśnikiem, należy zdobyć odpowiednie wykształcenie. Można zacząć od technikum leśnego. Takich szkół w Polsce jest całkiem sporo. Warto zwrócić uwagę, że organem prowadzącym 11 z nich jest minister klimatu i środowiska. Nauka w technikum wypełniona jest w znacznej części ciekawymi zajęciami praktycznymi. Dla tych, którzy chcą zgłębiać wiedzę na wyższym poziomie, kilka uczelni w Polsce oferuje studia z zakresu gospodarki leśnej. Czym jest praca w leśnictwie, na większości uczelni można przekonać się w trakcie obowiązkowych praktyk wakacyjnych, realizowanych w nadleśnictwach.

– Typowa droga do pracy w Lasach Państwowych wiedzie przez roczny okres stażowy. To dla nas czas, by zorientować się, w czym najlepiej sprawdza się kandydat, a on sam może ostatecznie zweryfikować pogląd, czy leśnictwo to na pewno jego wymarzony zawód – mówi dyrektor Kubica.

– Leśnicy muszą stale aktualizować swoją wiedzę i umiejętności poprzez uczestnictwo w szkoleniach, konferencjach i kursach doskonalących. Ta profesja stawia coraz to nowe wyzwania, rozwija się – uzupełnia Michał Gzowski. – Szczególnie ważne jest rozwijanie umiejętności komunikacyjnych, zarządzania projektem i pracy zespołowej, ponieważ leśnicy często współpracują z innymi specjalistami i interesariuszami, takimi jak naukowcy, rolnicy i społeczność lokalna.

Praca leśnika ma znaczący wpływ na społeczeństwo i środowisko życia ludzi. Wbrew temu, co zarzucają osoby nieznające pracy leśnika, to właśnie leśnik, dzięki swoim działaniom, przyczynia się do ochrony lasów przed wylesianiem, zapobiega pożarom, zapewnia miejsca rekreacji dla społeczeństwa i dba o środowisko naturalne.

Andrzej Dąbrowski

Lasy i leśnicy

Lasem jest każdy trzeci kilometr kwadratowy naszego kraju. Tym odpowiedzialnym, zielonym zasobem gospodarują i opiekują się leśnicy. Przede wszystkim z Lasów Państwowych, które zarządzają w imieniu państwa przeważającą częścią (77 proc.) polskich zasobów leśnych. Leśnicy w swojej pracy kierują się pasją i powołaniem. Leśnictwo to zawód, który przyciąga osoby z głęboką miłością i szacunkiem do natury oraz zainteresowaniem ochroną środowiska.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 6f270c1a94

ŚWIĄTEK Z SZANSĄ NA TRZECI TRIUMF

W rozpoczynającym się turnieju Wielkiego Szlema o najtrudniejszym losowaniu mogły mówić te zawodniczki, które na swojej drodze będą miały numer jeden światowego tenisa – czyli Polkę. Iga Świątek od kwietnia ubiegłego roku jest liderką rankingu WTA i zarobiła już w swojej karierze blisko 17 mln dol, z tego w tym roku już 2,2 mln dol.

W tym sezonie Świątek wygrała dwa turnieje. Najpierw obroniła tytuł w Dosze, gdzie w drodze do triumfu przez wszystkie mecze straciła zaledwie pięć gemów (bijąc rekord Chris Evert z 1981 r. – siedem straconych gemów w drodze po tytuł). Drugim obronionym tytułem był ten w Stuttgarcie.

Tuż przed turniejem Rolland Garros, gdzie tytułu będzie bronić po raz trzeci (wygrywała w latach 2020 i 2022), Iga Światek wzięła udział w zawodach w Rzymie. Tam niespodziewanie w ćwierćfinale poddała mecz, a serca polskich kibiców zostały zmrożone – Iga doznała kontuzji nogi. Na szczęście okazało się, że ten problem zdrowotny nie wyeliminuje jej z turnieju Wielkiego Szlema (rozgrywki w Paryżu to jeden z czterech najważniejszych turniejów zawodowego tenisa).

Na Rolland Garros (rozgrywanym od 28 maja do 11 czerwca) Iga Świątek wygrała pierwszy mecz z Hiszpanką Cristiną Bucsą. Polka ostatnio pokonała ją podczas Australian Open, tracąc w meczu zaledwie jeden gem.

Oprócz Świątek na paryskiej mączce wystąpi także Magdalena Linette, która została rozstawiona z numerem 21. Pierwszy mecz rozegra z Kanadyjką Leylah Fernandez (36. miejsce w rankingu WTA). W turnieju kobiet – po udanych kwalifikacjach – zagra jeszcze Magdalena Fręch. Jej pierwszą rywalką będzie chińska zawodniczka, rozstawiona z numerem 29 Shuai Zhang.

Jedynym mężczyzną z Polski na turnieju będzie Hubert Hurkacz, który zagra jako zawodnik rozstawiony z numerem 13. Na drodze Polaka stanie najpierw Belg – 113. w rankingu ATP David Goffin.

(luz) © ℗

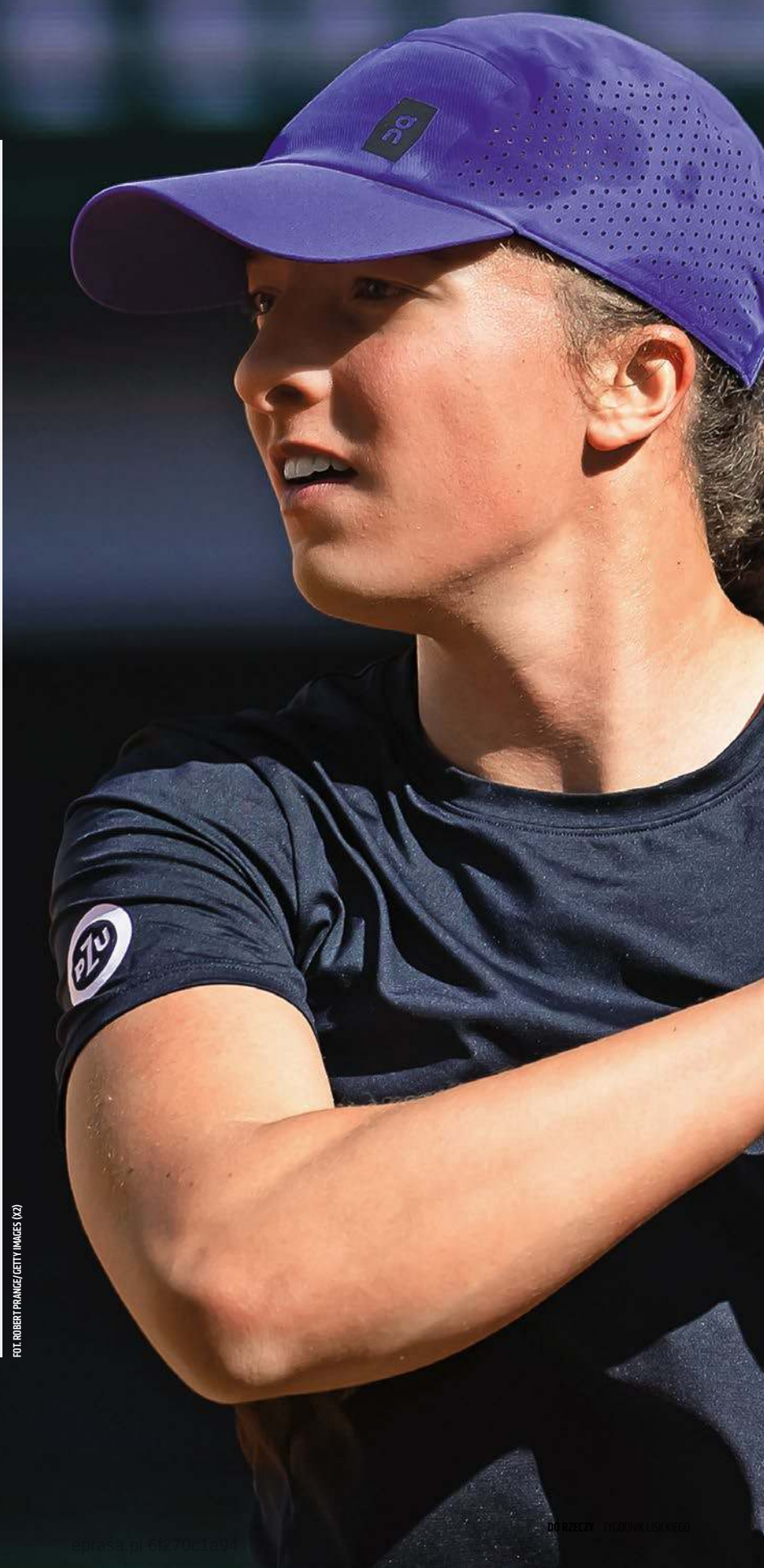

FOT. ROBERT PRANGE/GETTY IMAGES (X2)

eprasa.pl 6f270c1a94

ROLAND-GARROS 2023
TIRAGE AU SORT

Engelking na miarę potrzeb

Rafał A. Ziemkiewicz

Kreowanie Barbary Engelking przez lewicowo-liberalne media na ofiarę rzekomych represji i symbol „prześladowania nauki" przez „pisowski reżim" jest pod wieloma względami groteskowe

Zacząć trzeba od zakwestionowania „naukowości" badań Barbary Engelking. Z pozoru rzecz wydaje się oczywista: Engelking jest przecież profesorem, członkiem korespondentem Polskiej Akademii Nauk, posiada doktorat honoris causa uniwersytetu w Tel Awiwie, no i kieruje naukową instytucją, afiliowaną przy Instytucie Filozofii i Socjologii PAN – Centrum Badań nad Zagładą Żydów – którą zresztą współzakładała z m.in. Janem Grabowskim.

Trudno jednak nie zdziwić się takim „umocowaniem" powstałej w roku 2003 jednostki badawczej: Dlaczego instytucja mająca zajmować się tak ważkimi dociekaniami dotyczącymi historii i rewidowaniem powszechnie przyjętych ustaleń, na dodatek w kwestii tak społecznie ważnej i drażliwej, powstała nie przy Instytucie Historii, ale Filozofii i Socjologii? Dlaczego na jej czele nie postawiono historyka, ale mającą doktorat z socjologii kultury absolwentkę Wydziału Psychologii? To prawda, że w kadrze Centrum jest także kilku zawodowych historyków, ale wydają się oni zepchnięci tam na dalszy plan przez chętnie perorującą w mediach i rzucającą tam mocne propagandowo tezy szefową oraz bliskiego jej w poglądach, często zresztą występującego z nią w parze prof. Jacka Leociaka – polonisty.

Spróbujmy sobie wyobrazić Centrum Badań nad Odmiennościami Seksualnymi utworzone nie przy instytucie medycznym czy psychologicznym, ale, powiedzmy, kulturoznawczym, pod kierownictwem teologa habilitowanego z historii sztuki. Z pozoru rzecz jest równie zasadna, jak racjonalne wydawały się 20 lat temu argumenty, które zdecydowały o decyzji IFIS PAN: odmienności seksualne to wszak zjawisko zasługujące, aby badać nie tylko jego aspekty medyczne, lecz także konteksty kulturowe, społeczne czy religijne. Spróbujmy sobie jednak wyobrazić, że takie centrum szybko odchodzi od tych założeń i zajmuje się tym właśnie, czym powinni się zajmować fachowcy – seksuolodzy i psycholodzy. Że, powołując się na swe naukowe badania, mniejsza już, iż prowadzone za pieniądze podatnika, ale uwiarygodnione autorytetem państwa, głosi owo centrum wszem wobec, iż homo- i transseksualizm są tylko rodzajem wyrafinowanej rozpusty, perwersją wynikłą ze znudzenia i osoby nimi dotknięte powinny być

eprasa.pl 6f270c1a94

przymusowo leczone. Na dowód czego przytaczają naukowo opracowane relacje i opinie osób, które próbowały tworzyć z homoseksualistami czy biseksualistami tradycyjne związki.

Jakież niewyobrażalne oburzenie natychmiast by się wtedy podniosło! Ile protestów, listów, interwencji międzynarodowych komisarzy i trybunałów – prawda? A przecież pozycja Barbary Engelking jako znawcy historii Holokaustu zbudowana została dokładnie w taki właśnie sposób. Podobnie jak hipotetyczny teolog kulturoznawca z powyższego przykładu bardzo szybko opuściła ona obszary badawcze, do zajmowana się którymi posiada formalne kompetencje, i zamiast kontekstami społecznymi Zagłady Żydów zajęła się uporczywym rewidowaniem faktów historycznych. Zmiana naukowej specjalizacji nie jest oczywiście sama w sobie rzeczą naganną, ale pod warunkiem uszanowania fundamentalnych zasad rządzących dziedziną, do której się wkracza. Tymczasem prof. Engelking, korzystając z umocowania instytucjonalnego w filozofii i socjologii, wchodzi w swych badaniach w materię stricte historyczną, programowo odrzucając żelazne dla historiografii zasady dochodzenia do prawdy obiektywnej w drodze „krytyki źródeł".

Z UST DO UST

Prawnik starej daty opowiadał mi o stosowanej za jego czasów (nie wiem, czy jeszcze) metodzie wyrabiania w adeptach zawodu krytycyzmu wobec relacji świadków. W trakcie zajęć niespodziewanie wpadał do sali agresywny napastnik, zaczynał ubliżać obecnym, potem szarpać się z nimi, najkrócej mówiąc, urządzał dziką awanturę. Po pewnym czasie prowadzący zajęcia wyjaśniał, że studenci mieli do czynienia z inscenizacją, i zaczynał przesłuchiwać ich, co widzieli i słyszeli. W ten sposób przekonywali się, że nawet w sprawie wydarzeń dosłownie sprzed chwili trudno ustalić spójną i zgodną wersję – każdy widział i słyszał co innego niż pozostali. Tak po prostu działają ludzki umysł i ludzka zawodna pamięć. Dlatego świadectwa nawet bezpośrednich uczestników badanych wydarzeń, szczególnie te spisywane po upływie lat, z uwzględnieniem później-

FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ/FORUM

szych przemyśleń i nabytej post factum wiedzy, bezwzględnie muszą podlegać weryfikacji, być konfrontowane z innymi świadectwami, a przede wszystkim z dokumentami i dowodami materialnymi.

Tymczasem prof. Engelking właśnie chlubi się tym, że do badań nad Holokaustem wniosła „skoncentrowanie się na przekazach świadków i uczestników" (nie wykluczając „przekazów niekonwencjonalnych", czyli powtarzanych przez lata z ust do ust rodzinnych i środowiskowych legend, a nawet snów). Nie jest w tym prekursorką: postulat, aby w związku z wyjątkowością zbrodni Holokaustu zaniechać przy jej opisywaniu tradycyjnych zasad krytyki źródeł, ogłosił przed laty publicznie Jan Tomasz Gross – również zresztą z wykształcenia socjolog. Co charakterystyczne, postulat ten został przyjęty z entuzjazmem i odżegnujący się od historycznego warsztatu publicysta dostał katedrę profesora historii w Princeton. Wierny stworzonej przez siebie zasadzie „nowej szkoły" badań nad Zagładą, pisząc książkę o zbrodni w Jedwabnem „Sąsiedzi", zignorował dotychczasowe ustalenia historyków, a także istniejące dokumenty (w tym akta procesu sprawców tej i innych zbrodni, podobnie przeprowadzonych w sąsiednich miejscowościach w podobnym czasie, który odbył się w Niemczech w latach 60. – procesu, w którym dowódcę oddziału eksterminacyjnego SS, Hermana Schapera, niemiecki sąd uwolnił wprawdzie od kary, biorąc za dobrą monetę jego wyjaśnienia, ale mechanizm zbrodni i wciągania do niej miejscowej ludności opisano bardzo dokładnie) i wszystkie swoje namiętne oskarżenia Polaków oparł praktycznie na jednej relacji, pochodzącej od człowieka, który w chwili zbrodni przebywał poza Jedwabnem, a po wojnie był funkcjonariuszem UB i w złożonym na starość w Izraelu zeznaniu ewidentnie starał się, oczerniając Polaków, zrelatywizować swoje winy wobec nich. A i tę relację potraktował Gross wybiórczo, przemilczając oczywiste nonsensy, podważające jej wiarygodność.

KOMPROMITUJĄCE BŁĘDY

Dorobek Centrum Badań nad Zagładą Żydów, mimo instytucjonalnego zaplecza, nie prezentuje się lepiej. Przykładem niech służy tu jego sztandarowy projekt „Strategie przetrwania Żydów podczas okupacji w Generalnym Gubernatorstwie 1942–1945. Studium wybranych powiatów". Jego owocem stała się dwutomowa publikacja „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski", pod wspólną redakcją Engelking i wspomnianego już Grabowskiego. Publikacja ta spotkała się z miażdżącą oceną historyków – praktycznie nikt nie próbował jej merytorycznie bronić, bo trudno za taką obronę uznać propagandowe okrzyki, że dzieło „wywołało furię prawicy" i atakowane jest z „nacjonalistycznych" pozycji.

W obszernych recenzjach – m.in. broszurze związanego z IPN Tomasza Domańskiego czy recenzjach dla fachowych czasopism Tomasza Roguskiego i Romana Gieronia – znajdujemy cały katalog kompromitujących błędów warsztatowych, przeinaczeń, manipulacji, a nawet – Piotr Gontarczyk przedstawił całą ich listę – sfałszowanych cytatów (celuje w tym zwłaszcza Grabowski), które wskutek przekręcania lub pomijania istotnych fragmentów znaczą coś zupełnie innego niż w relacjach, na które się badacze Centrum powołują. Wspólnym mianownikiem wszystkich tych błędów jest preparowanie dowodów pod założoną tezę publikacji, że Polacy byli dla Żydów większym zagrożeniem niż Niemcy, odnosili się do nich z nienawiścią i chętnie współpracowali w Zagładzie – co każe uznać, że w istocie nie mamy do czynienia z błędami, ale z celowym fałszowaniem historii. „Badacze" nie tylko opierają się na całkowicie bezkrytycznie cytowanych wspomnieniach i pośrednich relacjach, lecz także robią z nich wycinanki, wybierając tylko to, co pasuje do założonej tezy, i pomijając wszystko, co nie pasuje.

Publikacja „Dalej jest noc" pod redakcją Engelking i Grabowskiego spotkała się z miażdżącą oceną historyków

Szczerze mówiąc, powyższa publikacja, z jej pseudonaukowym historycznym rewizjonizmem podpieranym manipulacjami, znacznie bardziej powinna stać się przyczyną przeanalizowania przez władze celowości finansowania kierowanego przez Engelking centrum niż jej szokujące wypowiedzi w mediach. A tych Engelking nie skąpi – przypomnijmy tylko najgłośniejszą, jej jawnie rasistowskie uwagi o tym, że śmierć dla Żydów jest metafizyką i spotkaniem z Najwyższym, a dla Polaków tylko fizjologią. Trudno sobie wyobrazić, by autorka podobnych uogólnień, sprowadzających niemiły sobie naród do roli pozbawionego wyższych uczuć ludzkiego bydła, nie poniosła surowych konsekwencji, gdyby obraziła tak nie Polaków, a którąś z „chronionych mniejszości".

AUTOKREACJA MĘCZEŃSKA

Engelking do mistrzostwa opanowała metodę kreowania się na męczennicę, stosowaną powszechnie przez lewicę – metodę „uderz jak najboleśniej w świętości, w uczucia, w poczucie godności ofiary, sprowokuj reakcję, a potem krzycz na cały świat, że jesteś ofiarą hejtu". Podobnie jak Grabowski i Gross, podobnie jak burmistrz amerykańskiego miasteczka New Jersey, który rzekomymi antysemickimi napaściami Polaków na siebie próbował osłonić próbę usunięcia pomnika Katyńskiego pod zyskowną deweloperkę, Engelking jest propagandowo kreowana, i sama się kreuje, na ofiarę „polskiego antysemityzmu". Także „Dalej jest noc", w Polsce zmiażdżona przez historyków, posłużyła jej jako szczebel do międzynarodowej kariery. Proces wytoczony przez Filomenę Leszczyńską, której nieżyjący stryj został w publikacji fałszywie przedstawiony jako hitlerowski kolaborant, lewicowo-liberalne media uczyniły na świecie symbolem „prześladowania niezależnych naukowców przez katolicko-narodowy reżim", przy czym oczywiście starannie pominięto fakt, że z powództwem wystąpiła bynajmniej nie „reżimowa" prokuratura, tylko prywatna osoba w trybie cywilnym, a sprawa zakończyła się stwierdzeniem przez sąd, że Engelking i Grabowski rzeczywiście opublikowali zniesławiające kłamstwo, ale jako naukowcy mają oni analogiczne do lekarzy prawo do „błędu w sztuce". Pikanterii sprawie dodaje to, że z właściwą lewicowo-liberalnym elitom obłudą i oburzeniem na ten proces zanieśli się ci sami, którzy z radością kibico-

eprasa.pl 6f270c1a94

wali procesom wytaczanym historykom „w obronie czci Wałęsy".

To właśnie ten proces stał się bezpośrednią inspiracją dla Uniwersytetu w Tel Awiwie, by przyznać Engelking wspomniany już doktorat honoris causa „za odważną determinację, by przeciwdziałać wypaczaniu Holokaustu i ujawniać złożoność stosunków polsko-żydowskich podczas drugiej wojny światowej, bez względu na osobiste koszty". Zakrawa to na kpinę, bo jedynym „osobistym kosztem", jaki ponosi Engelking z racji swojej pasji do oskarżania Polaków, jest oczywiście długa lista zaszczytów, zagranicznych zaproszeń i nagród, których wyliczanie zajmuje spory kawał poświęconego jej hasła Wikipedii.

Również niedawna wypowiedź ministra Czarnka posłużyła do przedstawienia Engelking jako ofiary prześladowań – w propagandowych przekazach przedstawianych jako „tłumienie wolności nauki". Z całkowitą pogardą dla prawdy przedstawia się jej działalność jako „odkrywanie prawdy", rzekomo „naukowo przez nią udowodnionej", a protesty przeciwko wygłaszanym przez nią antypolskim opiniom – jako przejaw nieumiejętności pogodzenia się przez Polaków ze swoją „haniebną przeszłością".

Wspomniana wypowiedź ministra Czarnka, przypomnijmy, dotyczyła wywiadu udzielonego przez Engelking na antenie TVN24 Monice Olejnik (która na tę okoliczność pofatygowała się ze swego studia do Muzeum Polin) w rocznicę powstania w getcie. Wykorzystanie tej rocznicy do wygłoszenia kolejnej porcji antypolskich oszczerstw skwitował minister zdaniem w sumie nieniosącym nic konkretnego – że słuchając takich wypowiedzi, zastanawia się, „czy powinien finansować w większym stopniu tego typu badania". Jeśli patrzeć na to wyłącznie w kategoriach polityki krajowej, zagrywka Czarnka była bardzo zręcznym politycznym trollingiem: sprowokowane tym ogólnikowym stwierdzeniem „elity", sypiąc od wielu dni apelami, listami otwartymi, kazaniami i różnymi manifestacjami w obronie Engelking i „zagrożonej wolności badań naukowych", podtrzymują trwanie w społecznej świadomości oskarżeń, które inaczej dawno poszłyby w niepamięć. A to, by lewicowo-liberalna opozycja była kojarzona z domaganiem się od Polaków przeprosin za Holokaust, i by był to, obok ataków na Jana Pawła II i żądań wpuszczania putinowskich „uchodźców", jeden z wątków debaty publicznej, jest w jak najlepiej pojmowanym wyborczym interesie PiS.

Barbara Engelking stała się gwiazdą brylującą na amerykańskich i izraelskich uniwersytetach

PRODUKT EKSPORTOWY

Ale pamiętajmy, że Barbara Engelking i dyskurs „nowej szkoły badań nad Zagładą", zgodnie z którym „Polacy byli gorsi od nazistów", to produkt eksportowy. To, co w polityce krajowej podtrzymuje bunt wyborców przeciwko lewicowo-liberalnym „elitom", na zewnątrz wpisuje się w rozbudowany dyskurs obwiniania Polski o Holokaust i o rzekome „zaprzeczanie" polskiemu udziałowi w nim.

Podobnie jak wspomniany Gross czy Grabowski Engelking stała się gwiazdą brylującą na amerykańskich i izraelskich uniwersytetach. W niedawnym wywiadzie dla dziennika „Haarec" z właściwą sobie pogardą dla Polaków tłumaczy swoją sytuację tym, że „oni" (z kontekstu nie wynika, czy myśli tylko o władzach, czy ogólnie o naszym społeczeństwie) zmuszeni byli przez cały dzień, z powodu rocznicy powstania w getcie, chodzić z żółtymi żonkilami i udawać, że lubią Żydów, więc „musieli" zaraz potem odreagować to upokorzenie publicznymi atakami na bezstronną, obiektywną „naukowczynię", która drażni ich, mówiąc w oczy prawdę o ich haniebnej przeszłości.

Gdzie jest popyt – zawsze znajdą się ci, którzy zapewnią podaż. W przeciwieństwie zaś do użytego na wstępie jako poglądowy przykład poniżania „mniejszości seksualnych", których dobre samopoczucie jest dziś pod ścisłą ochroną, cenzorów „cancel culture", na dyskurs reprezentowany przez Barbarę Engelking i jej Centrum popyt jest ogromny, o czym pisaliśmy wielokrotnie. Z jednej strony mamy pieniądze organizacji żydowskich, wciąż ostrzących sobie zęby na „mienie bezspadkowe" po polskich Żydach wymordowanych przez Niemców. A ponieważ nie ma narzędzi prawnych występowania o spadek po przynależności plemiennej, jedynym uzasadnieniem ich roszczeń może być odwołanie się do powszechnie podzielanego przekonania, że zbrodniarz nie powinien dziedziczyć po swej ofierze – trzeba więc z Polaków zrobić sprawców Holokaustu.

Drugim „zamawiającym" fałszowanie historii Zagłady jest wielki sponsor „walki z antysemityzmem" Władimir Putin, działający przez swego pomagiera, oligarchę Wiaczesława Mojżeszowicza Kantora, od lat finansującego wszelkie organizacje i kongresy, skłócające Polaków z Żydami i przez to z amerykańskim sojusznikiem oraz promujące narrację o „nazistowskich" rządach w środkowej Europie. Do tego dochodzą potrzeby polityki izraelskiej, którą obóz zmagającego się z wielkimi kłopotami i buntem społecznym premiera Netanjahu w znacznym stopniu buduje na wzniecaniu nienawiści do Polaki i Polaków.

Ale mogą istnieć też inne motywacje. W internetowym wpisie – zgódźmy się, że mocno dla niego kompromitującym – prof. Michał Bilewicz z UW wskazuje na „klasowy wymiar" konfliktu między prof. Engelking a ministrem prof. Czarnkiem. Otóż Engelking kontynuuje tradycje swego rodu, a jest to (podobnie jak ród Hartmanów) ród „profesorski", pełen sławnych matematyków – natomiast Czarnek jest ze wsi i atakuje Engelking zwyczajnie z zawiści, bo ma wobec niej kompleksy. Aż prosi się dodać, że w rodzie Engelkingów wykształcił się głód metafizyki i absolutu, a życie Czarnków to tylko czysta fizjologia. Swoją drogą, to wmawianie sobie „oni nam zazdroszczą, bo wiedzą, że jesteśmy lepsi" jest leitmotivem wielu lewicowo-liberalnych „analiz politycznych" i dość oczywistym skutkiem „urojenia wyższościowego", na którym zbudowana jest tożsamość salonów.

Pytanie o osobiste motywacje prof. Engelking ma jednak drugorzędne znaczenie. Ważne jest zjawisko, którego obok wyżej wspominanych stała się symbolem: świetnej kariery, jaką można zrobić na pseudonaukowym „udowadnianiu" kłamstwa o polskiej odpowiedzialności za Holokaust.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f270c1a94

Piotr Semka

Przeciąganie liny

Wizja podziału w Zjednoczonej Prawicy to alternatywa, od której formalnie odżegnują się i PiS, i Suwerenna Polska. Ale każdy, kto pamięta, że polityka jest sumą nie tylko interesów, lecz także emocji, wie, że taki rozwój wydarzeń pojawia się niespodziewanie

Zabrzmi to może nieco trywialnie, ale relacjonowanie sporów na linii Prawo i Sprawiedliwość – Suwerenna Polska przypominać zaczyna troszeczkę relacjonowanie brazylijskiej telenoweli. Wszystkie postacie w tym przedstawieniu nie są nowe, ich racje są powszechnie znane. Niewiadomą, która przykuwa uwagę dziennikarzy i polityków, jest ostateczna decyzja Jarosława Kaczyńskiego. A ten polityczny sfinks będzie odkładał swój werdykt do ostatniej chwili. Ale nie zmienia to faktu, że obserwowanie owego przeciągania liny jest pouczające i z pewnością interesuje dużą część prawicowych wyborców. Kto kogo zmusi do cofnięcia się i na ile?

TYLKO LISTA PIS

Najnowszy zwrot w akcji pojawił się wraz z wywiadem Zbigniewa Ziobry w tygodniku „Do Rzeczy" [nr 21/2023]. Minister sprawiedliwości zarzucił premierowi Mateuszowi Morawieckiemu, że ten „pomylił się we wszystkich najważniejszych decyzjach unijnych". Jak powiedział minister: „W efekcie zgody premiera na unijny mechanizm warunkowości i KPO Polska będzie stopniowo traciła suwerenność".

Premier Morawiecki, który zazwyczaj ignorował tego typu krytykę, tym razem przygotował bardzo barwną ripostę. W trakcie konferencji w porcie w Gdyni zapytany przez reportera TVN24 o wypowiedź Ziobry odpowiedział: „Część swojego życia spędziłem na wsi i tam rolnicy nauczyli mnie takiego starego polskiego przysłowia: »krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje«. Za każdym razem, jak słucham czy czytam tego typu słowa ministra sprawiedliwości, to przypomina mi się trafność tego przysłowia". Przypomniał: „Polityka to jest gra ze wszech miar zespołowa. Jak to w zespole, są tacy, którzy ciągle narzekają, marudzą, że nikt im nie podaje piłki, i są tacy, którzy walczą o to, żeby jak najwięcej osiągnąć w trudnych kryzysowych okolicznościach. Nie ma co marudzić, kwękać. Trzeba zabrać się do roboty. Minister sprawiedliwości ma dużo do zrobienia".

Morawieckiego wyraźnie zabolał też zarzut o utratę suwerenności w wyniku jego decyzji w Brukseli. „Słuchając słów pana ministra sprawiedliwości, mam wrażenie, że Polska traci suwerenność pięć razy do roku. A prawda jest taka, że

eprasa.pl 6f270c1a94

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

nasza suwerenność dzięki silnej gospodarce, silnym finansom publicznym, sile naszych sojuszy i coraz silniejszej armii staje się coraz mocniejsza".

Politycy Ziobry w kuluarach Sejmu natychmiast zwrócili uwagę, że premier miał bardzo dobrze przygotowany speach na temat Ziobry i – jak podejrzewali – asystenci premiera mogli podpowiedzieć dziennikarzowi TVN24, że pytając o Ziobrę, uzyska smakowity cytat. Zarzut może sprawiać wrażenie trafności, ale jeśli nawet do takiej sytuacji doszło, to dlatego, że reporterzy TVP temat wewnętrznych waśni w Zjednoczonej Prawicy raczej omijają.

Ten drobny szczegół pokazuje specyfikę wymiany ciosów między Suwerenną Polską a premierem. Odbywają się one na łamach mediów niechętnych prawicy, które z rozkoszą rzucają się na każdy taki spór. Dobrym przykładem tego typu intencji jest tytuł z „Gazety Wyborczej": „Ziobro chce ograć PiS i Morawieckiego. Obóz władzy się rozłazi". I właśnie to wypatrywanie „końca obozu władzy" jest ulubionym tematem czy to Onetu, czy portalu naTemat.pl, czy też „Newsweeka".

Ale sami politycy i z PiS, i od Ziobry uzależnili się niczym narkomani od wysyłania poprzez opozycyjne media sygnałów dla drugiej strony konfliktu. Faktem jest, że na wywiad Ziobry w „Do Rzeczy" swoją reakcję wicemarszałek Ryszard Terlecki wyraził w wypowiedzi dla dziennikarzy w Sejmie bardzo jasno: „(Ziobro) musi pogodzić się z tym, że premier jest wybitnym politykiem i stoi na czele rządu". Szef klubu parlamentarnego partii rządzącej wyraźnie zaznaczył też, że PiS nie stworzy koalicji wyborczej z ziobrystami. Jak stwierdził Terlecki, ugrupowanie Ziobry dąży do tego, ale nie ma na to szans. Politycy z Suwerennej Polski mogą tylko startować z listy PiS. Tak było w dotychczasowych wyborach i istotnie ziobryści postawili ten postulat. Ale – jak się zdaje – nie mieli nadziei, że uda się go przeforsować. Tak czy inaczej Terlecki bardzo wyraźnie powiedział: lista PiS albo nic.

Morawieckiego wyraźnie zabolał też zarzut o utratę suwerenności w wyniku jego decyzji w Brukseli. Politycy Ziobry w kuluarach Sejmu zwrócili uwagę, że premier miał bardzo dobrze przygotowany speach na temat Ziobry

Zwraca uwagę, że zarówno Morawiecki, jak i Terlecki byli już następnego dnia po ukazaniu się wywiadu w poniedziałek 22 maja bardzo wyraźnie przygotowani do zdecydowanej riposty na rozmowę ze Zbigniewem Ziobrą w „Do Rzeczy". Sprawiało to wrażenie skoordynowanej

eprasa.pl 6f270c1a94

akcji. Terlecki, który obsadzany jest przez Kaczyńskiego w roli „złego policjanta", pozwolił sobie na wyrazistą puentę. „Koalicja jeszcze jest" – oświadczył Terlecki dziennikarzom w Sejmie, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

ZŁAGODZENIE NAPIĘCIA

Od paru tygodni dość popularną hipotezą polityczną jest twierdzenie o używaniu przez Zbigniewa Ziobrę swego wpływu na grupę ok. sześciu sędziów Trybunału Konstytucyjnego zbuntowanych przeciwko szefowej TK Julii Przyłębskiej. Dość często powtarzano opinię, że zbuntowana szóstka to śrubokręt w ręku Ziobry do przykręcenia śruby PiS. Faktem jest, że w buntowniczej szóstce, do której zalicza się m.in. Krystynę Pawłowicz, Stanisława Piotrowicza oraz byłego prokuratora krajowego Bogdana Święczkowskiego, wyrażane jest poparcie dla krytyki Ziobry wobec błędów premiera Morawieckiego.

Dlatego ważne było pytanie, jak zachowają się ziobryści w trakcie przepychania przez Sejm ustawy, która pozwoli podejmować decyzje w Trybunale. Chodzi o zalegalizowanie kworum do podejmowania wyroków przy obecności dziewięciu sędziów, czyli tylu, ilu popiera Przyłębską. Dziś potrzeba do uzyskania kworum 11 członków TK z 15. Jeśli dziennikarze sympatyzujący z opozycją liczyli, że to, co nazywają początkiem rozpadu obozu władzy, zacznie się na Komisji Sprawiedliwości, to srodze się zawiedli. W trakcie głosowania komisji czterech jej członków związanych z Suwerenną Polską poparło wniosek, który może odblokować posiedzenie Trybunału. A na werdykt czeka wniosek prezydenta Andrzeja Dudy o zbadanie konstytucyjności ustawy o Sądzie Najwyższym.

Trudno nie odnieść wrażenia, że była to demonstracja dobrej woli ze strony Ziobry. Ale już następnego dnia wybuchła kolejna polityczna bomba. Tadeusz Cymański, jedna z dotychczas najbardziej popularnych twarzy Solidarnej Polski, ogłosił, że waha się, czy przystąpić do nowej formacji Suwerennej Polski. Podpisu pod deklaracją o wstąpieniu do nowej partii polityk z Malborka nadal nie złożył. Jak mówił PAP: „Dzieją się różne rzeczy. Jest prawdą to, że jestem teraz przed podjęciem ważnej decyzji". Pytany, czy to oznacza powrót do PiS, Cymański odparł: „Jeśli bym się zdecydował, to pierwszą osobą, która się o tym dowie, jest Zbigniew Ziobro [...]. Jestem w ramach Zjednoczonej Prawicy i to jest najważniejsze". Dodał, że niepokoi go spór między premierem a Ziobrą, który nabiera publicznego charakteru. Jak podsumował: „Alternatywą jest kryzys i porażka. Nic nie zostało przesądzone. Sprawa jest otwarta, a szanse na zwycięstwo mamy duże".

Dość popularną hipotezą polityczną jest twierdzenie o używaniu przez Zbigniewa Ziobrę swego wpływu na grupę ok. sześciu sędziów Trybunału Konstytucyjnego zbuntowanych przeciwko szefowej TK

NIEŁATWY WYBÓR

Obecne przeciąganie liny jest bardzo typowe dla burzliwego okresu, jaki następuje we wszystkich partiach, kiedy walka o miejsca wyborcze zbliża się do zenitu. Politycy PiS, w naturalny sposób martwiąc się o swoje reelekcje, z irytacją reagują na konieczność dzielenia się miejscami na listach z ludźmi Ziobry. Tym bardziej że ci, którzy postawili na Morawieckiego, już dzisiaj głośno mówią, że tyle, ile dostanie Suwerenna Polska, wyznaczy sytuację po wyborach, kiedy to znów grupa Ziobry będzie mogła szantażować resztę klubu swoim wetem. Wprowadzaniem na listy ludzi Ziobry nie jest też zachwycone otoczenie premiera, które przewiduje, że ziobryści będą kontynuować swoją ulubioną rolę krytyków Morawieckiego.

Stosunek do ziobrystów na listach Zjednoczonej Prawicy jest też elementem dyskusji, czy Morawiecki ma być nadal premierem w razie szans na trzecią kadencję PiS. Jeden z polityków rządzącej partii mówi: „Ludzie Ziobry to sprawne, młode ugrupowanie, ale jak na mój gust jest zbyt agresywne i egoistyczne. Przywykli do roli wiecznych kontestatorów i nie poczuwają się do odpowiedzialności za całość polityki PiS. Krytykując Morawieckiego często mają rację, ale nie odpowiadają na pytanie, jak PiS u władzy ma sobie radzić z Brukselą. Mówią: »Unia zła«. I co dalej? Wtedy wydają się dawać do zrozumienia: »To już nie mój problem«".

Gdzieś w tle jest i kolejny problem. Politycy czołówki PiS w międzyczasie sporo się już postarzeli. Suwerenna Polska to mimo wszystko pokolenie 40-, 50-latków. A w PiS ich rówieśnicy są w drugim czy trzecim szeregu. Panom po sześćdziesiątce młode „koguciki" kojarzą się z fanfaronadą i arogancją.

Wszelako w obozie PiS są też politycy, którzy po cichu trzymają kciuki za Ziobrę. Jak wskazuje jeden z nich, „Morawiecki musi mieć jakiegoś krytyka w obozie Zjednoczonej Prawicy, bo zbytnio będzie ulegać syrenim śpiewom brukselskich urzędników. Poza tym potrzebujemy Suwerennej Polski jako naszego antidotum na coraz popularniejszą Konfederację". Sprawę komplikuje jeszcze to, że już w paru sondażach Suwerenna Polska uzyskuje 3 proc. W razie samodzielnego startu te 3 proc. nie dają szans na wejście ludzi do Sejmu, ale odebrane PiS głosy mogą być kluczowe do tego, aby sprawować władzę przez kolejną trzecią kadencję.

Jak to się zazwyczaj dzieje w PiS, wszystkie te czynniki będzie musiał zważyć Jarosław Kaczyński. Albo zaryzykuje, odrzuci ziobrystów i uzyska wynik równie dobry jak bez Suwerennej Polski, albo głosów ziobrystów zabraknie mu, aby jeszcze raz stworzyć rząd. Politycy Ziobry zdecydowanie dementują lansowane przez część mediów liberalnych informacje, jakoby żądali od Kaczyńskiego 40 biorących miejsc. Ziobryści zdają się być realistami i wiedzą, że Kaczyński może im dać jedynie tyle samo, ile mają teraz w Sejmie, czyli ok. 20 miejsc. Ale twardo się odgrażają, że nie dadzą sobą pomiatać i są gotowi wystartować osobno. Taka wizja podziału w Zjednoczonej Prawicy to alternatywa, od której obie strony formalnie się odżegnują. Ale każdy, kto pamięta, że polityka jest sumą nie tylko interesów, lecz także emocji, wie, że taki rozwój wydarzeń pojawia się niespodziewanie jak samozapłon. A potem, gdy już sypią się ostre słowa i wzajemne ataki, na cofnięcie pochopnych decyzji bywa już za późno. Dlatego wszyscy czekają na werdykt wielkiego Jarosława.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f270c1a94

Już 5 czerwca w „Do Rzeczy” dodatek

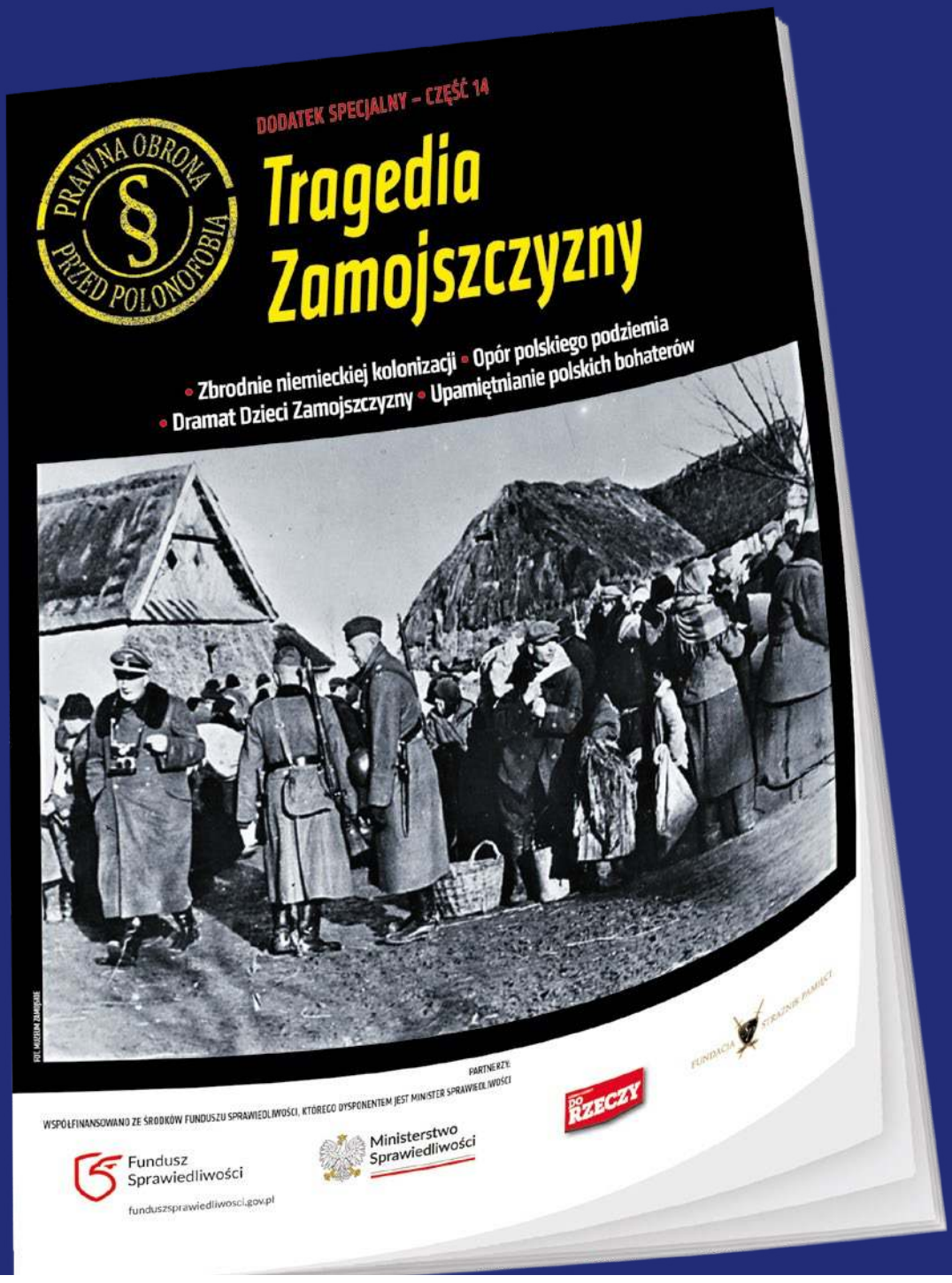

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl 6f270c1a94

Z Ryszardem Czarneckim, eurodeputowanym Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Walczymy o całą pulę

FOT. FILIP NAUMENKO/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI : Co jest stawką nadchodzących wyborów?

RYSZARD CZARNECKI: Można powtórzyć pytanie z pamiętnego wystąpienia premiera Olszewskiego: „Jaka Polska?", ale można też powiedzieć mocniej: „Czy Polska?". W momencie przyspieszenia przez Niemcy – a w szczególności przez kanclerza Scholza – procesu integracji Europy, nacisku na zniesienie weta – na razie w obszarze polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, ale przecież wiadomo, że to tylko pierwszy krok, mały fragment większej całości – potrzeba takiego rządu w Polsce, który będzie umiał się temu przeciwstawić, mówić językiem polskiego interesu narodowego. Słowem: potrzeba rządu polskiego, a nie tylko rządu w Polsce.

Czy premier Morawiecki i jego rząd spełniają te kryteria? Czy to gabinet na czas dziejowej próby, która – jak wiele wskazuje – stoi przed Polską?

Rząd Prawa i Sprawiedliwości nie jest ani rządem aniołów, ani rządem idealnym. Mówił o tym nieraz Jarosław Kaczyński, a także poszczególni ministrowie przyznają się do różnych błędów. Musimy mieć świadomość, że wybory Anno Domini 2023 w Polsce to starcie między obozem patriotycznym, niepodległościowym, narodowym a obozem kosmopolitycznym, internacjonalistycznym. Dlatego stawka tych wyborów jest wyjątkowo wysoka. Nawet jeśli obecny rząd polski – celowo nie używam określenia „rząd PiS", bo to rząd dysponujący silnym demokratycznym mandatem – popełnia błędy czy nie zawsze właściwie diagnozuje sytuację, to i tak jest to niebo a ziemia w odniesieniu do tego, czym jest totalna opozycja. To bardzo ostry wybór, jak między czarnym a białym.

Skoro tak ujął pan wybór, który czeka Polaków jesienią, to czy to oznacza, że w październikowych wyborach dojdzie do kulminacji tzw. wojny polsko-polskiej, a jej wynik określi przyszłość kraju w znacznie dłuższym horyzoncie niż kadencja Sejmu?

Te wybory to wóz albo przewóz. Wybory, które zdecydują o pozycji Polski na arenie międzynarodowej, o znaczeniu polskiego państwa w wymiarze zewnętrznym, a także wewnętrznym, gospodarczym na całe lata, może nawet na dekady. Co do wojny polsko-polskiej, nie przepadam za tym terminem, bo dla mnie to przede wszystkim starcie między obozem patriotycznym a obozem kosmopolitycznym. Muszę jednak przyznać jako człowiek od dziesięcioleci obserwujący wybory i kampanie wyborcze na kilku kontynentach, że w ostatnim czasie ma miejsce wyraźna brutalizacja polityki, zarówno w USA, jak i w różnych krajach Europy, np. we Francji, o czym świadczy skazanie na więzienie byłego prezydenta Sarkozy'ego. To, co się dzieje w polskiej polityce, jest więc częścią szerszego procesu. Pozwolę sobie przypomnieć w tym miejscu słowa Romana Dmowskiego, któ-

eprasa.pl 6f270c1a94

ry 100 lat temu opublikował słynny tekst, zatytułowany „Gdybym był wrogiem Polski". Dmowski dowodził w nim, że w interesie sąsiadów Polski, bliższych i dalszych, naszych konkurentów geopolitycznych i ekonomicznych, naszych przeciwników jest to, żeby Polacy maksymalnie byli skłóceni. Wiele wokół się zmieniło, ale te słowa pozostają aktualne.

Obraz, który wyłania się z sondaży, wskazuje, że PiS ma niewielkie szanse na samodzielne rządy po najbliższych wyborach. Czy pana ugrupowanie jest gotowe na współpracę, być może koalicję z Konfederacją, której ideowym patronem jest przywołany przez pana Roman Dmowski?

Walczymy o całą pulę, to oczywiste. Zapewne nie mamy specjalnych szans na wynik, który zapewnił Viktorowi Orbánowi większość konstytucyjną na Węgrzech. Uważam jednak, że absolutnie nie należy wykluczać scenariusza, w którym będziemy mieli bezwzględną większość w Sejmie, nawet jeśli będzie to niezbyt duża bezwzględna większość. Ten scenariusz cały czas jest możliwy. Spodziewam się, że w sytuacji polaryzacji, która będzie nieuniknionym efektem kampanii wyborczej, wyborcy będą coraz bardziej dzielić się na PiS i anty-PiS, uosabiany przez PO. A na tym tracić będą przede wszystkim formacje PSL i Hołowni oraz Lewica. Ich słabsze wyniki w wyborach mogą zwiększyć szanse Prawa i Sprawiedliwości na samodzielne rządy.

Oczywiście istnieją także inne warianty, np. – czego byśmy nie chcieli, bo niespecjalnie było to praktykowane w polskiej tradycji politycznej w przeciwieństwie do krajów nordyckich – rząd mniejszościowy utworzony przez PiS z poparciem jakiegoś ugrupowania umiarkowanej opozycji, np. Konfederacji. To też jest scenariusz, który wchodzi w grę, choć najmniej chciany z tych gwarantujących rządzenie. Scenariusz ryzykowny, bo jako człowiek, który jest długo w polskiej polityce, pamiętam, że rządy mniejszościowe mają patent na rządzenie w Skandynawii, ale już nie w Polsce. Mieliśmy rząd Bieleckiego, który przetrwał rok, rząd Olszewskiego, który rządził niecały rok, rząd Suchockiej z niewiele dłuższym stażem czy też mniejszościowy rząd u schyłku koalicji SLD i PSL, a wymienię jeszcze gabinet, który rządził krótko po rozwodzie AWS z Unią Wolności.

Suwerenna Polska różni się od PiS, tak jak w swoim czasie różniła się od nas formacja Jarosława Gowina

W polskich realiach rząd mniejszościowy zawsze wiązał się z mniejszymi lub większymi politycznymi turbulencjami...

Dokładnie. Dlatego koncept rządu mniejszościowego, który jest wręcz pewnego rodzaju normą w krajach skandynawskich, u nas nie jest specjalnie praktykowany, poważany i rozważany. Ale oczywiście niczego nie można wykluczać. Istnieje jeszcze trzeci wariant: wariant koalicji. Jednak żaden poważny polityk nie będzie mówił o koalicji przed wyborami, tylko zawsze po wyborach. Zatem na tym kończę swoją odpowiedź.

Ostry spór pomiędzy środowiskiem Suwerennej Polski a premierem Morawieckim odzwierciedla realny podział w Zjednoczonej Prawicy w sprawie relacji Polski z Unią Europejską czy jest tylko sporem pozorującym manewr polityczny, który ma uderzyć w Konfederację poprzez pokazanie, że w Zjednoczonej Prawicy jest alternatywa dla wyborców, dla których PiS jest zbyt uległy wobec Brukseli?

Myślę, że nie trzeba nikogo przekonywać, że Suwerenna Polska różni się od PiS, tak jak w swoim czasie różniła się od nas formacja Jarosława Gowina. Wiemy, jak skończyły się spory pomiędzy formacją Jarosława Kaczyńskiego a strukturą budowaną przez byłego wicepremiera, której nazwę już mało kto pamięta. Mogę tylko potwierdzić, że różnice pomiędzy PiS a Suwerenną Polską są realne, to nie jest tak, że zostały wymyślone w gabinecie prezesa Kaczyńskiego. To są różnice merytoryczne. Nie uważam jednak, żeby były one czymś specjalnie złym. One bazują na rzeczywistym pluralizmie panującym w rządzie Zjednoczonej Prawicy, którego państwo z opozycji liberalno-lewicowej pewnie nie rozumieją. Żeby było jasne: te różnice istniały wcześniej, a mimo to szliśmy razem do wyborów już siedem razy i zawsze były to wybory zwycięskie. Różnice polityczne w obozie anty-PiS być może są mniejsze niż w obozie patriotycznym. Ale co z tego, skoro oni się podzielili i startują z osobnych list wyborczych, co najmniej czterech, a my – choć różnice między nami są wyraziste – po raz ósmy idziemy do wyborów jako jedna formacja? Także po wyborach pozostaniemy jedną formacją.

Co do Konfederacji, to wypracowała sobie ona szerszy elektorat, niż określił to pan w swoim pytaniu. Na Konfederację chcą też głosować młodzi wyborcy o poglądach liberalnych, których formacja Winnickiego i Bosaka odbiera, uwaga, Platformie Obywatelskiej. Stąd ten ostry atak na Konfederację w ostatnich tygodniach w mediach liberalno-lewicowych, które zauważyły, że skończył się czas, w którym Konfederacja odbierała elektorat tylko PiS. Być może teraz przepływ wyborców między PiS a Konfederacją ma miejsce nadal, ale przede wszystkim ta formacja podbiera liberalnych wyborców PO. Konkludując: Suwerenna Polska jest wciąż alternatywą dla zwolenników twardej prawicy, ale Konfederacja potrafiła poszerzyć swoją bazę wyborczą – dziś to nie tylko eurosceptycy. Trzeba to widzieć i tego nie lekceważyć.

Rozproszenie obozu anty-PiS na osobne listy wyborcze wcale nie musi wyjść opozycji na złe. Niektórzy politolodzy przekonują, że to może być patent na zbudowanie większości w Sejmie i stworzenie liberalno-lewicowego rządu.

Nie wierzę w taki scenariusz. Uważam, że podział opozycji zniechęci jej wyborców. Część z tych zniechęconych na pewno nie zagłosuje na PiS, a także pewnie nie zagłosuje na nikogo. W moim przekonaniu wyborcy potrafią politykom wiele wybaczyć, ale nie brak jedności. Myślę, że spora część wyborców anty-PiS nie wybaczy braku jednej listy. Skądinąd liberalne media i sama Platforma same strzelały sobie w stopę, dyskutując tyle o jednej liście, próbując wymusić ją na Kosiniaku-Kamyszu, Hołowni i Czarzastym. Przedstawiano to jako jedyny sposób na pokonanie PiS. Teraz zwolennicy opozycji, którym miesiącami tłoczono do głów potrzebę powołania wspólnej listy, mogą być zdezorientowani. Mogą pomyśleć, że skoro nie ma jednej listy, to wybory są znów przegrane. Jednym słowem: totalna opozycja i wspierające ją media zakiwały się na polityczną śmierć. Ale oczywiście zwycięstwo obozu patriotycznego nie leży na tacy. Trzeba na nie ciężko zapracować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f270c1a94

Niech szum medialny nie przesłania faktów

Tomasz Rowiński

Materiałom opublikowanym przez Tomasza Krzyżaka i Piotra Litkę w „Liście księży podejrzanych i skazanych za przestępstwa seksualne w czasach PRL" trzeba postawić pewne pytania. To potrzebne opracowanie – potrzebne także dlatego, że nie pozwala zapomnieć o konieczności rozliczenia się instytucji kościelnych z przeszłością – ma też swoje słabe strony

FOT. ADOBE STOCK

Lista księży podejrzanych i skazanych za przestępstwa seksualne w czasach PRL" opublikowana 18 maja br. razem z tekstami towarzyszącymi na łamach „Rzeczpospolitej" przez dwóch dziennikarzy – Tomasza Krzyżaka i Piotra Litkę – zasługuje na uwagę i powinna być przedmiotem uczciwej dyskusji. Choćby dlatego, że to w dużej mierze dzięki pracy tych dwóch autorów możliwe stało się skuteczne podważenie oskarżeń, które przeciwko Janowi Pawłowi II podnieśli Marcin Gutowski i Ekke Overbeek, wspierani propagandowo przez medialne koncerny Agory i TVN. Jest też oczywiste, że mamy w przypadku tych autorów do czynienia z zupełnie innym formatem dziennikarstwa niż to, którego symbolem stał się Tomasz Sekielski. Ten zaś na łamach „Newsweeka" zapewniał o rzetelności autora książki „Mea culpa. Jan Paweł II wiedział". Nie znaczy to, że w materiale Krzyżaka i Litki nie znajdziemy słabszych punktów.

Jakie informacje przynosi nam raport dziennikarzy „Rzeczpospolitej"? We wprowadzeniu do tekstu czytamy, że zawiera on nazwiska i biogramy 117 osób, głównie księży, stojących za 121 przypadkami, w których „doszło lub mogło dojść do wykorzystania seksualnego małoletnich". Chodzi o osoby, wobec których toczyło się postępowanie prowadzone przez władze państwowe. Z tej listy 72 osoby zostały skazane, w 24 przypadkach, jak piszą autorzy, doszło do „wątpliwych umorzeń". Na czym polega ta wątpliwość? Na przykład na tym, że „wszystkie ofiary wycofały zeznania lub nikt nie złożył oficjalnego zawiadomienia o przestępstwie". Inne przypadki to umorzenie będące następstwem zgody duchownego na współpracę z SB. Miały miejsce też sytuacje, w których „organa śledcze nie podjęły sprawy", „zastosowano amnestię lub sprawca zmarł". W 11 przypadkach doszło do „bezdyskusyjnego umorzenia lub uniewinnienia podejrzanego", a w 14 przypadkach finał sprawy nie jest do określenia na podstawie dostępnych dziennikarzom dokumentów.

Tomasz Krzyżak i Piotr Litka pokusili się także o bardziej ogólne podsumowanie sprawy krzywd na tle seksualnym w środowisku kościelnym w czasach komunistycznych. „Od kilku lat dane statystyczne zbiera Episkopat Polski. Wynika z nich, że aż 177 przypadków wykorzystania seksualnego małoletnich miało miejsce przed rokiem 1990. Z danych tych nie da się wyodrębnić liczby skrzywdzonych. W naszej kwerendzie – po drobiazgowym przestudiowaniu dostępnych dokumentów – ich liczbę szacujemy na co najmniej 520 osób. Na jednego sprawcę (110) przypada zatem średnio ok. pięciu osób skrzywdzonych. Zestawiając te dane z danymi KEP i uwzględniając ewentualne błędy, można powiedzieć, że między 1944 a 1989 r. duchowni i osoby związane z Kościołem skrzywdziły aż 1,1 tys. osób. I jest to naszym zdaniem liczba minimalna. Faktyczna liczba pokrzywdzonych może być nawet kilkukrotnie wyższa, bo ujawniany lub wykrywany jest niewielki procent tego typu przestępstw" – konkludują autorzy „Rzeczpospolitej".

WPŁYWY BEZPIEKI

Co wynika z ustaleń Tomasza Krzyżaka i Piotra Litki? W znacznej mierze potwierdzają one choćby zazębiający się problem podwójnego moralnego uwikłania części duchowieństwa. Problemy natury seksu-

eprasa.pl 6f270c1a94

alnej niejednokrotnie pociągały za sobą szantaż ze strony bezpieki i werbunek na podstawie kompromitujących informacji. W zamian dawano gwarancję bezkarności, a także wyciszenia sprawy.

Najważniejsza w tym zakresie konkluzja zanotowana przez Krzyżaka i Litkę znajduje się w jednym z tekstów towarzyszących. „Przebadane sprawy pokazują, że sprawcy wykorzystania nie ponosili właściwie konsekwencji przewidzianych przez prawo kościelne. Z zakonu wyrzucono tylko jednego brata zakonnego, a z seminarium jednego kleryka. Ze stanu duchownego usunięto jednego księdza. Kilku odeszło samodzielnie. Pozostali wrócili zaś do pracy – niektórzy w kolejnych parafiach dopuszczali się przestępstw".

To prawda, że prawo kościelne w tamtych czasach działało inaczej, niż ma to miejsce dziś, i często uznawano, że kara wymierzona przez świecki wymiar sprawiedliwości jest w zupełności wystarczająca. Także, do roku 1983, grzechy przeciwko szóstemu przykazaniu nie były zagrożone wydaleniem z kapłaństwa, o czym obaj autorzy napisali w osobnym tekście opublikowanym 24 maja br. Nie ulega jednak wątpliwości, że zasygnalizowany powyżej brak roztropności przełożonych wobec księży popełniających czyny w „materii poważnej grzechu" trzeba uznać za obciążający niezależnie od okoliczności. A te oczywiście, w sytuacji działania w ramach państwa totalitarnego, nie były łatwe. Sposób działania kard. Wojtyły – opisany przez tych samych autorów na jesieni 2022 r. – pokazuje jednak, że godne podejście do problemu było możliwe. Niezależnie od kwestii możliwości wydalenia ze stanu kapłańskiego seksualni predatorzy nie powinni wracać do duszpasterstwa, a wracali.

Lekceważący stosunek przełożonych kościelnych do problemu przemocy seksualnej skutkował zatem nieustannym rozszerzaniem się grona osób pokrzywdzonych, a także umacnianiem się wpływów bezpieki w środowisku katolickiego duchowieństwa. Niestety, z tymi problemami nie zrobiono nic także po roku 1989, kiedy totalitarna presja zniknęła. Gdyby Kościół zdecydował się na lustrację i ujawnił skalę współpracy duchownych z SB i UB, możliwe byłoby także – poprzez rzetelne ich opisanie – zamknięcie wielu przypadków u podstaw, u których stały skandaliczne zachowania seksualne duchownych. Wybuchające dziś miny można było rozbroić, a także z otwartą przyłbicą zadośćuczynić ofiarom, choćby przez powiedzenie i potwierdzenie prawdy.

Ponieważ jednak żadne oczyszczające opisanie przeszłości się nie dokonało, trudno się dziwić, że opinie, takie jak ta wyrażona przez ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego 20 maja br. także na łamach „Rzeczpospolitej", wedle których skala tuszowania przypadków kościelnej przemocy seksualnej jest ogromna, przynajmniej psychologicznie się uprawdopodabniają. „Dany sprawca mógł skrzywdzić dziesiątki osób. Najlepszy przykład w Polsce to sprawa nadal żyjącego w diecezji tarnowskiej księdza, którego biskup Wiktor Skworc, mając pełną świadomość, co on robił, przeniósł na Ukrainę, a wcześniej przenosił z parafii na parafię. On dokonał molestowań nie tylko w Polsce, ale i na Ukrainie. Dzisiaj to jest co najmniej 90 osób. Czyli jeden sprawca, 90 ofiar i biskup, który do dziś za to świadome tuszowanie nie ponosi żadnej odpowiedzialności. Dalej jest arcybiskupem, tym razem w Katowicach" – powiedział ks. Isakowicz-Zaleski. Można wręcz powiedzieć, że praca, jaką Kościół dziś wykonuje na rzecz ochrony osób narażonych na przemoc seksualną, jest w jakiejś mierze marnotrawiona – przynajmniej wizerunkowo – z powodu stosunku kościelnej hierarchii do przeszłości.

WAŻNE PYTANIA

Materiałom opublikowanym przez Tomasza Krzyżaka i Piotra Litkę trzeba też jednak postawić pewne pytania. To potrzebne opracowanie – potrzebne także dlatego, że nie pozwala zapomnieć o konieczności rozliczenia się instytucji kościelnych z przeszłością – ma też swoje słabe strony. Ujawniają się one choćby w pewnego rodzaju eskalacyjnej retoryce, którą znajdujemy już w tytule („Pedofilia. Ogromna skala") jednego z tekstów towarzyszących „Liście", a także we wspomnianym wywiadzie z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim („Skala tuszowania pedofilii w Kościele jest ogromna"). Wydaje się, że redaktorzy „Rzeczpospolitej" postanowi zmaksymalizować medialny efekt swojego, jednak ograniczonego co do zakresu, badania poprzez niekoniecznie uzasadnione efekty estymacji ich wyników na cały Kościół.

Nie znaczy to, że na pewno skala pedofilii, a szerzej przemocy seksualnej w Kościele w czasach PRL była niewielka. Po prostu nie otrzymaliśmy na to właściwie żadnych dowodów. Trzeba zapytać, jaki punkt odniesienia przyjęto, by szacunkową liczbę 1,1 tys. osób pokrzywdzonych uznać za „ogromną". W sensie moralnym i egzystencjalnym rzeczywiście możemy mówić o niedopuszczalnym cierpieniu każdej z tych osób, a zapewne także ich rodzin. Jednak teksty z „Rzeczpospolitej", a za nimi wiele komentarzy w mediach, sugerują grozę na poziomie statystycznym. Być może kategoria ta miałaby sens, gdyby została zestawiona z liczbą przestępstw seksualnych duchownych popełnionych we Włoszech, w Niemczech czy we Francji. Takiego odniesienia jednak nie ma.

Podobnie trudno pozytywnie zweryfikować komunikat o „ogromnej skali", jeśli przyjmuje się, jak robią to autorzy, że mamy do czynienia z przypadkami przemocy seksualnej popełnionej przez „duchownych i świeckich pracujących w Kościele". Można szacować, że w latach 1944–1989 takich osób było kilkaset tysięcy, zatem i 300 sprawców stanowi odsetek całości na poziomie promila. Także w perspektywie czasowej trudno o uzyskanie „ogromnej skali". Szacowane 1,1 tys. ofiar przez 45 lat daje ok. 24 przypadków rocznie.

FAKTY WŚRÓD SZUMU

Czy to znaczy, że zakładam tak niską skalę przemocy seksualnej w Kościele? Oczywiście, że nie. Pewna ostrożna estymacja jest publicystycznie uprawniona. Chodzi po prostu o to, że jeśli przygotowuje się materiał mający oddziaływać faktograficznie, to nie warto tych faktów zagłuszać hasłami, które mają znaczenie raczej marketingowe.

Do dziś mało kto pamięta, jak złym raportem okazał się ostatecznie ten przygotowany na zlecenie Kościoła we Francji. Każdy pamięta za to „ogromną skalę" nadużyć, która miała tam być przedstawiona za pomocą szokujących liczb. Czy jednak miały one oparcie w rzetelnie zebranej wiedzy? No właśnie. Niekoniecznie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f270c1a94

Z prof. Andrzejem Soleckim z Instytutu Nauk Geologicznych Uniwersytetu Wrocławskiego, od 30 lat prowadzącym badania promieniotwórczości w środowisku
rozmawia Łukasz Zboralski

Uran w pociskach stosowany jest po to, by lepiej penetrowały przeszkody. Na zdjęciu: amerykańska amunicja ze zubożonym uranem stosowana w 2004 r. w Iraku FOT. STAN HONDA/AFP/EAST NEWS

Uran na Ukrainie, niepokój w Polsce

ŁUKASZ ZBORALSKI: Ludzie w Polsce się wystraszyli, bo na Ukrainie w Chmielnickim miał zostać trafiony dronami magazyn amunicji ze zubożonym uranem. W sieciach społecznościowych zaczęto się ostrzegać przed promieniowaniem...

PROF. ANDZRZEJ SOLECKI: Rosjanie twierdzą, że były tam pociski ze zubożonym uranem. Ukraińcy na razie tego nie potwierdzają. Wybuchy miały mieć miejsce w Chmielnickim i Tarnopolu. Jest nagranie eksplozji, które pokazywała telewizja Al-Dżazira, ale nie ma pewności, że to akurat wybuchy w tych miejscach.

Możemy więc zatem porozmawiać o tym, co by to oznaczało, gdyby rzeczywiście trafiono na Ukrainie w magazyny z pociskami ze zubożonym uranem.

To chyba najpierw musimy wyjaśnić, czym jest zubożony uran.

Uran występujący w przyrodzie składa się głównie z dwóch izotopów. To uran 238, którego jest najwięcej w przyrodzie, ponad 99 proc., oraz uran 235, którego jest 0,7 proc. w naturze.

Uran 235 jest pożądanym paliwem jądrowym i pożądanym materiałem do konstrukcji bomby atomowej. Jest jego jednak bardzo mało. Trzeba przeprowadzać wzbogacanie uranu w ten izotop – w przypadku bomby atomowej trzeba osiągnąć jego zawartość rzędu 90 proc.

Z kolei uran zubożony w izotop uranu 235 składa się głównie z izotopu uranu 238. Uranu zubożonego jest bardzo dużo w magazynach, charakteryzuje się on gęstością blisko dwa razy większą niż ołów, czyli 19 t/m sześc. (gęstość ołowiu to 11,3 t/m sześc.). Dlatego jest wykorzystywany w pociskach. O sile penetracji pocisku decyduje energia kinetyczna, pewnie każdy przypomni sobie wzór ze szkoły podstawowej: m*v2/2. Im większą masę upchamy w pocisku, tym większa będzie jego penetracja w przeszkodzie. Uran jest więc przydatny, bo jest najtańszym tak gęstym metalem, potocznie można powiedzieć „cięższym", ale to nie jest fachowe określenie. Złoto ma podobną gęstość, a platyna nawet większą, ale są one znacznie droższe od uranu, który przed zubożeniem kosztuje ok. 70 dol. za kilogram.

No dobrze, a jak jest z promieniowaniem tego uranu w pociskach?

Uran 238 ma okres połowicznego rozpadu prawie 4,5 mld lat. Zapoczątkowuje cały szereg kolejno powstających radioizotopów, które emitują różne promieniowania. Uran 238 emituje głównie promieniowanie alfa. To duża cząstka złożona z dwóch protonów i dwóch neutronów – zjonizowane jądro helu. Zasięg takiego promieniowania w powietrzu nie przekracza 10 cm. Zatrzymuje je kartka papieru.

Jednak przy dostaniu się źródła promieniowania alfa do wnętrza organizmu tkanki podlegają napromieniowaniu i jakieś efekty mogą nastąpić. Zasadniczo efekty te w przypadku zubożonego uranu są lekceważone, choć moim zdaniem nie całkiem słusznie.

To co może się stać w przypadku kontaktu z uranem?

Gdyby przed panem leżała 10-centymerowa bryłka uranu 238, to nic by się panu nie stało. Ten uran jest przecież montowany np. w pancerzach czołgów. Natomiast gdyby taką bryłkę zmielić na drobny pył, który pan skonsumuje lub będzie wdychał, to wtedy te wszystkie cząstki alfa mają kontakt z komórkami pana ciała.

eprasa.pl 6f270c1a94

W przypadku penetracji przez pancerz czołgu dochodzi do zapalenia tego uranu i powstaje drobnoziarnisty pył, tlenków uranu. Jest on rozpraszany w środowisku. I jeśli ktoś będzie to spożywał, to ma szansę trochę się napromieniować.

To wygląda analogicznie jak z gazem radonem, który występuje powszechnie w środowisku i bywa nawet używany do inhalacji w sanatoriach. Radon również emituje promieniowanie alfa, przechodzi do organizmu przy oddychaniu, rozprzestrzenia się i naświetla promieniowaniem alfa. W małych dawkach uznawane jest to za pożyteczne, w dużych – może spowodować raka płuc.

Z tego, co pan mówi, wynika, że promieniowania z takiego wybuchu składu amunicji gdzieś na Ukrainie bać się nie powinniśmy.

Większym problemem w przypadku uranu 238 jest to, że uznawany jest po prostu za toksyczny chemicznie.

Po wojnach w Jugosławii i na Bliskim Wschodzie, gdzie używano amunicji ze zubożonym uranem, podnosiły się głosy, że mogło to spowodować wzrost zachorowań na raka – to jednak nie zostało potwierdzone. Czytałem też o przypadkach, gdy w ciele żołnierza USA, w przypadku tzw. friendly fire, utkwił duży, nieoperacyjny kawałek takiego uranu jako odłamek, tkwił on w ciele i nic się nie działo.

Inna sprawa, gdy taki uran jest rozproszony. Wśród uczestników tych wszystkich wojen oraz misji pokojowych przeprowadzano badanie na zawartość uranu w moczu. Bo jest on toksyczny.

Polska Agencja Atomistyki w sprawie tych rzekomych wybuchów na Ukrainie od razu wydała uspokajający komunikat. Podano, że wzrost promieniowania był niewielki. Zauważono podwyższone wartości bizmutu 214, ale stwierdzono, że to efekt opadów atmosferycznych. O co tu właściwie chodzi?

Wyjaśnię. Po prostu w atmosferze jest radon, emitowany ze skorupy ziemskiej, w której występuje uran i wszystkie produkty jego rozpadu. Po radonie w szeregu rozpadu uranu powstają kolejne izotopy i wśród nich bizmut 214. Po deszczu wszystko to opada na grunt i może być nieco podniesione promieniowanie. To znany efekt i jak najbardziej prawdziwy. Sęk w tym, że ja nie spodziewałbym się wyższych wartości bizmutu 214 z pocisków uranowych. No chyba że byłaby to gigantyczna ilość uranu, w którym ta niewielka ilość bizmutu już się pojawiła. Ale nie jest to prawdopodobny scenariusz.

Trzeba by produkty przyjeżdżające z Ukrainy kontrolować pod kątem obecności uranu czy promieniowania alfa

Ten komunikat PAA jest więc trochę słaby merytorycznie. Bizmut 214 ma prawo pojawiać się, gdy mamy do czynienia z uranem 238. Pojawia się on w szeregu rozpadu uranu po kilku innych radioizotopach. Jeśli mamy chemicznie czysty uran pozbawiony produktów rozpadu – a prawie taki mamy w tych pociskach – to w nim tego bizmutu nie ma. On dopiero będzie się w nim stopniowo gromadzić i upłynąć musi ponad milion lat, by doszło do stanu równowagi.

Jeśli komunikat mówił o bizmucie 214, to mówił o promieniowaniu gamma. Tymczasem nas – jeśli mielibyśmy do czynienia z rozproszonym uranem 238 – interesowałoby jednak promieniowanie alfa… Jeśli ktoś komunikuje, że mamy być spokojni i mówi nie o tym promieniowaniu, jakie powinniśmy wykryć, to jest to niedoprecyzowany komunikat.

Czyli promieniowanie bizmutu 214, które było niskie i które przywołała PAA, mogło być niskie, ale nie ma to nic wspólnego z uranem mogącym pochodzić z pocisków?

Jak sobie pan weźmie do domu taką próbkę uranu 238, to ona z upływem czasu będzie coraz bardziej radioaktywna i po ponad milionie lat promieniowanie osiągnie swoje maksimum.

Nie wiem, czy pan pamięta historię Marii Curie-Skłodowskiej? Ona stwierdziła, że odpady po wydobyciu uranu z rudy były bardziej radioaktywne niż sam uran. W ten sposób odkryła rad i polon.

Wracając do czystego uranu – on emituje głównie promieniowanie alfa, nie jest specjalnie groźny, bo ma długi okres połowicznego rozpadu, czyli przez 4,5 mld lat rozpada się połowa atomów obecnych w próbce. Dlatego jest stosowany np. jako domieszka do plomb dentystycznych, bo taka plomba ładnie opalizuje. Złociste farby, złocista ceramika mają często jego domieszki. Najstarszy przykład jego użycia w tych celach to 79 r. po Chrystusie. Badając miejsce tragedii w Pompejach, stwierdzono, że naczynia ceramiczne były barwione uranem. Oczywiście ówcześni ludzie nie wiedzieli jeszcze, że to uran. Używali go dlatego, że dawał złotą barwę, którą mają jego niektóre związki.

Całe pana wyjaśnienia z jednej strony mnie uspokajają. Z drugiej strony czuję lekki niepokój, gdyż wskazał pan, że w zasadzie komunikat PAA nie wspomina o pomiarach aktywności promieniotwórczej alfa.

I nie wiemy, ile czego naprawdę na Ukrainie wybuchło i przedostało się do atmosfery.

Pojawia się jednak jeszcze jeden problem, nad którym warto się zastanowić. To sprawa importu żywności z Ukrainy. Jeżeli rzeczywiście doszło do eksplozji magazynów z pociskami, w których wykorzystano zubożony uran, i jeśli pyły po takim wybuchu osiadły na jakiś uprawach, to dostały się do płodów rolnych. Trzeba by więc takie produkty przyjeżdżające z Ukrainy kontrolować pod kątem obecności uranu czy promieniowania alfa – zwłaszcza z regionów, w których rzekomo miało dość do eksplozji. Nie jestem specjalistą od analityki w tym zakresie, ale takie metody istnieją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Andrzej Solecki
– wykładowca Uniwersytetu Wrocławskiego, był przedstawicielem Polski w projektach „Environmental Restoration in Central & Eastern Europe (uranium mines). MAEA Wiedeń"; „Technology for cleanup and remediation of radioactively contaminated sites. MAEA Wiedeń"; ekspertem konsorcjum Consulting & Engineering, Uranerz, Iwaco przygotowującego bazę danych o środkowoeuropejskim górnictwie uranu; kierownikiem zespołu stworzonego przez firmę Atkins-Polska sp. z o.o. dla przygotowania opracowania na temat złóż uranu w Polsce wykonywanego na zlecenie Ministerstwa Środowiska.

eprasa.pl 6f270c1a94

Z Abigail Shrier, publicystką „Wall Street Journal", autorką książki „Nieodwracalna krzywda"
rozmawia Piotr Włoczyk

Pandemia „transpłciowości"

PIOTR WŁOCZYK: Zacznijmy od liczb. Jeszcze nieco ponad dekadę temu przeciętnie jedna osoba na 10 tys. cierpiała na dysforię płciową – poczucie silnego dyskomfortu wobec swojej biologicznej płci. W zdecydowanej większości przypadłość ta dotykała chłopców. Dziś w USA sytuacja wygląda już jednak zupełnie inaczej...

ABIGAIL SHRIER: Teraz mamy do czynienia z prawdziwą eksplozją przypadków „transpłciowości" wśród nastolatków. Mówimy tu o wzroście o ponad 1 tys. proc. i ta fala cały czas wzbiera. Obecnie jednak w zdecydowanej większości ofiarami tego zjawiska padają dziewczęta.

W swojej książce, tłumacząc przyczyny tego zjawiska, porównuje pani transpłciowość z pokemonami i hula-hoop. Dlaczego?

Chodzi o rozchodzenie się pewnych zjawisk w naszych społeczeństwach. Ludzie to istoty społeczne, więc nie ma nic dziwnego w tym, że idee czy zachowania naśladowane są w sposób masowy, szczególnie wśród nastoletnich dziewcząt. Wiemy bowiem, że ta grupa społeczna jest wyjątkowo podatna na mody społeczne.

> **To zaraźliwa moda. Czasem wystarczy, że jedna z dziewcząt, która ma duży wpływ na grupę, ogłosi, że jest „trans", i zaczyna się „epidemia" wśród jej koleżanek**

Transpłciowość staje się dziś... modą?

Tak, ale musimy tu rozróżnić dwie kategorie osób. Ludzi, którzy już w wieku kilku lat zaczęli zdradzać objawy dysforii płciowej, oraz młodzież, która nagle ogłasza, że jest transpłciowa, co jest szokiem dla ich rodzin. Jeżeli chodzi o dziecięcą dysforię płciową, to w ogromnej większości przypadków, ponad 70 proc., zaburzenie to ustępuje samoczynnie, zanim dziecko wejdzie w dorosłość. Moja książka nie dotyczy tej niewielkiej grupy dorosłych ludzi, która od dziecka cierpi na dysforię płciową. Napisałam książkę o ogromnym problemie społecznym wśród nastolatek, który staje się coraz

eprasa.pl 6f270c1a94

FOT. ADOBE STOCK

Mamy do czynienia z prawdziwą eksplozją przypadków „transpłciowości" wśród nastolatków

bardziej palący. Chodzi o zagubioną młodzież, niewykazującą nigdy wcześniej objawów klasycznej dysforii płciowej, która na skutek działań aktywistów transpłciowych nagle zaczyna się w ten sposób identyfikować.

Wracając do kwestii młodzieżowej mody: niektóre z tych trendów są zupełnie niegroźne, jak choćby pokemony czy hula-hoop. Ale niektóre z nich są bardzo niebezpieczne, jak właśnie transpłciowość. Szczególnie, gdy „specjaliści" od gender zaczynają oferować takiemu młodemu człowiekowi hormony płci przeciwnej czy operacje, które na zawsze go okaleczą. A niestety, dzieje się tak coraz częściej.

Cytowana przez panią w książce lekarka, dr Lisa Littman, uważa, że to wręcz zaraza wśród młodzieży.

Nie sposób się nie zgodzić z dr Littman. Inni badacze tego tematu, którzy podchodzą do całej sprawy w sposób naukowy, potwierdzili jej obserwacje. W trakcie zbierania materiału do mojej książki, na co składały się rozmowy z setkami osób, które przez to przechodziły, doszłam do podobnego wniosku. Te historie są niesamowite. Nigdy nie zapomnę rozmowy z pewną pracownicą Planned Parenthood (PP).

Co ma wspólnego z transpłciowością firma, która jest największą siecią klinik aborcyjnych w USA?

Od pewnego czasu PP jest też jednym z największych dostarczycieli testosteronu dla młodych Amerykanek. Ta kobieta pracowała w PP jako pielęgniarka. Powiedziała mi, że dziewczyny pojawiające się w klinikach odbywały coś na kształt wspólnej celebracji pierwszej dawki testosteronu. „Tradycyjna" dysforia płciowa nigdy tak nie wyglądała. Doktor Littman ustaliła, że transpłciowość pojawia się nawet 70-krotnie częściej niż zwykle wśród niektórych grup znajomych… Nie ma żadnego innego powodu, dla którego ta rzadka przypadłość miałaby się objawiać tak często w ramach pewnych grup koleżeńskich. Odpowiedź jest oczywista: to po prostu zaraźliwa moda. Czasem wystarczy, że jedna z dziewcząt, która ma duży wpływ na grupę, ogłosi, że jest „trans", i zaczyna się „epidemia" wśród jej koleżanek.

Co jest przyczyną zaostrzania się tego problemu?

Widzimy tu korelację z rozwojem mediów społecznościowych. W ciągu ostatniej dekady pojawiły się platformy, dzięki którym problemy z dziedziny zdrowia psychicznego zaczęły się roznosić jak zaraza. Dlaczego jej ofiarami padają głównie dorastające kobiety? Musimy tu wyjaśnić, że i bez mediów społecznościowych dziewczęta w okresie dojrzewania przeżywają trudne chwile. Ich ciała się zmieniają, co powoduje problemy z samooceną. Krótko mówiąc, przeciętna nastolatka czuje się fatalnie ze swoim zmieniającym się ciałem, szczególnie z menstruacją. To oczywiście przechodzi, ale przez kilka lat jest ona bardzo wrażliwa na tym punkcie. Wcześniej grupy koleżanek zamykały się w pokojach i użalały się wspólnie nad swoim losem. Teraz jednak, w dobie mediów społecznościowych, gdy mamy całą masę „ekspertów" do spraw tranzycji, którzy opisują, jak cudownym przeżyciem było przyjęcie pierwszej dawki testosteronu, mamy gotowy przepis na tragedię dla najbardziej wrażliwej części tej grupy. Testosteron to bowiem jeden z najgorszych możliwych wyborów,

eprasa.pl 6f270c1a94

jeżeli chodzi o środki mogące pomóc w przezwyciężeniu problemów dorastającej dziewczyny.

Autorom tych filmików nie można odmówić talentu...

Te filmiki to całkiem spora gałąź biznesu internetowego. Zazwyczaj są one profesjonalnie nagrywane i mają moc przekonywania, jeżeli trafią na podatnych widzów. Nikt tego nie moderuje, ci ludzie nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za niebezpieczne brednie, które opowiadają. Nastolatka zamknięta w swoim pokoju ze smarftonem wypluwającym z siebie takie treści może sobie z tym nie poradzić i wejść w ten świat: uwierzyć, że czuje się źle sama ze sobą, ponieważ jest „zamknięta" w nie tym ciele, co trzeba. Następnie zaczyna się odcinanie od rodziny, ograniczenie kontaktu tylko do środowiska trans i na horyzoncie widać nadciągającą tragedię...

A jak te „transporady" wyglądają w świecie realnym?

To jest obecnie clou problemu. Jeszcze kilka lat temu opowieści o cudownych aspektach tranzycji były kolportowane głównie w Internecie. Dziś, nawet gdybyśmy jakimś sposobem wyłączyli światową sieć internetową, pozostanie problem amerykańskich szkół… Obecnie w szkołach publicznych ideologia gender wciskana jest dzieciom do głów przez nauczycieli, szkolnych psychologów i genderowych aktywistów, którzy na dobre się tam zadomowili. Niestety, to już wyszło poza smartfony i komputery. Kontrolowanie tego, co nasze dzieci robią w Internecie, nie jest już żadną gwarancją.

Ale przecież rodzice mają w USA wpływ na to, co się dzieje w szkołach.

Co z tego, że są rady rodziców, skoro nauczyciele ukrywają przed nimi te problemy? Przykładowo w korespondencji z rodzicami dziecka, które ogłosiło się „trans", szkoła używa jego prawdziwego imienia, podczas gdy w rzeczywistości nauczyciele zwracają się do niego tak, jak ono sobie życzy. To są często całe spiski, mające jak najdłużej trzymać rodziców w niewiedzy. Nasze szkoły stały się wręcz wrogami rodziców, którzy starają się wyrwać swoje dzieci ze szponów ideologów gender.

Ale to, jak rozumiem, dzieje się raczej w „niebieskich" miastach i stanach. Tam, gdzie rządzą republikanie, szczególnie na amerykańskiej prowincji, tej rewolucji jeszcze nie widać w szkołach?

Ma pan rację, że to się zaczęło w najbardziej „niebieskich" miastach. Gdy zaczynałam pisać swoją książkę, reszta kraju była jeszcze pod tym względem w miarę bezpieczna. Teraz to już tak nie wygląda. Dziś aktywiści szkolni, którzy propagują ideologię transpłciowości, są widoczni w całym kraju w mniejszym lub większym zakresie. Tak więc ten problem nie dotyczy już jedynie Kalifornii, ale także m.in. Wyoming czy Idaho. Dostaję sygnały od rodziców mieszkających w najbardziej konserwatywnych zakątkach naszego kraju, którzy alarmują, że w ich lokalnej szkole część nauczycieli zaczyna propagować ideologię gender, zatruwając umysły kształcącej się tam młodzieży. Więcej, ostatnio odebrałam telefon od człowieka, który powiedział, że w jego, wydawałoby się, konserwatywnym kościele młody pastor sugerował dziewczynom, że mogą być transpłciowe… Ten problem staje się coraz bardziej palący w całej Ameryce i nawet kościoły nie są od niego wolne. À propos religii: w USA ruch transpłciowy stał się parareligjny. Transpłciowość „nauczana" jest z iście misjonarską gorliwością.

Jak ten ekstremizm odbił się na pani? W końcu napisała pani książkę, która na pewien czas zrobiła z pani główny cel dla transaktywistów.

Z jednej strony pojawiły się wiadomości, w których grożą mi śmiercią, a także bezpośrednio zaatakowano moją książkę. „Nieodwracalna krzywda" trafiła na czarną listę bardzo wielu amerykańskich bibliotek. Dostaję mnóstwo sygnałów z całego kraju, że biblioteki nie zgadzają się nawet na darmowe przekazanie mojej książki.

Na Amazonie można ją jednak kupić.

Tak, ale Amazon nie zgodził się z kolei na płatną promocję mojej książki… Natomiast z oferty Targetu [wielkiej amerykańskiej sieci supermarketów – przyp. red.] została ona usunięta, po tym, jak aktywiści zaczęli słać do tej firmy skargi. Całkiem interesująca była sprawa mojego wywiadu u Joe Rogana. Spotify, platforma, która publikuje rozmowy Rogana, musiała zorganizować 10 spotkań ze swoimi pracownikami, którzy grozili odejściem z pracy, jeżeli ten wywiad nie zniknie.

Z drugiej strony dostaję mnóstwo wyrazów wdzięczności od rodziców, którzy czuli się z tym problemem osamotnieni, widząc, co się dzieje z ich ukochanym dzieckiem. Dzięki mojej książce zrozumieli, jak działa ten mechanizm i że inni rodzice również starają się wyrwać swoje dzieci ze szponów ideologów gender, według których można być chłopcem zaklętym w ciele dziewczynki i na odwrót. Ta ideologia za nic ma badania biologiczne. Chromosomy zupełnie się już nie liczą. Najważniejsze są odczucia, które mają rzekomo definiować to, kim naprawdę jesteśmy.

Może się pojawić atrofia pochwy, co jest bardzo bolesne. Po wieloletnim używaniu testosteronu, w związku ze zwiększonym ryzykiem zachorowania na raka, często zaleca się profilaktyczne usunięcie macicy. Podawanie testosteronu nastoletnim dziewczynom to w gruncie rzeczy jeden wielki eksperyment

Ludzie, którzy automatycznie zapisują panią do obozu konserwatywnego, mogą się jednak zdziwić. W pani książce wielu rodziców, którzy walczą o swoje dzieci zarażone ideologią trans, to ludzie, którzy generalnie sympatyzują z postulatami gejów i lesbijek. Dosyć pozytywnie pani o tym pisze.

Większość rodziców, z którymi rozmawiałam, to ludzie o progresywnych poglądach, którzy nie mają żadnego problemu z gejami czy lesbijkami. I nie byłoby dla nich katastrofą, gdyby okazało się, że ich córka to lesbijka. Oni doskonale znają swoje córki i wiedzą, że problem „trans" zaczął się stosunkowo niedawno – wcześniej nie było widać żadnych oznak dysforii płciowej. A skoro tak, czyli ich córki nie cierpiały na to

eprasa.pl 6f270c1a94

zaburzenie, to oczywiste jest, że to, co ogłosiły, było nieautentyczne. Momentem, który sprawia, że ci rodzice zrywają się na równe nogi, jest groźba włączenia „terapii" hormonalnej i perspektywa okaleczenia ciał. W tym momencie zaczyna się śmiertelnie poważna walka o dziecko. Rodzice rozumieją, z czym takie ingerencje mogą się wiązać, natomiast nastolatka uważa, że to nic takiego.

ABIGAIL SHRIER „NIEODWRACALNA KRZYWDA" WYDAWNICTWO AA 2023

Od czego zaczynają się ingerencje w wygląd?

Pierwszy stopień to tzw. binder, który spłaszcza biust. Jeżeli dzieci są bardzo młode, to poważniejszą „terapię" zaczyna się od podania tzw. blokerów dojrzewania. Zazwyczaj jednak potrzebna jest do tego zgoda rodziców. Inaczej jest z testosteronem. W wielu stanach można przyjmować testosteron przed ukończeniem 18. roku życia i nie trzeba do tego zgody rodziców.

Co testosteron robi z nastolatkami?

Sprawia, że twarz dziewczyny nabiera męskich cech, pojawiają się lekki zarost, a także większa pewność siebie, co naturalnie podoba się wielu dziewczętom, które przeżywają trudności okresu dojrzewania. Testosteron sprawia też, że tłuszcz przemieszcza się w inne części ciała. Brzuch i uda, które mogły je denerwować, zaczynają wyglądać przez to inaczej. To jednak tylko jedna strona medalu. Druga jest już dużo gorsza. Może się pojawić atrofia pochwy, co jest bardzo bolesne. Po wieloletnim używaniu testosteronu, w związku ze zwiększonym ryzykiem zachorowania na raka, często zaleca się profilaktyczne usunięcie macicy. Poza tym wzrasta też dramatycznie ryzyko chorób układu krwionośnego. Podawanie testosteronu nastoletnim dziewczynom to w gruncie rzeczy jeden wielki eksperyment.

Czyli wcale nie trzeba się poddawać „operacji góry" – wycięcia piersi – żeby okaleczyć swój organizm. Wygląda na to, że samo podawanie testosteronu wystarczająco pustoszy organizm dorastającej dziewczyny...

Oczywiście, kobiece ciało kompletnie nie jest do tego przystosowane i taka „terapia" bardzo obciąża organizm, kompletnie go rozregulowując.

Opisywana przez panią w książce tzw. opieka afirmacyjna (affirmative care) brzmi świetnie. Jak to wygląda w praktyce?

To nasz własny, amerykański wymysł i tragiczny wkład w genderową „naukę". Sprowadza się to do przekonania, że lekarz powinien zgadzać się z autodiagnozą pacjenta. Jeżeli dziewczyna mówi, że cierpi na dysforię płciową i jest chłopcem, to trzeba jej przytaknąć, nie wolno tego kwestionować i należy rozpocząć „terapię". Lekarz nie może tu patrzeć krytycznie, używać swojego rozumu i stwierdzić, że być może problemem jest tu jednak coś innego niż dysforia płciowa.

Jak to się stało, że medycyna w USA, która przez lata stała na najwyższym poziomie, w tym segmencie opieki oderwała się od nauki i stała się tępym narzędziem w rękach ideologii?

Niestety, w USA wszystko, co jest uważane za kwestię „mniejszościową", staje się przedmiotem celebracji. Transpłciowość została wciągnięta przez aktywistów na listę mniejszości, przez co stało się to tematem politycznym. W związku z tym zaczęto wymagać od lekarzy, by zamienili się w aktywistów. Niestety, amerykańskie środowisko medyczne kompletnie skapitulowało przed tą ideologią.

Coraz częściej słyszymy o detranzycjach również w Polsce.

Można tu wręcz mówić o istnej eksplozji historii kobiet, które po latach głośno mówią, że w bardzo burzliwym okresie dorastania nie otrzymały właściwej pomocy, nikt im nie tłumaczył, z czym będzie się wiązało usunięcie piersi i zlikwidowanie płodności. Życie w takim stanie, po okaleczeniu ze strony osób, które miały się znać na medycynie, jest koszmarnie trudne. Na YouTube aż roi się od nagrań ludzi, którzy z żalem w głosie opowiadają o tranzycji i powrocie do swojej właściwej postaci, oczywiście, na ile to jest możliwe. Rozmawiałam z wieloma takimi osobami i wiem, że dawanie takiego świadectwa wymaga ogromnej odwagi. Ale im autentycznie zależy na tym, by inni młodzi ludzie nie popełnili podobnych błędów.

Czy spór wokół transpłciowości nie staje się powoli główną areną walki światopoglądowej między republikanami i demokratami? Joe Biden twierdzi, że zakaz przeprowadzania tranzycji młodzieży poniżej 18 lat porównać można do torturowania dzieci...

To wielki błąd ze strony demokratów, ale oni po prostu nie wiedzą, co mówią. Po lewej stronie sceny politycznej brakuje wiedzy, ponieważ w USA panuje olbrzymia cenzura na ten temat. Żadne większe mainstreamowe medium w USA nie opublikowało recenzji mojej książki. A już np. w Wielkiej Brytanii nie ma aż takiego problemu. Przykładowo „The Economist" i londyński „The Times" opublikowały całkiem pozytywne recenzje „Nieodwracalnej krzywdy".

Z jednej strony coraz więcej Amerykanów otwiera oczy na ten problem, ale z drugiej strony transaktywiści coraz odważniej formułują tezę, że dzieci uczęszczające do szkół są „naszymi" dziećmi, a nie dziećmi swoich rodziców. Prezydent Biden niestety powtarza tę narrację, mówiąc: „To nie są wasze dzieci, to są nasze dzieci". Obawiam się, że szkoły w USA zmierzają w coraz gorszym kierunku, po kawałku odbierając rodzicom prawo do wychowywania dzieci tak, jak chcą.

Co radzi pani rodzicom, których dziecko mierzy się z takim problemem?

Trudno tu podać uniwersalną odpowiedź, ponieważ to zależy od konkretnego przypadku i wieku dziecka. Powiedzmy jednak, że mówimy o 13-latce. Najważniejsze to podkreślanie, że jest dziewczynką, a transaktywiści mówią nieprawdę, bazując na pseudonauce. Trzeba pielęgnować kontakt z dzieckiem, bo mimo pozorów słowo rodzica znaczy bardzo dużo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Abigail Shrier jest amerykańską publicystką, pisze m.in. dla „Wall Street Journal". W Polsce właśnie ukazała się jej książka (wydana po raz pierwszy w USA w 2020 r.) pt. „Nieodwracalna krzywda" na temat eksplozji przypadków transpłciowości wśród amerykańskich nastolatek.

eprasa.pl 6f270c1a94

Podziemie złamanych żyć

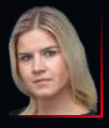

Zuzanna Dąbrowska

Bez profesjonalnej diagnozy, pod presją „transautorytetów", często wbrew sprzeciwowi rodziców – to dramatyczny obraz zjawiska zmiany płci, które jak fala zabiera kolejnych nastolatków. Podziemie trans w Polsce jest faktem, a na naprawę krzywd niekiedy jest już za późno

FOT. ADOBE STOCK

Jestem 18-letnim transpłciowym chłopakiem i mam na imię Nataniel. Urodziłem się w ciele kobiety. […] Założyłem tę zrzutkę na wykonanie mastektomii, która polega na wycięciu piersi, które są mi zbędne i sprawiają, że czuję się źle ze sobą" – to tylko jedno z wielu podobnych ogłoszeń, jakie można znaleźć na popularnym serwisie do zbierania pieniędzy. „Mam dwadzieścia trzy lata i poza tym, że jestem amatorką pieszych wędrówek i przyrody, zbierania dzikich warzyw, ziół i grzybów, literatury sci-fi i fantasy oraz swojej pracy i pomagania ludziom, to jestem też transpłciową dziewczyną z wydatkami rzędu kilkudziesięciu tysięcy złotych" – czytamy w kolejnym. Jeszcze inne, bardziej szokujące, bo opublikowane rzekomo przez matkę dziecka trans, brzmi: „Cześć, jestem mamą Franka, który marzy o operacji mastektomii. Przeszedł już długą drogę, wiele badań, bierze leki, jednak jego ogromnym marzeniem jest operacja usunięcia piersi".

W rozmowach z osobami, które zdecydowały się na rozpoczęcie procedury zmiany płci, ich rodzicami oraz specjalistami, jak mantra przewija się pewien schemat: zwyczajny nastolatek, z zainteresowaniami i sposobem ubierania niezbyt mocno odbiegającymi od kulturowego obrazu danej płci, w pewnym momencie zaczyna sygnalizować, że nie czuje się dobrze w swoim ciele. Często zaczyna się od prośby, aby zwracać się nowymi zaimkami oraz nowym imieniem. Proces ten pokrywa się z niekontrolowanym wejściem w świat internetowych forów oraz idoli, którzy prezentują zalety płynące z bycia trans. Może być to sposób na wyróżnienie się, niekiedy też zyskanie popularności, ale jak przekonują najczęściej aktywiści – zmiana płci będzie stanowiła rozwiązanie wszystkich problemów. Im szybsza i im bardziej drastyczna, tym lepiej. Kolejny krok – jeśli nie nastąpi szybka reakcja opiekunów – to kontakt z „podziemiem tranzycyjnym", czyli ludźmi przekazującymi kontakty do specjalistów, którzy bez zbędnych pytań wystawią zaświadczenie o dysforii płciowej, a także pomogą zdobyć hormony – blokery dojrzewania.

Co ciekawe – a potwierdzają to badania, m.in. te przytoczone przez Abigail Shreir w niezwykle pouczającej książce pt. „Nieodwracalna krzywda. Tragiczne losy nastolatek, które zmieniły płeć" – problem „dysforii płciowej" w USA dotyczy w zdecydowanej większości dziewcząt [wywiad z autorką książki na str. 32]. W Polsce jest podobnie, co potwierdza w rozmowie z „Do Rzeczy" mec. Jakub Słoniowski z Centrum Interwencji Procesowej Instytutu Ordo Iuris, zajmujący się sprawami dotyczącymi zmiany płci. – Większość przypadków, którymi zajmuje się Instytut, dotyczy biologicznych kobiet. Uderzające jest to, że w ich rodzinach były poważne nieprawidłowości, np. nadopiekuńcza i dominująca matka. Rodzice prawie każdej z tych osób rozwiedli się, gdy były one dziećmi – mówi.

PRANIE MÓZGÓW

To, że w Polsce istnieje podziemie trans, potwierdził w swoim niedawnym, szokującym wyznaniu bloger Łukasz Sakowski. Mężczyzna opisał, jak jako nastolatek został zmanipulowany do rozpoczęcia procedury zmiany płci – „zdiagnozowano" go przez Internet. „Gdy miałem 12 lat, zmagałem się z brakiem samoakceptacji. To, że podobają mi się osoby tej samej płci, czułem już wcześniej. […] Szukając informacji w Internecie, natrafiłem na forum dla osób trans. Dość szybko podłapałem kontakt z jednym z jego użytkowników – około 40-letnią wówczas osobą transseksualną typu m/k (dokonującą zmiany z mężczyzny na kobietę). Komunikacja między nami przeniosła się na popularne wtedy Gadu-Gadu i była dość intensywna. Z moimi problemami dotyczącymi tożsamości, orientacji, emocji, szkoły i innych zwracałem się właśnie do Ewy" – wspomina Sakowski. „Ewa" zaoferowała, że będzie wysyłać mu

eprasa.pl 6f270c1a94

bloker dojrzewania. „Można powiedzieć, że wystartowałem wówczas już z pełną hormonalną terapią zmiany płci: nie tylko blokowałem swój testosteron, ale też przyjmowałem pochodną estradiolu w tabletkach" – opisuje bloger w długim tekście, za który spotkała go fala hejtu ze strony środowiska transseksualistów.

Pojawiły się oskarżenia o „zdradę", co stanowi charakterystyczny element presji wywieranej na młodych osobach, które mają nieszczęście trafić na „aktywistów". Nastolatkowie, którzy w naturalny sposób mają palącą potrzebę poczucia przynależności do jakiejś grupy, dość łatwo poddają się praniu mózgu. Ze świadectw wynika, że wpaja im się przeświadczenie o konieczności robienia wszystkiego, co tylko możliwe, aby zmienić płeć. Niewykorzystywanie szans przybliżających do upragnionego celu jest traktowane w tym środowisku, przypominającym sektę, jak złamanie zasad. Jeżeli więc nie ma innego wyjścia, to trzeba zerwać kontakty z „toksycznymi" rodzicami i przyjaciółmi. Jeżeli tylko jest okazja, to trzeba się poddać mastektomii.

„Tak więc dorosły transseksualny mężczyzna, upodabniający swoje ciało do kobiecego poprzez zmianę płci, nakłonił 14-letniego mnie do mówienia i pisania w formie żeńskiej, kompletnie mieszając w mojej rozwijającej się psychice" – opisuje Łukasz Sakowski. Po drodze natrafił on na poznańskiego lekarza (rzecz jasna podsuniętego mu w sieci), który bez problemu wydał stosowne zaświadczenia przybliżające do interwencji chirurgicznej. Twórca strony „To tylko teoria" uzyskał damski PESEL. „Gdy zaplanowałem po raz pierwszy, około 20-stki, operację orchidektomii (usunięcia jąder), stres i napięcie mocno we mnie narastały" – wspomina. W końcu podjął decyzję o detranzycji. Miał szczęście, ponieważ nie zdecydował się na operację. „Mogę sobie tylko wyobrazić, jak bardzo cierpią osoby, które zrobiły chirurgiczną operację zmiany płci i wypierają, że to był błąd, aby nie oszaleć z rozpaczy. To tłumaczy również, czemu tak namiętnie atakują ludzi takich jak ja, którym udało się cofnąć zmianę płci. Wstyd przed innymi i wstręt do siebie są w takiej sytuacji ogromne" – podkreśla.

BEZ DIAGNOZY

Do Instytutu Ordo Iuris zgłaszają się obecnie po pomoc dwie grupy. – Z jednej strony to rodzice dzieci, które deklarują chęć zmiany płci, nie podjęły jeszcze w tym kierunku żadnych działań prawnych, ale np. już biorą hormony. Rodzice nie wiedzą, co zrobić w tej sytuacji i potrzebują porady. Z drugiej strony to rodzice, którzy zostali już pozwani przez swoje dzieci – nastoletnie lub młodych dorosłych – które przeszły „tranzycję społeczną" i teraz chcą dokonać prawnej zmiany płci. Wtedy podejmujemy się reprezentowania tych rodziców przed sądem – mówi mec. Słoniowski. Na gruncie polskiego prawa do zmiany płci „w papierach" konieczne jest pozwanie swojego rodzica.

– Druga grupa to osoby, które przeszły tranzycję, żałują tego i chcą dokonać detranzycji. W ciągu ostatniego roku zgłosiło się do nas ok. 10 takich osób. Na razie jednak tylko jedna z nich była gotowa wystąpić do sądu. Wymaga to ponownego pozwania rodziców, aby doprowadzić do ustalenia, że jest się płci zgodnej z płcią biologiczną. Od strony prawnej postępowanie wygląda tak samo, ale jego kierunek jest odwrotny. Osoby te praktycznie zawsze są w niezwykle trudnej sytuacji życiowej, zmagają się z rozterkami, często też nie mają pieniędzy na potrzebne opinie lekarskie. Mają też obawy, że biegli sądowi i sąd nie uwierzą im, że proces będzie trwał latami i że w ogóle nie uda się prawnej detranzycji przeprowadzić – tłumaczy mecenas. Jako detranzycję rozumie się zaprzestanie terapii prowadzonych w ramach tranzycji medycznej oraz próbę cofnięcia zmian, które zaszły w jej wyniku. Generalnie są to działania mające na celu przywrócenie cech płciowych zgodnych z płcią nadaną przy narodzinach.

Mecenas Jakub Słoniowski zauważa, że osoby po tranzycji mówią wprost o krzywdzie. – Mają poczucie, że ich tranzycja od samego początku była błędna, że nie miała medycznych podstaw. Wszystkie podważają zasadność zakwalifikowania ich stanu jako dysforii płciowej, wymagającej przyjmowania hormonów czy operacji chirurgicznych. Dziś są przekonane, że zostały zmanipulowane, że były pod wpływem środowiska trans, przede wszystkim w Internecie, że kierowano je do specjalistów, którzy na życzenie pacjenta wystawiają recepty na hormony i skierowania na operacje chirurgiczne, np. mastektomię. Nie było też wymaganej przez zalecenia Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego weryfikacji, czy objawy dysforii płciowej nie są skutkiem innych zaburzeń – wyjaśnia.

O doświadczeniu pracy z pacjentami żałującymi tranzycji opowiedział niedawno najbardziej znany polski seksuolog prof. Zbigniew Lew-Starowicz. „Mają w sobie bardzo dużo goryczy w stosunku do terapeutów. Są przygnębieni, że tak naprawdę nie zostali przed laty profesjonalnie wysłuchani i zdiagnozowani. Że nikt nie przeanalizował ich problemów, nie dotarł do ich praźródeł, tylko koncentrował się na tym, co się teraz z pacjentem dzieje. Osoby detrans żałują, że terapeuta zaakceptował i afirmował ich wątpliwości, zamiast dokładniej szukać przyczyn stanu, w jakim się znaleźli" – wskazał w rozmowie z „Wprost". Profesor Lew-Starowicz mówi, że na każdych stu 13–14-latków odczuwających kłopoty z własną tożsamością płciową jedynie ok. 20–25 w dorosłym życiu pozostaje przy decyzji o zmianie płci. „Osobiście znałem osoby, które przejechały się na internetowych propozycjach czy namowach i zmarły przedwcześnie. A mogły żyć, gdyby leczyły się przy pomocy specjalistów" – zaznacza seksuolog i psychiatra.

JAK CHRONIĆ MŁODYCH?

Tymczasem transaktywiści wysuwają coraz bardziej radykalne postulaty dotyczące niepełnoletnich. Poluzowanie władzy rodzicielskiej i zniesienie diagnostyki w kontekście tranzycji dzieci proponuje „Nina Kuta", określająca się jako „transfeministka", powiązana z portalem tranzycja.pl i organizacją Stonewall. Każdy, kto krytykuje pomysły transradykałów, jest określany mianem terfa, czyli wroga środowiska, nienawidzącego osób trans.

Czy Polskę czeka to samo, co dzieje się dziś na Zachodzie? – Statystyki m.in. ze Szwecji, z Wielkiej Brytanii, Włoch i USA pokazują, że w ciągu ostatniej dekady liczba dzieci diagnozowanych jako transpłciowe wzrosła tam o kilka tysięcy procent – mówi „Do Rzeczy" mec. Rafał Dorosiński, dyrektor Centrum Analiz Prawnych Instytutu Ordo Iuris. Stąd w Instytucie podjęto prace nad przepisami zakazującymi działań medycznych upodobniających osoby niepełnoletnie do płci im przeciwnej. Z naszych informacji wynika, że szczegóły projektu mamy poznać w czerwcu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f270c1a94

W Bohemii, czyli nigdzie

Piotr Gociek

„Wojna królów", opowieść o młodości Jana Żiżki, pokazuje kłopoty, jakie nasza część Europy ma z opowiadaniem o swojej historii poprzez popkulturę

Ben Foster jako Jan Żiżka

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Łatwo nie było. Kiedy w roku 2022 reżyser Petr Jákl udzielał wywiadów z okazji nadchodzącej premiery filmu „Wojna królów", opowiadał o czteroletnim opóźnieniu, zmaganiach z pandemią, rosnącym budżetem. Sam pomysł był jeszcze wcześniejszy, Jákl o pomyśle na film o Janie Żiżce mówił już w roku 2013. Od początku szukał do przedsięwzięcia partnerów zagranicznych. Była wówczas mowa o 90 mln koron budżetu. W roku 2018 pojawiły się wieści o gwiazdorskim castingu i najpierw 100 mln, a potem 300 mln koron szykowanych na produkcję. Ostatecznie budżet zamknął się w kwocie pół miliarda koron (ponad 20 mln dol.), co oznacza, że „Wojna królów", dystrybuowana za granicą pod tytułem „Medieval", a w Czechach po prostu jako „Jan Žižka", stała się najdroższą produkcją w dziejach czeskiego kina.

NAJEMNIK O ZIMNYM SERCU

Dobrze nie było. Co prawda, w Czechach film obejrzały setki tysięcy ludzi, ale nie było to zainteresowanie na miarę filmu „Kajinek" (2010), przebojowego reżyserskiego debiutu Jákla. Wpływy z biletów przyniosły 50 mln koron, dystrybucja w USA ok. 1,5 mln dol. Po jesiennej premierze w kinach film trafił do dystrybucji w streamingu, zresztą w różnych krajach do różnych serwisów; teraz w Polsce oglądać można „Wojnę królów" w Cinemanie i w Canal+ Online. A mimo to jest to produkcja, o której warto rozmawiać. Nie dlatego, że to dobry film – niestety nim nie jest. Ale dlatego, że kłopoty z filmem Jákla są charakterystyczne dla problemów, jakie nasza część Europy – w tym Polska – ma z opowiadaniem o swojej historii poprzez popkulturę.

Najpierw o filmie. „Przemoc. Tyrania. Intrygi. Władza. Po śmierci Karola IV, króla Czech i Cesarstwa Rzymskiego, zachodni świat chyli się ku upadkowi" – informuje narrator, nie kto inny, jak Michael Caine, który gra w filmie pana Boresza. „Ciemność spowiła Europę, a w jej części zapanował chaos. Kontynentem zawładnęły wojna, zaraza i głód. Kościół katolicki również się rozpadał. Wybrano dwóch papieży". Ocaleniem może być nowy król, którego należy koronować w Rzymie. Ale Wacław, syn Karola IV, wskazany jako następca, tonie w długach i nie stać go na bezpieczną podróż. W dodatku w koronacji chcą przeszkodzić zwolennicy francuskiego antypapieża, którzy stawiają na Zygmunta, przyrodniego brata Wacława.

W środku całego tego zamieszania pojawiają się główne postacie dramatu. Oprócz wspomnianych kandydatów do korony są to: piękna Katarzyna, córka króla Francji, przyobiecana możnowładcy Rosenbergowi (oryginalnie: Jindřich z Rožmberka), sam Rosenberg, pan fałszywy, okrutny i chutliwy, no i wreszcie Jan Žižka, przyszły bohater wojen husyckich, dowódca, który ponoć nie przegrał żadnej bitwy. W chwili, gdy go poznajemy, jest najemnikiem o zimnym sercu. Jako miecz do wynajęcia służy panu Boreszowi, zresztą wraz z malowniczą kompanią, która wygląda, jakby właśnie zeszła z planu „Gry o tron".

eprasa.pl 6f270c1a94

Jáklowi udało się zgromadzić na planie ciekawą grupę aktorów. Żiżkę gra Ben Foster („Aż do piekła", „Zatrzyj ślady", „Galveston"), Rosenberga – Till Schweiger, króla Zygmunta – charyzmatyczny Matthew Goode („Strażnicy", „Downton Abbey"), Katarzynę – Sophie Lowe. Zaufali czeskiemu reżyserowi, bo nie był człowiekiem znikąd, od dekad pracował na swoją pozycję w Hollywood jako aktor, kaskader i producent. Grał u Roba Cohena w „xXx", u Joela Schumachera w „Bad Company"; kaskaderskimi umiejętnościami błysnął na planie „Joanny d'Arc" Luca Bessona.

NA KARUZELI HOLLYWOOD

Petr Jákl krok po kroku budował swoją pozycję, nawiązywał kontakty. I dziś jest już producentem oraz reżyserem pracującym głównie poza ojczyzną. Cóż z tego, że filmów B-klasowych: na planie „Odkupienia" pracował z Robertem De Niro i Johnem Malkovichem, w czerwcu tego roku premierę będzie miał „Land of Bad" z Russelem Crowe'em i Liamem Hemsworthem. Najważniejsze w Hollywood jest wskoczenie na karuzelę – kiedy już na niej jesteś, wszystko może się zdarzyć. Nawet to, że producentem twojego wymarzonego projektu o Janie Żiżce zostanie figura tak znaczna, jak Cassian Elwes, nominowany do Oscara za „Mudbound", współpracujący z takimi reżyserami jak John McTiernan, Lee Daniels, J.C. Chandor, Jean-Marc Vallée, Peter Bogdanovich, Werner Herzog, Joe Dante czy John Hillcoat.

Dla czeskich widzów Jákl jest jednak kimś więcej niż tylko „ich człowiekiem w Hollywood". Sportowiec judoka, olimpijczyk, celebryta, mąż telewizyjnej gwiazdeczki. No i przede wszystkim reżyser wspomnianego wcześniej filmu „Kajinek", wielkiego hitu czeskich kin o mistrzu ucieczek przypominającym nieco naszego Najmrodzkiego, tyle że Jiri Kajinek był kilerem do wynajęcia w tym filmie Jákla zagrał także Bogusław Linda). Potem Jákl wyreżyserował jeszcze horror „Ghoul" (2015), w którym próbował połączyć wątek hołomodoru na Ukrainie ze sprawą seryjnego mordercy, kanibala Andrieja Czikatiły, oraz ze stylistyką „found footage" znaną z „The Blair Witch Project".

Dlaczego Petr Jákl, którego niemal całe zawodowe doświadczenie w świecie filmu związane było z czystą gatunkową rozrywką, nagle postanowił zabrać się za dramat historyczny? Jak sam opowiada w wywiadach, chciał rozsławić Czechy w świecie zainteresowań innych czeską historią i zdecydował, że któż byłby lepszym bohaterem takiej opowieści, jak nie jeden z najbardziej znanych czeskich bohaterów narodowych. Kamyczek do ogródka polskich filmowców: Czy którykolwiek z antyszambrujących w Hollywood reżyserów, scenarzystów, producentów znad Wisły byłby w stanie wydusić z siebie taki komunikat? Cóż, nie wiem, zapytajcie Agnieszkę Holland.

Dobre chęci to jednak nie wszystko. Dialogi są nierówne, fabuła czasem się rwie, a czasem kręci w kółko jak bohaterowie nieustannie w różnych konfiguracjach spotykający się w tym samym lesie. Sekwencja zasadzki otwierająca film jest znakomita, scena bitwy w wąwozie niezła, finałowa rozgrywka – przeciągnięta i nużąca. Aktorzy robią, co mogą, ale materii słów często nie staje. Matthew Goode przykuwa uwagę dopóty, dopóki nie okazuje się, że cały czas musi grać to samo; Michael Caine robi, co może, swym czarującym głosem. Nieźle wypada Sophia Lowe jako Katarzyna, show kradnie na drugim planie duński aktor Roland Møller jako okrutny najemnik Torak. Ale nie udaje się tego skleić w logiczną całość, filmowi brakuje rytmu, praca kamery jest chaotyczna, często jej ruch, zamiast pomagać w narracji, przeszkadza w jej budowaniu. Ostatecznie wrażenie jest takie, że wstydu może nie ma, ale mogło być dużo, dużo lepiej. Wystarczy spojrzeć, jak w porównaniu z „Wojną królów" dobrze opowiadane były epizody serialu „Upadek królestwa" – też kręcone z Europie Środkowej, w dodatku za mniejsze pieniądze.

DOBRYMI CHĘCIAMI...

Największy problem z „Wojną królów" polega jednak na tym, że reżyser (i zarazem scenarzysta) nie wie, jaką właściwie historię chce opowiedzieć. Dla przeciętnego widza spoza krajów Grupy Wyszehradzkiej odwołania do prawdziwej historii są niezrozumiałe. Mogłaby to być opowieść o wojnach husyckich, ale Jákl wybrał młodość Żiżki, kręcąc coś na kształt „origin story" znanego bohatera. No tak, ale poza Czechami nie jest on znany, a w filmie długo wydaje się po prostu mało interesujący i odpychający. Mamy tu narodziny prawdziwego bohatera w chwili, gdy Żiżka wyznaje Katarzynie, że może i władza królewska pochodzi od Boga, ale królowie popełniają ludzie pomyłki. Jest tu zapowiedź husyckiego buntu, ale bez podkreślenia znaczenia religii. Choć słyszymy głos Jana Husa i jest o nim samym mowa, to właściwie nie wiadomo, kim są kryjący się po lasach rebelianci ani o co właściwie z tym Husem chodziło. Krytyka monarchów i możnowładców podobna jest do tej, którą budował w swojej kinowej trylogii Otokar Vavra (filmy z lat 50.: „Jan Hus", „Jan Żiżka" oraz „Przeciw wszystkim") – uciskany lud buntuje się przeciw złym klechom i podłym panom. To niby pasuje do dzisiejszej mody na ekranowe tępienie klasizmu, ale nikt nam nie wyjaśnia, kto i dlaczego oraz kogo i w jakim stopniu uciska.

Lekcje z tego zamieszania są następujące. Jeśli chcemy robić filmy historyczne z udziałem zachodnich gwiazd, to musimy to robić, opierając się na ludziach i kontaktach tam, a nie podejmując wysiłek lokalny (to akurat Jáklowi wyszło). Jeśli chcemy być w świecie zrozumiani, to musimy opowiadać historie proste, pozostawiając skomplikowane niuanse historyczne w tle. Pomyślcie, jak prostą, a zarazem mityczną historią był „Braveheart". Jeśli chcemy promować bohaterów, to sam fakt, że są oni ważni dla nas, nie wystarczy – muszą się stać symbolami czytelnymi dla odbiorów zagranicznych. Petr Jákl zagubił się w tym labiryncie, choć chciał dobrze. Dobrymi chęciami bywa wybrukowane nie tylko piekło. Także droga do filmów niespecjalnie udanych. Ale i tak czeski reżyser wygrywa z polskimi. Dlaczego? Bo nawet niezbyt udane filmy, które istnieją, lepsze są od świetnych filmów, których nie nakręcono.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REŻ. PETR JÁKL
„WOJNA KRÓLÓW" („MEDIEVAL")
CZECHY 2022

wyst. Ben Foster, Michael Caine, Sophie Lowe, dystr. Canal+ Online i Cineman

eprasa.pl 6f270c1a94

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CANAL+ Rakuten polsat box go

Chłopaki od Mikołajka

★★★★★☆
REŻ. AMANDINE FREDON, BENJAMIN MASSOUBRE
„SZCZĘŚCIE MIKOŁAJKA"
FRANCJA 2022
DYSTR. CANAL+, POLSAT BOX GO, RAKUTEN

Zadanie niemożliwe okazało się wykonalne: w niespełna półtoragodzinnym filmie poznajemy nie tylko historię Mikołajka, lecz także jego twórców, duetu Sempé – Goscinny. Scenariusz łączy dokument z fantazją. Widzimy twórców popularnej serii przy pracy, zagłębiamy się wraz z nimi w przeszłość, bo obaj opowiadają o własnym dzieciństwie (i nie tylko). Ale jednocześnie obaj prowadzą rozmowy z tworem swojej wyobraźni, czyli niesfornym i uroczym Mikołajkiem, który okupuje nie tylko miejsce w ich głowach, lecz także łazi po pracowni Sempégo oraz po maszynie do pisania Goscinnego.

Warstwa trzecia: trafiamy wreszcie wprost do świata serii książeczek o Mikołajku, na ekranie ożywają więc jego kumple – Ananiasz, Kleofas, Maksencjusz czy Alcest (i jego kanapki). A także koleżanki Jadwinia i Ludeczka oraz nauczyciele (w tym pani, która miała być zarazem słodka i sroga, oraz pan Rosół. Pamiętacie, jak pilnował sterty piasku na dziedzińcu szkoły?). Przede wszystkim jednak rodzina Mikołajka. Francuzi szanują swe kulturowe dziedzictwo i w nosie mają zalecenia z otumanionego modami ideolo Hollywood. Niczego więc nie zmieniają, nie wprowadzają żadnych dekonstrukcji czy uwspółcześniania. „Jest taki samotny na kartce – mówi Goscinny, patrząc na rysunek z Mikołajkiem. – Wiesz czego mu brakuje?". Na co Sempé odpowiada pytaniem: „Piłki?". „Nie, mamy i taty" – brzmi odpowiedź pisarza.

Jeśli ktoś się zastanawia, jak to wszystko można było przedstawić na ekranie, już podpowiadam: „Szczęście Mikołajka" jest zachwycającą animacją, oddającą perfekcyjnie styl rysunków Sempégo. Świat wspomnień, świat realny i świat Mikołajka funkcjonują na tych samych prawach, płynnie przechodząc z jednego w drugi. Bez wątpienia ten projekt to owoc miłości, nie tylko tej, którą współautorka i pomysłodawczyni filmu Anne Goscinny darzyła swego ojca, lecz także miłości, którą miliony Francuzów nadal obdarzają niezwykłą serię (śmiem twierdzić, że Polacy są zaraz za nimi, na drugim miejscu). Jest też „Szczęście Mikołajka", posiadając wszelkie zalety dokumentu o twórcach, najlepszą ekranizacją przygód Mikołajka, jaka dotąd powstała. A przecież było ich wiele: wersje animowane, aktorskie, kinowe i telewizyjne. Na seansach kinowych jednako wzruszali się oraz śmiali zarówno dorośli, jak i dzieci. Teraz znajdziecie ten film w kilku serwisach streamingowych. ©℗

NOWE SEZONY: „GWIEZDNE WOJNY: WIZJE" Disney+

Pierwszy sezon antologii animacji ze świata „Star Wars" był udany, drugi – jest znakomity. Tym razem zamiast ograniczać się do twórców anime zaproszono do współpracy studia z całego świata, od Kanady przez Europę do Korei Południowej. Najbardziej zaskakujący okazuje się film Aardman Animations – proszę sobie wyobrazić „Gwiezdne wojny" pokazane w stylu poklatkowej animacji „Wallace i Gromit". A może by tak do trzeciego sezonu zaprosić Polaków z Platige Image? ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***sezon 2 „Gwiezdne wojny: Wizje" USA 2023***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- ***miniseria „Miasto w ogniu" („City On Fire"),*** *USA 2023* tv+
- ***miniseria „Gaslit",*** *USA 2022* CANAL+ ONLINE
- ***reż. Niki Caro „Matka" („The Mother"),*** *USA 2023*

eprasa.pl 6f270c1a94

Dzikość serca

KINO

Gdzie te czasy, gdy na wysokościach można było spotkać jedynie zbójców lub poszukiwaczy cennych minerałów? Odkąd lord Byron odkrył, że „góry to nasze spiętrzone marzenia", szczyty i przełęcze zaroiły się od amatorów mocnych wrażeń i oszałamiających panoram. Pietro miał szczęście, gdyż nastolatkiem będąc, spędzał wakacje w najmniej turystycznej części włoskich Alp. Wyprawa na lodowiec, przypłacona atakiem choroby wysokościowej, na zawsze wryła mu się w pamięć, a znajomość z miejscowym rówieśnikiem stała się przyjaźnią na całe życie. Nasz bohater buntował się przeciw przeznaczeniu, nie wiedział nawet, że ojciec, mając dość mieszkania w „śmierdzącym Turynie", nabył działkę w górach. Razem z nią Pietro odziedziczył marzenie o życiu na odludziu. Kontemplować masyw Matterhorn, taplać się w alpejskim jeziorze, zakąszać grappę serem wyhodowanym według odwiecznych receptur – czegóż chcieć więcej?

★★★★☆☆
REŻ. FELIX VAN GROENINGEN, CHARLOTTE VANDERMEERSCH „OSIEM GÓR" („LE OTTO MONTAGNE") WŁOCHY/BELGIA/FRANCJA 2022

wyst. Luca Marinelli, Alessandro Borghi, Filippo Tini

Ekranizacji książki Paolo Cognettiego podjęli się filmowcy rodem ze zurbanizowanej belgijskiej równiny, którym panteistyczne przesłanie oryginału przypadło do gustu (podobnie jak teza, że wolność jest możliwa tylko w dziczy). Ostrzegam: seans opiewa na dwie i pół godziny.

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CIASTO DLA PAPIEŻA

HBO max

Sztuczna inteligencja wcześniej czy później przejmie władzę nad światem. Niektórych to bawi. Hipoteza, że ludzkość zdurniała tak bardzo, iż przegapi nadejście nowej ery, wydaje się całkiem dorzeczna, jednak autorzy serialu „Pani Davis" dali się ponieść fantazji. W konwencji szalonej komedii przedstawiają spór wszechmocnego algorytmu z dotychczasowym zarządcą Ziemi, czyli Panem Bogiem. „Nie ma bardziej ogranej historii niż szukanie Graala" – słyszymy z ekranu, ale to czysta kokieteria, bo owo zadanie zostanie powierzone seksownej zakonnicy. Simone, która całkiem dosłownie poślubiła Jezusa, ugania się po świecie na białym koniu lub motocyklu, wspierana i zwalczana przez różne dziwne indywidua. Scenarzyści szydzą z arturiańskiej legendy, kowbojskich obsesji, spiskowych fabuł i nie szanują żadnych świętości. Zapomnieli, że dowcip powtarzany przestaje być zabawny.

★★★☆☆☆
TWÓRCY: TARA HERNANDEZ, DAMON LINDELOF „PANI DAVIS" („MRS. DAVIS") USA 2023

wyst. Betty Gilpin, Jake McDorman, Andy McQueen

DAJ SIĘ ZABIĆ

KINO

Długowieczność przestaje być darem Bożym, staje się problemem. Zwłaszcza w Kraju Kwitnącej Wiśni, gdzie społeczeństwo tak się zestarzało, że dynamika wzrostu gospodarczego mocno osłabła. Rząd wprowadził więc program reklamowany sloganem: „Ludzie nie mają wyboru, czy się urodzić, ale mogą zdecydować, kiedy umrzeć". Zachęty finansowe i propaganda, sugerująca generacji 75+ konieczność poświęcenia się dla ojczyzny, robią swoje. Japończycy, naród grzeczny i uczynny, chętnie korzystają z dobrodziejstw programu, jako że zdrowie szwankuje, samotność doskwiera, znalezienie pracy graniczy z cudem. Eutanazja okazuje się przedsięwzięciem dochodowym i społecznie akceptowalnym. Na szczęście tylko w filmie nakręconym przez 46-latkę. Lecz kto wie, co stanie się jutro? „Plan 75" pozostawia iskierkę nadziei, która – wiadomo – umiera ostatnia.

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆
REŻ. CHIE HAYAKAWA „PLAN 75" JAPONIA/FILIPINY 2022

wyst. Chieko Baishô, Hayato Isomura, Stefanie Arianne

GRA TYGODNIA: „STAR WARS JEDI: OCALAŁY" ★★★★★☆

Wiem już, jaka będzie moja gra roku (nie jest to „Ocalały", o mojej GotY za tydzień), wiem, jakie może być branżowe słowo roku: optymalizacja. Znów bardzo dobra gra z kiepską optymalizacją (choć lepszą niż „TLoU" na PC). To najpoważniejsza wada, niemal cała reszta na plus. Satysfakcjonujący system walki, dynamiczna akcja, klimatyczne, robione z rozmachem, niczym wyjęte z filmów z uniwersum „SW", cutscenki, lepsza fabuła niż w części pierwszej... Na taki sequel czekaliśmy. Bez rewolucji, ale wszystko zrobione lepiej, ciekawej, dojrzalej, „miodniej" niż w części pierwszej. Jest Moc! ©®

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Akcji, TPP*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PS5, PS4, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Electronic Arts*

eprasa.pl 6f270c1a94

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Dziecizna dla smoka

Zakochany bez pamięci w „Cudownych kuracjach doktora Popotama" Leopolda Chauveau zachodziłem w głowę, z czym to kojarzy mi się nazwisko tytułowego bohatera tej książki, wcale niewyłącznie dla dzieci. A odpowiedź była prosta: otóż jakiś czas temu przeczytałem inną książeczkę, może jeszcze wyraźniej skierowaną do najmłodszych czytelników. To, że trafiła do mnie, nie dziwi wcale, bo, po pierwsze – z wiekiem ewidentnie dziecinnieję, co objawia się zadziwiającą łagodnością, jaką od dłuższego już czasu wykazuję wobec grafomanii rozlewającej się wzdłuż i wszerz naszego pięknego kraju, a po drugie – zbiór wierszy „Jak nakarmić smoka", bo o nim mowa, wyszedł spod pióra mojego redakcyjnego kolegi, wielce poważnego – zdawałoby się – znawcy literatury, filmu i szeroko pojętej kultury: Piotra Goćka.

A cóż wspólnego ma Gociek z Chauveau? Otóż, tak jak francuski pisarz 100 lat temu opowiedział o Popotamie, tak Piotr Gociek dedykowany córce wiersz, którym zamknął tom „Jak nakarmić smoka", poświęcił – cytuję – „hitomom i popitamom". I właśnie owe popitamy sprawiły, że dziś, tuż przed Dniem Dziecka, postanowiłem zwrócić uwagę Szanownych Czytelników na wydane nakładem poznańskiej oficyny Zysk i S-ka pięknie zilustrowane przez Natalię Huć utwory Goćka nawiązujące wprost do najlepszych tradycji naszej literatury dla dzieci. I nie tylko do Brzechwy i Tuwima – jak zaznacza wydawca w okładkowej informacji – lecz także do hrabiego Fredry, jeśli ktoś się uprze, i do biskupa Krasickiego, a na pewno do Stanisława Jachowicza.

Ten ostatni owiany był przez długie lata złą sławą, szydzono z jego nadmiernego dydaktyzmu i moralizatorstwa, oburzano się skłonnością do makabresek, przy czym niekiedy przypisywano mu wiersze wcale nie jego autorstwa. A przecież jego poczciwej „Andzi" („Nie rusz Andziu tego kwiatka, / »Róża kole« – rzekła matka. / Andzia mamy nie słuchała, / Ukłuła się i płakała") daleko do wierszowanych horrorów Heinricha Hoffmanna, straszącego złym Józiem, co to „łowił muchy do pudełka i obrywał im skrzydełka", czy ssącym palec Juleczku, którego pokarał okrutny krawiec: „Płacze Julek, żal niebodze / A paluszki na podłodze". A niezależnie od tego wszystkiego wiemy, że nikt tak nie uwielbia się bać, jak dzieci właśnie. Toteż i Piotr Gociek pouzywał sobie…

I teraz wiemy już, że smoki jadają wprawdzie barany, drób, kozy i wieprze (ze świniarczykami pospołu), gustują w szewczykach (z dratewką) i pulchnych dziewicach, nade wszystko przedkładają jednak świeżutką dzieciznę. To dopiero pychota!

Dziczyzny z dziecięciem
jest to skrzyżowanie.
Znaczy dzikie dziecko
zamienione w danie.

Kim jest dzikie dziecko?
Łatwo je poznacie:
nie słucha się mamy
i pyskuje tacie.

A z innego wiersza dowiadujemy się, „czego nas uczą / osa, ćma i mucha? / Że najgorzej temu, / kto mamy nie słucha".

Przywołuje autor najróżniejsze i najdziwniejsze zdarzenia. Na przykład tragiczny wypadek dziewczynki, która „okrutnie głośno się darła", bez powodu wrzeszczała na całą rodzinę, tupała nogami ze złości, aż pewien ptaszek dziobnął ją w buzię i dziecko się rozpękło. Morał nasuwa się sam przez się:

Pomyślcie, drogie dzieciątka,
o tym zdarzeniu tragicznym,
gdy znów was najdzie ochota,
by drzeć się w miejscu publicznym.

Jak nakazuje tradycja literacka, te wiersze dla dzieci bawią, a także uczą. Nie przyjmując do wiadomości zasad poprawnościowych, niepozwalających czarnego nazwać czarnym, a białego białym. Piotr Gociek tymczasem, relacjonując historię namolnego Kubusia, który wymógł na mamie kupno smartfonu, mającego rzekomo wydatnie pomóc mu w szkole, po tym, gdy chłopczyk, zamiast osiągnąć postępy, opuścił się w nauce, komentuje:

Sprawa jest poważna, więc w kwestii morału
Sekretu uchylę nie rąbek, lecz rąb:
Na nic nowy smartfon, dziecino kochana,
Jeśli z ciebie leniuch, cymbał oraz głąb.

Tak, tak… W innym wierszyku („Na stole") natrafimy znów na „matoła". Któż by w to kiedyś uwierzył, że te wyzwiska w dzisiejszej zakłamanej rzeczywistości brzmią niczym słowa zapomnianej bajki. A klimat stwarzany przez autora „Jak nakarmić smoka" nie zawsze może – ale w wielu miejscach jest – naprawdę bajeczny. Taki jak w zacytowanym tutaj w całości „Niewielkim miasteczku":

W niewielkim miasteczku, tak bardzo niewielkim,
że zmieścić się mogło we wnętrzu muszelki,
mieszkała rodzina nie bardzo też wielka
i miała córeczkę imieniem Anielka.

Napisać bym więcej chciał o tej Anielce,
Rodzinie i mieście, i małej muszelce,
O szkole, książeczkach i misiach Anielki.
Nie zdołam. Gdyż wiersz ten jest także niewielki.

Niewielka jest też ta książka. A tyle daje radości. ©℗

★★★★★★

PIOTR GOCIEK „JAK NAKARMIĆ SMOKA I INNE ZASKAKUJĄCE OPOWIEŚCI"
ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2020

eprasa.pl 6f270c1a94

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ten drugi Amis

Bezczelność wybaczalna jest tylko wtedy, gdy stoi za nią prawdziwy talent; tak było z Martinem Amisem, zwanym swego czasu Mickiem Jaggerem brytyjskiej sceny literackiej. Postawa buntu była zrozumiała, dzieci buntują się przeciw rodzicom, a ojcem Martina był pisarz Kingsley Amis, uznawany za jednego z najważniejszych twórców powojennej Anglii. Niewiele wskazywało, że Martin będzie pisarzem. Nie czytał nic, poza komiksami, aż macocha wcisnęła mu w ręce książki Jane Austen.

Był Martin Amis bardzo charakterystycznym produktem swoich czasów. Zainfekowany kulturą masową (napisał scenariusz do pośledniego thrillera SF „Saturn 3" oraz pełną fanowskiej obsesji książkę o świecie automatów z grami wideo „Invasion of the Space Invaders"). W polityce lewoskrętny, ale nie zanadto, czyli chwalił Obamę, a swoich labourzystów krytykował za to, że niezbyt lotni. Wyczulony na absurdy świata turbokapitalizmu oraz zniesmaczony powszechnym zidioceniem uczynił z tego absmaku motyw główny swej społecznej krytyki w tzw. trylogii londyńskiej, na którą składają się „Forsa", „Informacja" i „Pola Londynu".

Amis okazał się błyskotliwym i wściekle inteligentnym recenzentem współczesności. Ale podobnie jak wielu mu podobnych intelektualistów, usuwając z życia pierwiastek religijny (jest agnostykiem)

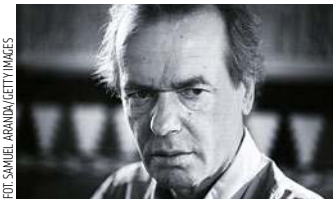

FOT. SAMUEL ARANDA/GETTY IMAGES

i odrzucając tradycję, tracił narzędzia potrzebne do zrozumienia początków tego kryzysu. Pozostał więc mistrzem opisu objawów, a nie przyczyn. W pewnym momencie zwrócił się ku przeszłości. „Przeszłość jest czymś, co znamy, dlatego również jako pisarz chętniej do niej teraz sięgam" – mówił kilka lat temu w rozmowie z Grzegorzem Jankowiczem. Opowiadał wtedy o swoich powieściach dotykających Holokaustu („Strzała czasu" i „Strefa interesów"). Zadawał pytania, nie próbował zrozumieć. „Gdybyśmy zdołali pojąć Zagładę, przestalibyśmy być ludźmi. Nazistowskie ludobójstwo jest odwrotnością człowieczeństwa" – tłumaczy, powtarzając stanowisko Primo Leviego.

Świat zapamiętał jego świetne powieści, ja wracam najczęściej do esejów o innych pisarzach: „Visiting Mrs. Nabokov" oraz cudownego, przejmującego tomu „Doświadczenie" – autobiografii, analizy relacji z ojcem, eseju, medytacji o przemijaniu. Jego ostatnią książką jest podobna w tonacji „Opowieść wtajemniczonego", wydana w Polsce w roku 2021. Martin Amis zmarł 19 maja 2023 r., mając niespełna 74 lata. ©℗

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Zawsze ufaj swoim uczuciom" – słyszą dziś młodzi. Albo: „Życie to wojna między Dobrymi i Złymi ludźmi". Te wielkie nieprawdy mają fatalny wpływ na kształt życia społecznego i grożą naszej przyszłości.

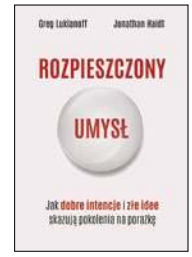

GREG LUKIANOFF, JONATHAN HAIDT „ROZPIESZCZONY UMYSŁ" ZYSK I S-KA

Autor głośnej powieści „Anomalia" tym razem autobiograficznie. Dorastał w wyższej klasie średniej, był członkiem pokolenia „z młodością wciśniętą między okupację a wojnę w Algierii".

HERVÉ LE TELLIER „WSZYSTKIE SZCZĘŚLIWE RODZINY" WYDAWNICTWO FILTRY

Wywiad rzeka, w którym nakreślone zostają portrety ludzi z kręgu władzy Rosji. Od petersburskich znajomości do Kremla, od ideologów do ślepych wykonawców. Być może potencjalnych następców?

WITOLD JURASZ, HIERONIM GRALA „WATAHA PUTINA" CZERWONE I CZARNE

Kapitalna historia współczesnej Łodzi w fotografiach. Na razie część wschodnia: Retkinia, Teofilów, Koziny, do tego Radogoszcz. Smaczki, wspomnienia, unikatowe zdjęcia. Ciąg dalszy mocno wyczekiwany!

Piotr Gociek ©℗

PIOTR BOROWSKI, MICHAŁ KOLIŃSKI „BLOKOWISKA ŁODZI VOL. 1" KSIĘŻY MŁYN

KOMIKS TYGODNIA: „CYGAN"

Zbiorcze wydanie sześciu komiksów francuskiej serii SF, ukazującej się od 1992 r. Dystopijny świat przyszłości, w którym Rosja targana jest wojną domową, transport lotniczy niemożliwy z powodu dziury ozonowej, a planetę skuwa lód. Krwiobiegiem ludzkości staje się system gigantycznych autostrad, na których trwa walka o cenne ładunki. Autorem rysunków jest szwajcarsko-włoski twórca Enrico Marini, znany w Polsce także z serii „Skorpion" i „Orły Rzymu". ©℗ ***Piotr Gociek***

THIERRY SMOLDEREN, ENRICO MARINI „CYGAN" EGMONT 2023

eprasa.pl 6f270c1a94

FOT. PA/EAST NEWS

POŻEGNANIE

Tina Turner (1939–2023)

Tina Turner, »Królowa Rock'n'Rolla«, zmarła w wieku 83 lat, po długiej chorobie, w swoim domu w Küsnacht niedaleko Zurychu w Szwajcarii" – zakomunikował Bernard Doherty rzecznik prasowy artystki. „Wraz z jej odejściem świat stracił legendę muzyki i osobę będącą wzorem do naśladowania".

Tina Turner urodziła się 26 listopada 1939 r. jako Anna Mae Bullock. Od dziecka śpiewała w chórze kościelnym, a jako nastolatka dołączyła do zespołu Ike'a Turnera. Przyszły mąż nadał jej sceniczne imię Tina, nawiązując do postaci Sheeny, bohaterki serii komiksowej „Królowa dżungli". Jednocześnie zmienił nazwę swojego zespołu na Ike and Tina Turner Revue. Na scenie Tinę wspomagały trzy wokalistki tancerki zwane The Ikettes. Wspólnie stworzyły najgorętszą rewię muzyczną lat 60. Występy zespołu docenił Mick Jagger, angażując małżeństwo Turnerów w roli przedgrupy na trasy Rolling Stonesów po Wielkiej Brytanii ('66) i USA ('69). Mimo nagrywania znakomitych płyt piosenki Ike'a i Tiny rzadko trafiały na listy przebojów.

W 1976 r. Tina odeszła od przemocowego męża. „Mój związek z Ikiem był skazany na porażkę. On traktował mnie jako maszynkę do zarabiania pieniędzy" – napisała Tina w biografii „My Love Story". „Kontrolował mnie ekonomicznie i psychicznie, tak bym nigdy nie mogła go opuścić". Po rozwodzie wokalistka otrzymała dwa samochody i prawa do swojego pseudonimu scenicznego.

Niestety, dalsza kariera Tiny Turner nie potoczyła się najlepiej. Z braku kontraktów wystąpiła m.in. w 1981 r. w Katowicach i Warszawie przy nikłym zainteresowaniu publiczności. Co więcej, koncerty odbyły się nieco ponad tydzień przed wprowadzeniem stanu wojennego.

Dwa lata później John S. Carter, pracujący dla wytwórni Capitol, postanowił wskrzesić karierę Tiny Turner. Nie zapominając o soulowo-bluesowych korzeniach wokalistki, postanowił połączyć chrapliwy, pełen seksapilu głos Tiny z brzmieniem modnych wówczas syntezatorów. W tym celu zaangażował aż ośmiu producentów muzycznych. Tytułową piosenkę albumu „Private Dancer" napisał Mark Knopfler z Dire Straits. Płyta odniosła gigantyczny sukces. Została sprzedana w 12-milionowym nakładzie, przyniosła cztery przeboje w Top 10 i otrzymała cztery nagrody Grammy.

Dalsza kariera Tiny Turner, która w dniu premiery albumu miała już 45 lat, potoczyła się jak w bajce. Jej kolejne płyty były wielkimi przebojami, wystąpiła w trzeciej części filmowych przygód Mad Maxa, zaśpiewała tytułową piosenkę filmu „GoldenEye", 17. części przygód Jamesa Bonda. W 1988 r. Tina wystąpiła przed 180-tysięczną widownią na stadionie Maracanã w Rio de Janeiro, ustanawiając rekord frekwencji na biletowanym występie artysty solowego. Jej trasa koncertowa „Twenty Four Seven" z 2000 r. przyniosła 100 mln dol. zysku i tym samym wokalistka po raz drugi trafiła do Księgi rekordów Guinnessa.

Życie i kariera Tiny Turner zostały opisane w trzech książkach oraz przedstawione w filmie fabularnym, musicalu i dokumencie „Tina", który można zobaczyć na HBO Max.

W 2013 r. wokalistka poślubiła niemieckiego producenta muzycznego Erwina Bacha, z którym była w związku od 27 lat. W tym samym roku zrzekła się obywatelstwa amerykańskiego, stając się obywatelką Szwajcarii. Niestety, kilka miesięcy po ślubie Tina doznała udaru mózgu. W następnych latach walczyła z rakiem jelita grubego i przeszła przeszczep nerki.

Tina Turner miała dwóch synów. Obaj odeszli przed nią. Raymond Craig popełnił samobójstwo pięć lat temu, a Ronald „Ronnie" Turner zmarł po walce z rakiem okrężnicy w grudniu 2022 r.

„Moja muzyka się nie starzeje. Wciąż ma moc – powiedziała Tina Turner gazecie »The Daily Mail« w 2008 r. – Ja też jestem silna". ©℗

Grzegorz Brzozowicz

DO ZOBACZENIA

Bliska ciału tkanina

Bliska ciału koszula. Bliska ciału tkanina. Na tej wystawie scalają się one – ciało oraz tkanina – ze sobą; tkanina upodabnia się do ciała. Bo przecież łatwo ją uszkodzić, a także „równie łatwo można uzupełnić braki, tworząc formy przypominające szwy, blizny czy strupy".

Ekspozycja „Druga skóra" jest efektem projektu realizowanego przez Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi, Szkołę Doktorską ASP im. Jana Matejki w Krakowie i Uniwersytet w Bergen. Seminaria, rezydencje i wykłady rozgrywały się „na styku strategii artystycznych i kulturoznawczych, traktujących tkaninę jako nośnik pamięci kulturowej. Projekt obejmował liczne spotkania z ekspertami z zakresu tkanin zabytkowych, ludowych, przemysłowych, ze znawcami historii włókiennictwa, badaczkami tkanin artystycznych. Ten długofalowy proces stał się punktem wyjścia do odczytania zakodowanych w tkaninach historii i opowiedzenia ich za pomocą innych mediów: instalacji, wideo i prac audialnych". ©℗

Radosław Wojtas

GDZIE? ***Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi***
KIEDY? ***do 3 września***

eprasa.pl 6f270c1a94

Bałucki, Kaczmarski, Klynstra

FOT. DOROTA AVWORKO

Grzegorz Kondrasiuk

Redbad Klynstra-Komarnicki wraca do robienia teatru i to jest dobra wiadomość. Choć – niestety – jako aktora wciąż możemy go oglądać wyłącznie na ekranie, to przynajmniej wrócił do reżyserii. W lubelskim Teatrze im. Osterwy zrobił „Ciężkie czasy" – zaskakujący to wybór repertuarowy. Zastanawiałem się, o co mu chodzi z tym Bałuckim, ale po premierze wszystko mi się wyjaśniło

Komedia ta, osadzona w środowisku ziemian galicyjskich z końca XIX w., uchodząca za bezkompromisową wręcz satyrę społeczną, dziś ma opinię uroczej ramotki. Bałucki raportował o zderzeniu anachronicznego świata z nową kapitalistyczną epoką. „Ciężkie czasy" to historyjka o wspólnocie trawionej prowincjonalnymi kompleksami, która organizuje (na kredyt) wystawne powitanie wiedeńskiego księcia. Okazuje się, że to postać wymyślona, zrobiliśmy więc sami z siebie idiotów – ot, cała myśl utworu. Tajemnica sukcesu tej wziętej niegdyś dramaturgii polegała jednak na szczegółach, na szkicowanych ostrą kreską, jak dobre karykatury, postaciach i na języku – żywiole mowy. Kwestie wypowiadane przez te poczciwiny ujawniają nieco sadystyczne zapędy komediopisarza, opierają się na pochodzącej z zewnętrz autorskiej ironii. Taki teatr, tak jak XIX-wieczna powieść realistyczna, uwielbiał wariacje na temat bohatera zbiorowego, co dawało wspólnotom lokalnym i narodowym poczucie odwzorowania, autoobserwacji, bo był to czas wiary w literaturę, która ma nam coś do powiedzenia. A dziś? Nadaje się to może do czegoś w rodzaju archeologii teatralnej, do poszukiwania dawnego smaku, do przebieranek – dosłownie i w przenośni – w kostiumy z epoki.

Z takim wyobrażeniem przyszedłem na ulicę Narutowicza i dałem się zaskoczyć. Okazało się, że Klynstra chce robić w Lublinie, w placówce pod swoją dyrekcją, teatr współczesny, a w dodatku – oparty na uczciwości intelektualnej, i szeroko adresowany. Reżyser z dramaturgiem Danielem Adamczykiem zdecydowali się na ciekawą, rzadką drogę. Wyposażyli autora we współczesną świadomość, doprawili scenariusz szczyptami nowoczesnej melancholii. W niespodziewanych miejscach pojawiają się fragmenty autorów mało, wydawałoby się, zbieżnych z poetyką Bałuckiego – „Walc" Miłosza, „Dobre rady Pana Ojca" Kaczmarskiego, a niepotrzebna nikomu oda napisana przez miejscowego młodego zdolnego poetę okazuje się… fragmentem „Grobu Agamemnona" Słowackiego. Jest to interpretacja klasyki odchodząca od, typowego dla obecnego naszego teatru, protekcjonalnego osądzania przeszłości, tak jak nie osądza się tu i nie ośmiesza przodków, jako głupszej wersji nas samych. Jest to ruch ożywiania, wprawiania w ruch nie przez unieważnianie klasyki, a poprzez nadpisywanie i dodawanie sensów. W efekcie zamiast klarownej, dydaktycznej pogadanki (albo połajanki) historycznej mamy „rzecz do myślenia" o tym, co nas konstytuuje, uruchamia. Więzi? Być może, Klynstra nauczył się tego od Kaczmarskiego, od jego szczególnej metody ironicznej apoteozy, zaprezentowanej m.in. w „Sarmatii". Jest to ciekawe wymknięcie się z choroby dwubiegunowej, na którą choruje polska debata publiczna.

Forma inscenizacyjna dźwiga swoje zadania. Rzecz się odbywa na tle gigantycznego rumowiska krzeseł, do rytmu wybijanego przez uwięzionego w konstrukcji perkusistę. Szybki, pełen niespodzianek montaż scen i duży zespół teatralny, dla którego był pisany przecież ten scenariusz, skrzący się smaczkami: bon motami, szarżami, gagami. Kaczmarski potężnie zaśpiewany, ni to parodystycznie, ni na serio przez… służki, Kamilę Janik i Beatę Passini, „Nieee, to się nie uda, nie uda się…" Kwaskiewicza-Tomasza Bielawca, „Dzierżę, panie, wysoko w dłoni sztandar szlacheckiej godności i tradycyjnej wiary ojców" Bajkowskiego-Pawła Ferensa, z kieliszeczkiem uniesionym wysoko; Magdalena Sztejman, Marta Ledwoń – nadopiekuńcze maman, i tak dalej, można by wymieniać po kolei obsadę rozkosznie zidiociałego korowodu, w który zlewa się ta cała targana resentymentem mikrospołeczność – dobrze się na to patrzy i płynnie się to ogląda. Solidnie podbita groteską, satyryczna, szkicowa gra lubelskim aktorom, wytrawnym specjalistom, bardzo dobrze „leży" i pracuje na rzecz całościowego wrażenia. Jest szansa na spektakl, który będą lubić wszyscy, i aktorzy, i publiczność, z korzyścią dla długiego życia tego przedsięwzięcia. ©℗

TEATR IM. JULIUSZA OSTERWY W LUBLINIE
MICHAŁ BAŁUCKI, „CIĘŻKIE CZASY"
REŻ. REDBAD KLYNSTRA-KOMARNICKI
PREMIERA: 22 KWIETNIA 2023 R.

eprasa.pl 6f270c1a94

Co dalej z Ukrainą?

Łukasz Warzecha

Kijów obstaje przy odrzuceniu jakiejkolwiek wersji rozmów pokojowych, które oznaczałyby ustępstwa terytorialne lub „zamrożenie konfliktu". Taki komunikat został przekazany również po rozmowach Li Hui w Kijowie. Te postulaty są jednak niemożliwe do spełnienia

W Kijowie 16 maja pojawił się specjalny wysłannik chińskiego rządu – Li Hui. W ciągu dwóch dni odbył rozmowy z Dmytrem Kułebą, szefem ukraińskiego MSZ, a także spotkał się z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim. Działo się to trzy tygodnie po telefonicznej rozmowie między ukraińskim prezydentem a przewodniczącym ChRL Xi Jinpingiem, na której odbycie od dawna nalegał prezydent Zełenski.

Przedstawiciele polskich władz, jeśli w ogóle odnoszą się do chińskiej aktywności, to często w pogardliwy sposób, jak Stanisław Żaryn, pełnomocnik rządu do spraw bezpieczeństwa sfery informacyjnej, który na Twitterze z wyższością pouczał Chiny jako kraj o „nieprofesjonalnej dyplomacji" oraz wyjaśniał, że ich działania to teatr. A jednak Li Hui gościł później i w Warszawie.

CZY KIJÓW GRA CHINAMI?

Kim jest chiński specjalny wysłannik do spraw zakończenia wojny rosyjsko-ukraińskiej? Siedemdziesięciolatek jest doskonale osadzony w machinie dyplomacji Państwa Środka. Przez dekadę (2009–2019) był ambasadorem Chin w Moskwie, co dało mu ogromne znajomości i kontakty. Wcześniej pracował także jako ambasador w Kazachstanie. W samym chińskim MSZ jest zaś od 48 lat. Przysłanie go do Europy, gdzie plan podróży obejmował oprócz Kijowa, Moskwy

eprasa.pl 6f270c1a94

Rozmowy ministra spraw zagranicznych Ukrainy Dmytra Kułeby i Li Hui, chińskiego wysłannika, Kijów, 17 maja 2023 r.

FOT. UKRAINIAN FOREIGN MINISTRY PRESS OFFICE/AP/EAST NEWS

i Warszawy także Francję i Niemcy, pokazuje, że Pekin bardzo serio traktuje swoje zaangażowanie w znalezienie dobrego – dla siebie oczywiście – rozwiązania konfliktu oraz najprawdopodobniej chce już planować miejsce dla Chin w świecie po zakończeniu działań zbrojnych.

Na szczególną uwagę zasługuje gra, która toczy się pomiędzy Chinami, Kijowem a Waszyngtonem. Do bólu pragmatyczna Ukraina wydaje się bowiem coraz bardziej ostentacyjnie używać Pekinu – z jego akceptacją – jako kija na Amerykanów. Ukraińskie państwo – nie tylko, gdy idzie o prowadzenie wojny, lecz także o bieżące funkcjonowanie – zależy od amerykańskiej pomocy, która stanowi największą część funduszy napływających do Kijowa. Jednak z Zachodu, także z Waszyngtonu, płyną coraz wyraźniejsze, choć wciąż nieoficjalne sygnały, że pomoc nie będzie trwała wiecznie. Takie akcenty znalazły się m.in. w dokumentach, w dużej części oznaczonych jako tajne, które w kwietniu wyciekły z Pentagonu, a zostały wytworzone w lutym i marcu. Dokumenty zawierały także bardzo krytyczną i pesymistyczną ocenę możliwości przeprowadzenia przez Ukrainę skutecznej kontrofensywy.

Kijów, w pełni przecież świadomy zamykającego się okna możliwości, najpewniej zaczął traktować swoje kontakty z Pekinem jako sposób nacisku na USA. Wobec zaostrzającej się rywalizacji amerykańsko-chińskiej administracja Zełenskiego wydaje się sygnalizować Waszyngtonowi, że w razie osłabienia wsparcia lub prób wywarcia nacisku na zamrożenie konfliktu może zwrócić się właśnie do Pekinu jako rozjemcy.

Nie można też wykluczyć, że Kijów, wiedząc o granicach własnych możliwości, chce spróbować za pośrednictwem Chin spowodować, żeby Rosja uznała, iż przyszedł czas na negocjacje w tym samym momencie, gdy do takiej konkluzji dojdzie Ukraina. Najgorszy dla Kijowa scenariusz to bowiem ten, w którym Zachód traci nawet nie chęć, ale po prostu nie ma już środków, żeby Ukrainę wspierać na dotychczasowym poziomie (najczęściej mowa jest w tym kontekście o końcu tego roku), podczas gdy Rosja jest przygotowana na prowadzenie wojny na wyczerpanie przynajmniej przez kilka lat – na co wiele wskazuje. Jest już przynajmniej jasne, że sankcje, jeśli w ogóle zaczną działać, będą to robić dopiero za dłuższy czas. Na razie może nadwyrężają rosyjskie zasoby, ale na pewno ich nie wypleniły.

POLSKA TAM, GDZIE USA WSKAŻE

Li Hui do Polski przyjechał 19 maja. Przyjęty został przez urzędnika znacznie niższej rangi niż na Ukrainie – spotkał się z nim wiceminister spraw zagranicznych Wojciech Gerwel. Skąd ten kontrast z rangą partnerów do rozmów w Warszawie i w Kijowie? Nietrudno zrozumieć. Ukraina, choć radykalnie uzależniona od zachodniej pomocy oraz pod właściwie każdym względem od Amerykanów, jest wciąż w stanie prowadzić relatywnie samodzielną politykę, balansując pomiędzy różnymi opcjami. Polska przeciwnie: postawiliśmy wszystko na jeden, amerykański kierunek. Przyjęcie pana Li Hui na niskim szczeblu pokazuje, że stoimy karnie w szeregu tam, gdzie każe nam Waszyngton, i że nie stać nas nawet na tak symboliczne okazanie samodzielności jak rozmowa chińskiego wysłannika z szefem MSZ. Nasze postępowanie jest po prostu odbiciem amerykańskich życzeń.

W komunikacie polskiej strony po spotkaniu podkreślono, że odbyło się ono z inicjatywy chińskiej strony. Z zadowoleniem przyjęto natomiast kontakty Chin z Kijowem.

Komunikat odnotowuje również, że „chiński dyplomata zaznaczył, że sytuacja na Ukrainie nie służy niczyim interesom" oraz że „w opinii strony chińskiej nie ma łatwego rozwiązania w kwestii wojny na Ukrainie". Pan Li Hui „wskazał na potrzebę zawieszenia broni i powrotu do rozmów pokojowych". Wysłannik Pekinu przypomniał w tym kontekście 12-punktowy plan pokojowy Pekinu.

Plan został przedstawiony w lutym. Nie zawierał propozycji konkretnych rozwiązań, w tym terytorialnych, co wielu uznało za jego wadę, ale co równie dobrze można uznać za zaletę. W punkcie pierwszym mowa była o przestrzeganiu zasady integralności terytorialnej, jednak bez bezpośredniego odniesienia do aktualnej sytuacji wojennej. Chiny, zarówno w tym planie, jak i w szerszej „Globalnej inicjatywie bezpieczeństwa" (także z lutego), przedstawiają obraz świata wielobiegunowego, sprzeciwiając się między wierszami amerykańskiej dominacji. Temu zresztą służy wiele chińskich działań, takich jak inwestycje, pomoc i polityczne zbliżenie z krajami Afryki czy Azji Centralnej.

Dokładnie w tym samym czasie, gdy w Hiroszimie odbywał się szczyt G7 – podczas którego Wołodymyr Zełenski zacieśniał więzy przyjaźni z Niemcami i Francją – w chińskim Xi'an trwał szczyt azjatycki, podczas którego chiński lider spotkał się z przywódcami pięciu dawnych republik Związku Sowieckiego: Kazachstanu, Turkmenistanu, Kirgistanu, Uzbekistanu i Tadżykistanu. Na szczycie nie było przedstawiciela Rosji i choć liderzy wspomnianych krajów gościli w Moskwie przy okazji rocznicy zakończenia wojny,

eprasa.pl 6f270c1a94

to ich spotkanie w Xi'an zostało odebrane jako mocne wejście Chin w sferę, którą Moskwa uznawała za swoją. Xi Jinping podkreślał podczas szczytu, że nikt nie może naruszyć suwerenności tych państw. To zresztą akcent często pojawiający się w wystąpieniach chińskich polityków. Pekin pozycjonuje się jako gwarant suwerenności mniejszych państw świata, które mogą się czuć zagrożone przez interesy amerykańskie albo rosyjskie.

Dużo racji mają ci, którzy stwierdzają, że wojna będzie trwać tak długo, jak będą tego chciały Stany Zjednoczone. Nie ma tu symetrii z sytuacją Chin i Rosji, ale bez wątpienia Chiny mają również potężne możliwości wywierania nacisku na Moskwę w sprawie przystąpienia do rokowań.

CO MOŻE WATYKAN

Nie jest natomiast jasne, jakie możliwości wywierania nacisku ma Watykan. Jeśli jednak wierzyć papieżowi Franciszkowi, Stolica Apostolska jakieś rozmowy pokojowe, na razie niejawne, toczy. Papież poinformował o tym zaskoczonych dziennikarzy na pokładzie papieskiego samolotu, którym na początku maja wracał z wizyty na Węgrzech. „Do pokoju zawsze doprowadza się poprzez otwarcie. Nie da się tego uczynić, zamykając się" – stwierdził Franciszek. Podkreślał również, że jednym z najważniejszych zadań będzie repatriacja ukraińskich dzieci uprowadzonych przez Rosjan. Wcześniej w Watykanie z papieżem spotkał się ukraiński premier Denys Szymhal, natomiast 13 maja papież przez 40 minut rozmawiał z Wołodymyrem Zełenskim w czasie jego wizyty we Włoszech. Czy w trakcie tej rozmowy omawiano tajemniczą inicjatywę pokojową Watykanu – nie wiadomo.

Było to jednak zdarzenie o tyle istotne, że pomiędzy Stolicą Apostolską a Kijowem dochodziło wcześniej wielokrotnie do napięć w związku ze stanowiskiem papieża, które Ukraina uznawała za zbyt symetrystyczne. Pretensje dotyczyły licznych wypowiedzi Franciszka – np. o tym, że Daria Dugina była niewinną ofiarą wojny albo że rosyjska agresja mogła zostać „trochę sprowokowana". Kijów żalił się również na to, że dwukrotnie podczas procesji wielkanocnej do rozważań zaangażowano obok Ukraińców – Rosjan. Ogólnie rzecz biorąc, Ukraińcy mieli żal, że papież nie wskazywał jasno, kto w wojnie jest agresorem i kto ma „rację". Z tego samego powodu Franciszek był bardzo ostro krytykowany w Polsce. Jak widać, wszystko to nie zraziło jednak ukraińskiego przywódcy do spotkania z papieżem. W tym ponownie widać skrajny, wręcz ukraiński pragmatyzm.

W Polsce kolportowana jest wersja o powszechnie uwielbianym Zełenskim. Prawda jest jednak inna

Jednak stanowisko papieża w sprawie wojny – abstrahując od jego, mówiąc najdelikatniej, dziwacznych pomysłów dotyczących doktryny czy tzw. synodalności (o czym wielokrotnie w „Do Rzeczy" pisaliśmy) – wydaje się zrozumiałe i logiczne. Rolą głowy Kościoła nie jest przecież w pierwszym rzędzie orzekanie o winie w razie wojny, ale troska o to, żeby przestali ginąć ludzie. Ta motywacja skłania Watykan do prowadzenia cichej dyplomacji na rzecz zakończenia konfliktu, aczkolwiek jej skuteczność pozostaje pod znakiem zapytania.

UPADEK BACHMUTU

Rzecz jasna, żaden plan pokojowy nie powiedzie się, jeśli jego założeń nie zaakceptują obie walczące strony. Trudno powiedzieć, jakie są kalkulacje czy założenia strony rosyjskiej. Bardzo niewiele wiemy o napięciach, jakie panują na Kremlu. Zdobycie Bachmutu wydaje się natomiast raczej oddalać moment, gdy Rosja zdecyduje się na rozmowy. Wbrew całkowicie oderwanym od rzeczywistości komentarzom niektórych polskich urzędników (Stanisław Żaryn ogłosił, że ten fakt nie ma znaczenia „taktycznego ani strategicznego") jest to istotne wydarzenie. Po pierwsze – ma znaczenie symboliczne, a więc uderza w ukraińskie morale, zarazem podbudowując przekonanie Moskwy, że da się coś jeszcze ugrać. Po drugie – Bachmut jest istotnym punktem na linii frontu. Za nim leżą dwa istotne ukraińskie miasta: Słowiańsk i Kramatorsk.

Fragmentaryczna jest także nasza wiedza na temat faktycznej sytuacji politycznej na Ukrainie. W Polsce kolportowana jest bajkowa wersja opowieści o powszechnie uwielbianym Wołodymyrze Zełenskim, którego decyzji nikt nie kwestionuje. Prawda jest jednak inna. Na Ukrainie pojawiały się już napięcia, m.in. wokół sprawy Azowstalu czy samego przygotowania kraju do wojny. Jeszcze w ubiegłym roku Zełenski był oskarżany o to, że mógł uprzedzić obywateli o nieuchronnej agresji, bo miał wystarczającą wiedzę, i być może uratować dzięki temu wiele istnień ludzkich. Taka krytyka pojawiła się m.in. po jego głośnym wywiadzie w sierpniu ubiegłego roku dla „Washington Post", w którym opowiadał, że nie chciał budzić wśród Ukraińców paniki, gdyż zależało mu na funkcjonowaniu gospodarki kraju.

Dotychczas Kijów obstaje przy odrzuceniu jakiejkolwiek wersji rozmów pokojowych, które oznaczałyby ustępstwa terytorialne lub „zamrożenie konfliktu". Taki komunikat został przekazany również po rozmowach Li Hui w Kijowie. Te postulaty są jednak niemożliwe do spełnienia. Niezamrażanie konfliktu musiałoby oznaczać jego ostateczne rozwiązanie, a skoro Ukrainę satysfakcjonowałoby tylko takie, w którym odzyskuje wszystkie zawłaszczone przez Rosję terytoria – także te utracone w 2014 r. – to jest to dzisiaj całkowicie nierealne. Pozostawałoby zatem kontynuowanie walk, co z kolei może się okazać niemożliwe z obecną intensywnością z powodu słabnącej z obiektywnych powodów pomocy Zachodu.

Być może rozwiązaniem tego dylematu będzie sięgnięcie po triki dyplomatyczne, które pozwolą Ukrainie zgodzić się na obie rzeczy, na które zgadzać się oficjalnie nie chce – tyle że inaczej nazwane. Zawieszenie broni można przecież przedłużać wielokrotnie, nie nazywając go „zamrożeniem konfliktu", a pogodzenie się z faktem utraty części terytorium nie musi oznaczać formalnej zgody na przejęcie go przez Rosję. Na przykład tzw. palestyńskie terytoria okupowane, czyli Zachodni Brzeg Jordanu i Strefa Gazy, to de facto część Izraela od ponad pół wieku, która jednak przez społeczność międzynarodową za taką nie jest uznawana. Podobny stan rzeczy może się utrwalić na Ukrainie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f270c1a94

Fundusze Europejskie

Wszyscy potrzebujemy dostępności

Dostępność pozwala na równi korzystać z produktów, usług i przestrzeni jak największej liczbie osób. Według badaczy prawie 1/3 społeczeństwa może mieć z tym trudność. Przyczyny mogą być różne: ograniczenia ruchowe czy psychofizyczne. Co więcej, w Polsce wzrasta też liczba seniorów. Dla nich swobodne korzystanie z usług i przestrzeni również staje się wyzwaniem. W tym roku mija 5 lat od uruchomienia Programu Dostępność Plus. To dobra okazja, by przyjrzeć się jego efektom.

Program Dostępność Plus to pierwsze w Polsce, tak kompleksowe, ujęcie tematyki dostępności. Jest on dofinansowany z funduszy Unii Europejskiej. Jego celem jest zapewnienie swobodnego korzystania z dóbr, usług oraz udziału w życiu społecznym i publicznym osób ze szczególnymi potrzebami. Trzeba pamiętać, że osoby o szczególnych potrzebach to nie tylko te, które poruszają się na wózkach, niewidome czy niesłyszące. To też kobiety w ciąży, seniorzy czy osoby z czasowymi trudnościami w poruszaniu się. To do tej szerokiej grupy odbiorców skierowany jest program.

Komunikacja na plus

Dostępność wspiera osiem obszarów, takich jak architektura, transport, edukacja, służba zdrowia, cyfryzacja, usługi, konkurencyjność i koordynacja. Dzięki realizacji programu wiele się zmieniło. Jednym z przykładów jest poprawa sposobu podróżowania osób ze szczególnymi potrzebami. To zasługa ponad 70 zmodernizowanych dworców kolejowych oraz 650 wybudowanych lub przebudowanych peronów kolejowych. Stały się one dostępne dla osób z ograniczoną mobilnością. Zakupiono prawie 1000 autobusów, tramwajów i wagonów kolejowych, które są dostosowane do potrzeb osób z niepełnosprawnościami.

Zmiany na medal

Do ponad 800 samorządów trafiły też granty na poprawę dostępności, a około 2 tys. pracowników służb architektoniczno-budowlanych zostało przeszkolonych w zakresie dostępności. Wiele instytucji kultury i miejsc rekreacji zostało dostosowanych do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Ponad 170 gmin zorganizowało usługi indywidualnego transportu door-to-door, czyli możliwość korzystania przez np. osobę poruszającą się na wózku z busa, który odbierze ją z dowolnego miejsca i zawiezie prosto do wyznaczonego celu.

Dostępność zmieniła też oblicze polskiej edukacji na różnych szczeblach. Szkoły podstawowe, ale i uczelnie wyższe likwidują bariery w swoich budynkach, organizują transport dla uczniów i studentów z niepełnosprawnościami. Realizują też działania edukacyjno-społeczne, aby uwrażliwić społeczność na potrzeby osób np. z niepełnosprawnościami. Podnoszona jest świadomość i kompetencje nauczycieli oraz wykładowców w zakresie dostępności.

Podobne zmiany wprowadzono w służbie zdrowia. Dofinansowanie dostało 230 placówek podstawowej opieki zdrowotnej i 73 szpitale w całej Polsce. Udało się przeszkolić ponad 1000 pracowników w zakresie efektywnej komunikacji z pacjentami ze szczególnymi potrzebami. Uruchomiono wiele inicjatyw, usług społecznych i zdrowotnych (np. pomoc opiekunek, asystentów, doradców) skierowanych głównie do seniorów i osób z niepełnosprawnościami. Skorzystało z nich już ponad 404 tys. osób. Utworzono 16 centrów zdrowia psychicznego, w których pacjenci w trakcie kryzysów psychicznych mogą liczyć na wsparcie, bez konieczności hospitalizacji.

Zmiany w prawie i świadomości

Wspomniane liczby robią wrażenie, ale równie ważnym elementem programu są wprowadzane rozwiązania prawne. Chodzi nie tylko o obowiązujące ustawy o zapewnianiu dostępności oraz planowane przepisy dotyczące dostępności niektórych produktów i usług. Widać też szereg zmian, jakie udało się wprowadzić do innych przepisów prawnych np. prawa budowlanego.

Dostępność Plus

Promocja dostępności to jednak przede wszystkim pokazywanie konkretnych przykładów jej zastosowania. Temu służy konkurs, który promuje produkty i usługi dostosowane również do osób o szczególnych potrzebach – „Lider dostępności priorytetowych branż". Przedsiębiorcy mogą zgłaszać w nim swoje produkty i usługi tworzone tak, aby mogły korzystać z nich także osoby ze szczególnymi potrzebami. Nabór takich wniosków trwa do 30 czerwca. Na stronie poświęconej Programowi Dostępność Plus www.dostepnoscplus.gov.pl znajdziemy więcej informacji o konkursie oraz o aktualnych wydarzeniach, podejmowanych działaniach czy ogłaszanych naborach.

Razem możemy więcej

W programie postawiono na partnerstwo na rzecz dostępności. Przedstawiciele różnych środowisk, w tym osoby z niepełnosprawnościami, razem wyznaczają kierunki działań dla rozwoju dostępności – czy to w Partnerstwie na rzecz dostępności czy w czasie pracy w Radzie dostępności.

Dobrym podsumowaniem ostatnich 5 lat Programu jest kampania pt. „Wszyscy potrzebujemy dostępności", która wystartowała 15 maja. Dzięki szerokiej promocji projektów w radiu i telewizji pokazuje ona, jaki wpływ na poprawę dostępności mają Fundusze Europejskie.

Jest to jednocześnie kolejny etap zwiększania świadomości na temat tego, jak usuwanie barier architektonicznych, cyfrowych czy komunikacyjnych jest ważne dla nas wszystkich.

Nowe otwarcie

Polska zaczęła już na dobre korzystać z Funduszy Europejskich na lata 2021-2027. Jeden z programów Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego stawia, m.in. na zwiększanie dostępności dla osób ze szczególnymi potrzebami. Oznacza to, że szereg projektów i inicjatyw zapoczątkowanych w ramach Programu Dostępność Plus ma szanse być kontynuowanych i uzupełnionych nowymi pomysłami i przedsięwzięciami. Więcej informacji o nowym programie znajduje się na stronie **www.rozwojspoleczny.gov.pl**.

Kampania finansowana z Funduszu Spójności Unii Europejskiej i budżetu państwa

Fundusze Europejskie · Rzeczpospolita Polska · Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej · Unia Europejska Europejskie Fundusze Strukturalne i Inwestycyjne

eprasa.pl 6f270c1a94

PAWEŁ CHMIELEWSKI: W Niepołomicach na Zamku Królewskim odbywa się w dniach 1–3 czerwca konferencja „Wiara i nauka w dobie sekularyzacji poświęcona problematyce inteligentnego projektu, ewolucji i stworzenia". Jest ojciec jednym z prelegentów. Dlaczego warto zajmować się dziś teorią ewolucji? Czy Darwin i darwinizm nie wyjaśnili już wszystkiego?

O. DR MICHAŁ CHABEREK OP: Myślę, że nawet zwolennicy ewolucjonizmu zgodzą się, że Darwin i darwinizm to już głęboka przeszłość, jeśli chodzi o wyjaśnianie początków życia na ziemi. Współcześni ewolucjoniści chętniej powołują się na neodarwinizm lub tzw. syntetyczną teorię ewolucji, w ramach której połączono darwinistyczny mechanizm przypadkowej zmienności i naturalnej selekcji z nowocześnie rozumianą genetyką. Program neodarwinistyczny ogłoszono w latach 50. ubiegłego wieku i od początku sprawiał on wiele problemów.

Jak to? Przecież w obiegowej opinii teoria Darwina raz na zawsze wyjaśniła mechanikę ewolucji...

Dzisiaj żyjemy już w epoce postneodarwinistycznej, w której nawet najwięksi zwolennicy Darwina nie wiedzą, w jaki sposób teoria ewolucyjna miałaby wyjaśniać powstanie wielu elementów świata biologicznego, zwłaszcza tych odkrywanych na molekularnym poziomie życia. Jednym słowem, współczesny ewolucjonizm jest w głębokim kryzysie i mimo chóru popularyzatorów nauki, mantrującego, że „teoria ewolucji" wszystko wyjaśnia, w istocie nie mamy odpowiedzi na kluczowe pytania. Nie wiadomo, w jaki sposób mechanizmy neodarwinistyczne miałyby stworzyć informację genetyczną, narządy nieredukowalnie złożone, wyjaśnić kambryjską eksplozję życia czy wreszcie samo powstanie życia. Te problemy są taką samą tajemnicą dla współczesnej biologii, jaką były dla Darwina 150 lat temu.

Rysuje się zatem cała paleta fundamentalnych problemów. W ojca ocenie co jest najważniejszą bolączką teorii Darwina?

Jako teolog i filozof zajmuję się głównie problemami teologicznymi i filozoficznymi tej teorii. Myślę, że ciężko w niej znaleźć jakiś mocny punkt. David Berlinski porównuje ją do pokoju pełnego dymu. Tam nic nie jest jasno zdefiniowane. Osobiście dostrzegam także wiele problemów logicznych. Teoria Darwina rozumiana jako

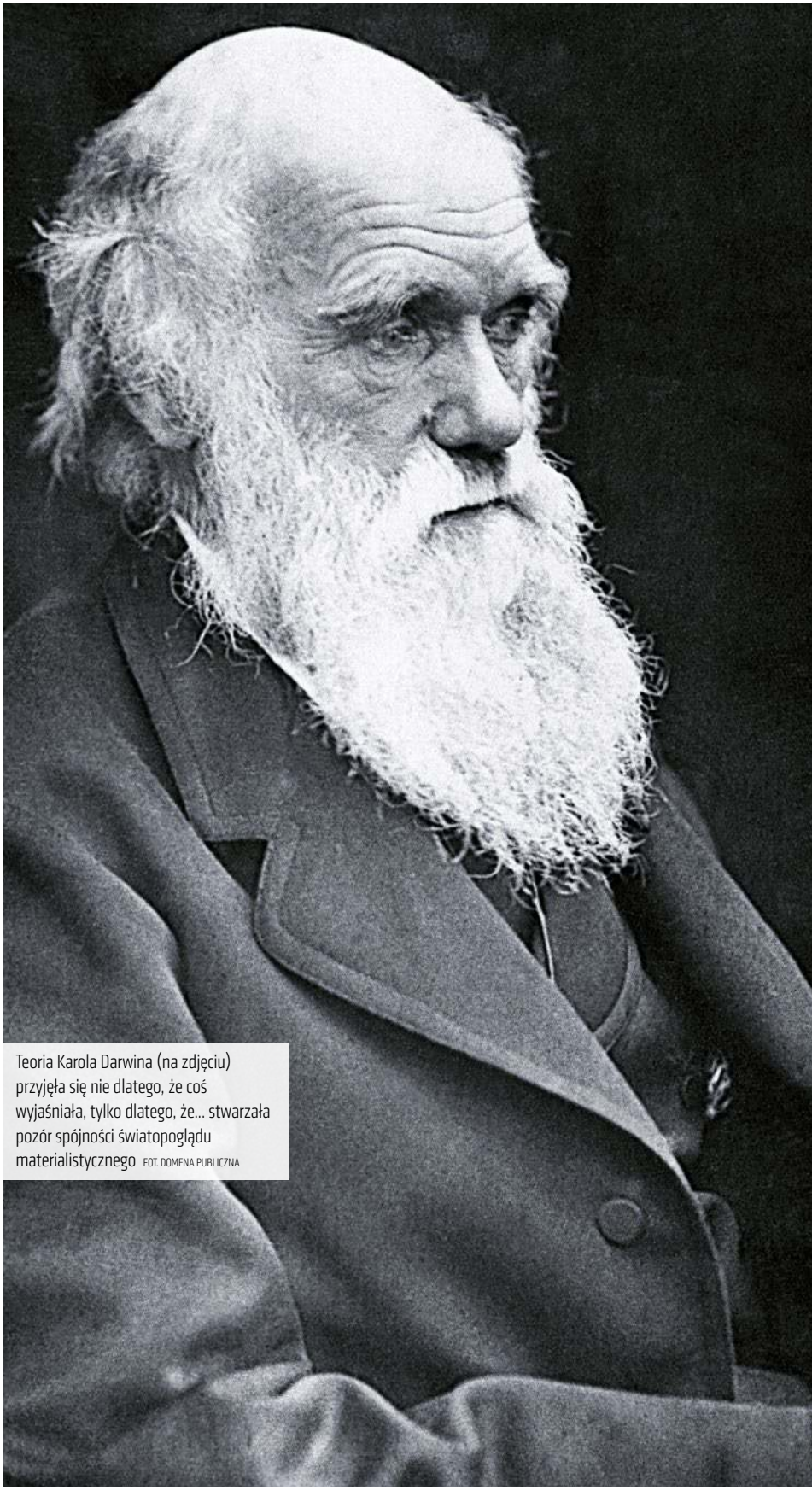

Teoria Karola Darwina (na zdjęciu) przyjęła się nie dlatego, że coś wyjaśniała, tylko dlatego, że... stwarzała pozór spójności światopoglądu materialistycznego FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 6f270c1a94

powszechne wspólne pochodzenie jest raczej wielkim postulatem filozoficznym niż teorią naukową. Zatem sam status tej teorii jest trudny do określenia.

Darwin cieszy się opinią zimnego naukowca. Ojciec w swoich wystąpieniach zwraca uwagę, że w istocie był głęboko zakorzeniony we współczesnych mu ideologiach. Jakie były intelektualne ograniczenia Darwina?

Takim podstawowym ograniczeniem był jego brak wiary w realne działanie Boga w świecie. Światopogląd deistyczny, który z czasem przekształcił się u niego w czysty materializm, niejako zmuszał go do szukania naturalnych przyczyn powstania gatunków, które wcześniej przypisywano Boskiemu dziełu stwórczemu.

Z o. dr. Michałem Chaberkiem OP
rozmawia Paweł Chmielewski

Darwin się mylił

Darwin w szczególności zaatakował dwa klasycznie chrześcijańskie pojęcia obecne w kulturze (i nauce) jego czasów – niezależne akty stwórcze oraz „plan stworzenia". Ta niemożność spojrzenia poza materię i odrzucenie wszelkiej nadprzyrodzoności stanowiły ograniczenie intelektualne Darwina, a także jego podstawową motywację do zaprezentowania swojej teorii powstania gatunków. Myślę, że śmiało można powiedzieć, iż teoria Darwina przyjęła się nie dlatego, że coś wyjaśniała, tylko dlatego, że... stwarzała pozór spójności światopoglądu materialistycznego.

Dobrze, ale czy tak naprawdę coś wskazuje na nieprzypadkowe stworzenie świata? Według założeń konferencji w Niepołomicach to same dane naukowe są poważną przesłanką. We współczesnej debacie dominuje jednak przekonanie, że istnienie człowieka i życia to dzieło ślepego losu.

Przesłanek jest oczywiście bardzo wiele. O niektórych z nich uczymy się na katechezie. Jednak postęp nauki umożliwił zbudowanie nowego rodzaju argumentów, nieznanych wcześniej chrześcijańskim badaczom. Chodzi tu o argumenty wywodzące się z dwóch dużych dziedzin naukowych – z fizyki oraz z biologii. W tej pierwszej od kilku dziesięcioleci mówi się o tzw. teorii kosmicznego precyzyjnego zestrojenia. Chodzi o to, że niemal wszystkie stałe i siły w świecie, ich wartości są tak dobrane, że nawet niewielka zmiana spowodowałaby rozpad świata, jaki znamy albo uniemożliwiłaby funkcjonowanie życia. Dla przykładu stosunek siły elektromagnetycznej do grawitacji musi być dobrany z dokładnością 1 do 1040. To mniej więcej tak, jakby wygrać w lotka sześć razy z rzędu. A te wartości są powiązane z wieloma innymi i w sumie tworzą siatkę niewiarygodnych zbiegów okoliczności, które w całości trudno wytłumaczyć inaczej niż przez odwołanie do celowego działania jakiegoś umysłu. W biologii projekt jest jeszcze bardziej wyraźny, ponieważ mówimy tu już nie tylko o zespołach bardzo szczęśliwych zbiegów okoliczności, lecz także o takich rzeczach jak informacja genetyczna i kod genetyczny. Wiemy zaś z doświadczenia, że funkcjonalna informacja nigdy nie powstaje poprzez działanie ślepych sił przyrody, lecz wskutek działania intelektu. Na przykład programy komputerowe tworzą programiści. Mamy więc podstawę, aby wnioskować, że program biologiczny wytworzył jakiś intelekt, a nie ślepe siły przyrody.

Nawet jeżeli świat miałby mieć swojego twórcę, to dlaczego to samo miałoby dotyczyć roślin, zwierząt, a zwłaszcza człowieka? Czy nie jest w pełni zgodne z nauką przyjąć, że byty żyjące są dziełem przypadku, a tym więcej jest przypadkowe istnienie człowieka, z całą jego inteligencją i – jak twierdzą ewolucjoniści– tylko pozorną wyjątkowością?

Tak zwani teistyczni ewolucjoniści rzeczywiście tak rozumują. Przyjmują, że świat został stworzony w takiej czy innej postaci, ale po stworzeniu Bóg niejako przekazał wszystko przyczynom wtórnym, czyli działaniu sił przyrody, które wytworzyły całą różnorodność stworzeń. Jednak w tym myśleniu ukryte jest głębokie nieporozumienie – prawa przyrody nie są agentami, nie są sprawcami, którzy coś wykonują. To nie jest tak, że jakieś prawo coś wytwarza. Prawa są regułami, pewnymi schematami, zgodnie z którymi materia będzie się zachowywać w określonych warunkach. I podobnie ewolucja nie jest agentem, niczego nie wybiera, niczego nie tworzy. Ale w historii świata widzimy powstawanie określonych nowości, można powiedzieć nowych natur: nie było dinozaurów – pojawiły się dinozaury, nie było człowieka – pojawił się człowiek. Prawa nie wytworzą tego typu nowości, ponieważ nowe rodzaje życia (nowe gatunki) wymykają się schematom, według których działa materia. Aby powstała zupełnie nowa forma życia, trzeba rozwiązać wiele problemów natury technicznej – odżywianie, rozmnażanie, komunikacja ze światem zewnętrznym. Każda forma życia zawiera jakieś unikalne rozwiązania dla tych problemów. Ponownie, wiemy z doświadczenia, że tak działają inżynierowie budujący nowe urządzenia, a nie prawa, które mogą tylko spowodować powtórzenie już istniejących wzorców. Zatem siła odpowiadająca za powstanie różnych form życia nie może być ani jakimś prawem, ani przypadkiem, musi działać celowo i inteligentnie.

Czy na te tematy powinien jednak wypowiadać się Kościół? Według wielu naukowców

eprasa.pl 6f270c1a94

– nie, bo są to sprawy, jak twierdzą, czystej empirii. Ewolucjoniści lubią przypominać sprawę Galileusza, twierdząc, że Kościół nie ma żadnych kompetencji w takich dziedzinach jak ewolucja. Jak jest naprawdę?

Sprawa Galileusza do dzisiaj jest sprytnie wykorzystywana przez ateistów w celu zastraszania ludzi Kościoła, aby nie wypowiadali się w pewnych kwestiach. Tymczasem ewolucja to złożony problem mający warstwę naukową, a także filozoficzną i teologiczną. W przypadku Galileusza Kościół rzeczywiście przekroczył granicę swojej domeny, wypowiadając się w sposób absolutny w kwestii leżącej po stronie nauki. Mniejsza już o to, kto miał rację. Problem jest już w samym fakcie potępienia pewnego modelu Układu Słonecznego z powodów teologicznych. Jednak analogia z Darwinem jest zupełnie chybiona. To Darwin przekroczył granice nauki, przypisując domenie biologii to, co leży w dziedzinie Bożego Objawienia. Obecnie teologowie boją się krytykować teorię Darwina, ponieważ wmawia się im, że doprowadzi to do drugiej sprawy Galileusza i ponownej kompromitacji Kościoła. Tyle że Galileusz i Darwin odpowiadali na zupełnie inne pytania. Darwin chciał wyjaśnić pochodzenie gatunków, a pytania o pochodzenie rzeczy, świata, człowieka należą do teologii. Zatem krytyka teorii Darwina nie jest atakiem na naukę (jak chcieliby ewolucjoniści teistyczni i ateistyczni), lecz próbą przywrócenia właściwych granic nauce. I tego teologowie nie powinni się bać, wręcz przeciwnie, to teologowie muszą być świadomi granic nauki, żeby nie dać się oszukiwać ateistycznym naukowcom.

Wróćmy jeszcze do konferencji. Nie mamy miejsca, by przedstawić wszystkich prelegentów. Niewątpliwie gwiazdą spotkania jest jednak prof. Michael Behe. Jakie są założenia jego teorii?

Profesor Behe zasłynął przede wszystkim argumentem na rzecz inteligentnego projektu zbudowanym na podstawie pojęcia nieredukowalnej złożoności. Po szczegóły tej koncepcji odsyłam do książki „Czarna skrzynka Darwina". W innych publikacjach Behe pokazuje np. granicę ewolucji, tzn. co mogą zdziałać mutacje i selekcja, a czego nie mogą, i wyjaśnia, dlaczego tak się dzieje.

W konferencji weźmie udział wielu ekspertów z całego świata, ale Polak będzie tylko jeden – właśnie ojciec. Czy w Polsce nikt nie zajmuje się krytycznie teorią ewolucji?

Oczywiście są takie osoby, ale nam chodzi o coś więcej. Chodzi także o powiązanie przyrodniczej teorii inteligentnego projektu z tradycyjną teologią katolicką. O ile mi wiadomo, tego w Polsce nikt nie robi.

Można odnieść wrażenie, że polska debata naukowa, filozoficzna i teologiczna nie poświęca kwestii ewolucji większej uwagi. Tymczasem ojciec wskazuje, że ten temat ma ogromne znaczenie dla naszego rozumienia świata. Dlaczego?

W Polsce kwestia ewolucji nie zajmuje wiele miejsca w publicznej debacie przede wszystkim dlatego, że wszyscy wielcy gracze, zarówno teologowie, jak i naukowcy, po prostu zgodzili się na ewolucjonizm. Na ten stan rzeczy miało wpływ wiele czynników historycznych i kulturowych. Od Comte'a i XIX-wiecznego pozytywizmu teologom wmawiano, że teologia nie jest nauką. Później zarówno liberalizm zachodni, jak i komunizm wyrzucali teologię z uniwersytetów. Można więc powiedzieć, że teologowie nabawili się „kompleksu naukowości" – wystarczy powiedzieć teologowi, że jest nienaukowy, i to skutecznie zamyka mu usta. Zgodnie z ewolucyjną narracją najbardziej nienaukowi są ci, którzy podważają „naukową" teorię Darwina. W takim schemacie myślowym udało się uwięzić znaczną część polskich teologów, nawet tych bardziej konserwatywnych. W efekcie są oni w stanie uwierzyć w najbardziej fantastyczne bzdury dotyczące powstania człowieka, ale nie w opis biblijny.

Krytyka teorii Darwina nie jest atakiem na naukę, lecz próbą przywrócenia właściwych granic nauce

Czy teologia może ten opis odrzucać?

Opis biblijny też został „zneutralizowany" poprzez modernistyczną egzegezę – wszyscy wiemy, że „autor natchniony" nie chciał powiedzieć tego, co powiedział, a poza tym nie można tego jakoby traktować dosłownie. Dogmat ustanowiony przez współczesnych teologów o rzekomej niemożności dosłownego czytania opisu stworzenia znajduje odpowiedź w dekretach Papieskiej Komisji Biblijnej z początku ubiegłego wieku. Jest jasne, że nie wszystko w tym opisie jest dosłowne, ale czym innym jest powiedzieć, że tekst ten zawiera metafory, a czym innym, że jest on metaforą. Niestety współcześni bibliści nie traktują tego opisu poważnie, co sprzeciwia się całej tradycji teologicznej. Odrzucając ją, nolens volens stają się adwokatami protestanckiej zasady sola scriptura. Wracając do poprzedniego wątku, wśród czynników wpływających na taki stan świadomości nie można też zapomnieć o zwykłej ignorancji, a także o tym, że teoria inteligentnego projektu jest zjawiskiem dość młodym. Do niedawna nie było praktycznie żadnych tekstów źródłowych po polsku. W dodatku całe pokolenie duchownych zostało wychowane na publikacjach znanych polskich teistycznych ewolucjonistów, w tym śp. abp. Życińskiego. Przy braku realnej alternatywy ten model myślenia musiał zostawić trwałe piętno. Jednocześnie przyszło nam żyć w czasach intensywnej wojny kulturowej. Myślę, że pełne zintegrowanie teorii inteligentnego projektu z szerszą myślą konserwatywną jest celem osiągalnym – i to byłby już ogromny sukces.

Konferencję organizują podmioty z USA i z Polski – w tym Stowarzyszenie ks. Piotra Skargi oraz Stowarzyszenie Polonia Christiana. Czy spodziewa się ojciec, że jednym z owoców tego wydarzenia będzie przełamanie dominacji ewolucjonistów w debacie?

Sam fakt, że to, co 10 lat temu uważałem za niemożliwe, dzisiaj dzieje się na naszych oczach, dowodzi, że czynimy ogromny postęp. Mamy już całe instytucje zajmujące się promocją inteligentnego projektu, mamy oddanych ludzi, istnieje Seria Inteligentnego Projektu. Czekam na przebudzenie wśród biologów. Sprawa jest rozwojowa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Paweł Chmielewski jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

o. dr Michał Chaberek OP
– dominikanin i teolog, doktor teologii fundamentalnej. Związany z Fundacją En Arche zajmującą się promocją teorii inteligentnego projektu.

eprasa.pl 6f270c1a94

Nowości w księgarni Religijna.pl!

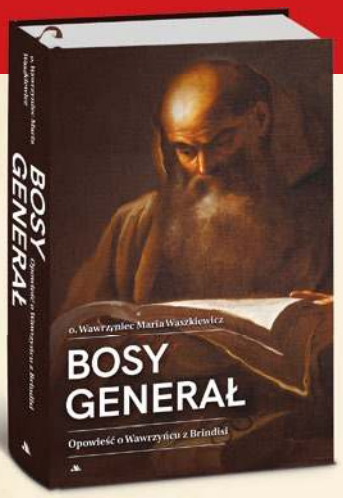

o. Wawrzyniec Maria Waszkiewicz

Bosy Generał

Opowieść o Wawrzyńcu z Brindisi

Obszerna biografia świętego Wawrzyńca z Brindisi (1559-1619), jednej z najwybitniejszych postaci Kontrreformacji, generała zakonu kapucynów oraz mistyka, teologa i Doktora Kościoła.

Wydawnictwo AA, 17×24 cm, s. 632

Abigail Shrier

Nieodwracalna krzywda

Tragiczne losy nastolatek, które zmieniły płeć

Abigail Shrier, dziennikarka „Wall Street Journal", zagłębiła się w świat osób trans, rozmawiając z dziewczynami, z ich udręczonymi rodzicami, z doradcami i lekarzami, którzy umożliwiają zmianę płci, a także z młodymi kobietami, które gorzko żałują tego, co sobie zrobiły.

Dystrybucja AA, 14×20 cm, s. 344

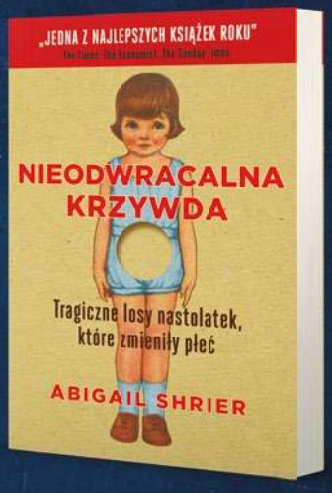

Monika Karolczuk, ks. Zbigniew Pytel

Wielka Księga Tatr

Książka pokazuje Tatry, głównie polskie, w całym ich bogactwie przyrodniczym i kulturowym. Stanowi rodzaj encyklopedii, która w przejrzysty sposób opisuje rozmaite aspekty najwyższych i zarazem o największym znaczeniu dla polskiej kultury gór.

Aromat Słowa, 28×33 cm, s. 256

Blisko 300 wyjątkowych fotografii, w tym 45 rozległych barwnych panoram, wraz z grafikami opisującymi przedstawione na nich szczyty.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

eprasa.pl 6f270c1a94

Z Wiktorem Krajewskim, dziennikarzem i autorem literatury non-fiction
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Kochał, bił i kradł

FOT. EDWARD IWANEK/PAP

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Wizerunek Jerzego Kalibabki zaprezentowany w pańskiej książce znacząco odbiega od przestępcy lowelasa z popularnego serialu Telewizji Polskiej pt. „Tulipan"...

WIKTOR KRAJEWSKI: Rzeczywisty obraz Jerzego Kalibabki ma się nijak do tego, który oglądamy na ekranie. Panowie Andrzej Swat i Janusz Dymek – twórcy „Tulipana" – nie mogli pozwolić sobie na przedstawienie prawdziwego funkcjonowania Kalibabki. Gdyby to zrobili, obawiam się, że TVP nie skierowałaby filmu do produkcji. To, jak zachowywał się Kalibabka, było drastyczne, brutalne i pełne nienawiści. Bo trzeba przyznać, że w istocie nienawidził kobiet. Kochał wyłącznie siebie samego.

Skąd pochodził ten PRL-owski uwodziciel numer jeden?

Urodził się w Kamieniu Pomorskim, a dorastał w Dziwnowie, gdzie mieścił się jego dom rodzinny. Ojciec – ormowiec – miał przystań. Kotwiczył tam kuter, którym wypływał na połowy bałtyckich ryb. Wdrażany do tego fachu syn nie chciał kontynuować zawodowej tradycji. Nie lubił się przepracowywać, marzyły mu się życiowe rozkosze. Po wyjściu z więzienia wrócił do swojego miasteczka – znajdującego się na wyspie Wolin – i tam też cztery lata temu zmarł nagle przed własnym domostwem.

Na jakie kobiety zarzucał sieci ów syn rybaka?

Zrazu były nimi zamożne turystki, często w wieku balzakowskim, nierzadko cudzoziemki wypoczywające w polskich kurortach. Przeważnie oczekiwały „męskiej przygody". Kalibabka im ją gwarantował, okradając przy okazji. Potem w orbicie jego zainteresowań znalazły się dziewczęta niepełnoletnie – w przedziale wiekowym 14–17 lat. Zwykle pochodziły z miasteczek i wsi. Wierzyły, że Kalibabka zapewni im bilet do lepszego świata. Rzeczywiście mogło się tak wydawać. Wyglądał jak dewizowy obcokrajowiec – ubrania i kosmetyki, których używał, kupował na ogół w sklepach Pewex albo Baltona. Każda z jego ofiar wierzyła, że to właśnie ją Kalibabka pokocha, a dzięki tej miłości zmieni swoje zachowania i nawyki. Tak się jednak nigdy nie stało.

Czym je oczarowywał? Bo chyba nie intelektem, skoro nie ukończył nawet podstawówki...

Obiecywał korzystną odmianę losu. Na pierwszy rzut oka wydawał się

eprasa.pl 6f270c1a94

przepustką do kolorowego życia w siermiężnej Polsce. Pachniał zagranicznymi perfumami, palił amerykańskie papierosy, sączył trunki renomowanych marek, nosił prawdziwe dżinsy, eleganckie marynarki, kurtki czy płaszcze. Na stopach miał modne obuwie, na głowie ekstrawagancką fryzurę. Potrafił zachowywać się szarmancko, lecz tak zdarzało się jedynie na początku znajomości. Obsypywał swoje ofiary prezentami: drogocenną biżuterią, markowymi kosmetykami czy poszukiwanymi ciuchami… Ale podarunki równie prędko odbierał.

Niemało pań ukrywało, że Kalibabka je wykorzystał i skrzywdził. Dlaczego?

Nie zawiadamiały milicji głównie ze strachu. Obawiały się społecznego ostracyzmu, który spotkałby je, gdyby ujawniły, że padły ofiarą oszusta matrymonialnego. Najlepszym potwierdzeniem tej tezy jest debata pt. „syndrom Kalibabki", do której zaangażowano m.in. renomowanych seksuologów tamtych lat: Zbigniewa Lwa-Starowicza i Michalinę Wisłocką. Ów tandem ekspertów nazwał poszkodowane przez Kalibabkę naiwnymi idiotkami. Chociaż trzeba tu wyjaśnić, że znaczna część pokrzywdzonych nie wyniosła dobrych wzorców z domów rodzinnych, toteż stosunkowo łatwo było nimi manipulować. (Anty)bohater mojej książki potrafił to czynić perfekcyjnie.

Trudnił się też sutenerstwem i cinkciarstwem?

Na początku swojej drogi życiowej usiłował zarabiać nielegalnie, parając się w Szczecinie właśnie tymi dwoma zajęciami. Niestety, tamtejszy „rynek" był już zagospodarowany, toteż nie udało mu się na niego wkroczyć – był za słaby. Dopiero z czasem doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem będzie zastawianie sideł na samotne i spragnione wrażeń kobiety, by następnie ograbiać je z majątku. I w tym się wyspecjalizował.

A jego jubilerski fach jest mitem?

Nie miał żadnego zawodu, ponieważ nie ukończył żadnej szkoły. Sam w rozmowach przyznawał, że dopiero w areszcie śledczym przeczytał pierwszą książkę. Jego bajka na temat jubilerstwa wzięła się stąd, że wyceniając kosztowności swoich potencjalnych ofiar, bardzo często znikał z biżuterią. Podstaw tego zajęcia nauczyła go znajoma. Pracowała u jubilera i wierzyła, że Kalibabka zostanie jej partnerem – ale oczywiście wykorzystał ją tylko do swych celów.

Aż pięć lat wodził za nos PRL-owskie organy ścigania. Z racji ich słabości czy raczej własnej brawury i przebiegłości?

Istnieje wiele hipotez dotyczących przyczyn, czemu aż tak długo pozostawał bezkarny. Często zmieniał tożsamość. Używał 20 nazwisk. Cały czas żył na walizkach. Pomieszkiwał w hotelach i pensjonatach oraz lokalach kolejnych zapatrzonych w niego niewiast. Spekuluje się, że milicja w tamtych czasach bardziej zajmowała się działaniami politycznymi (wszak był czas rozkwitu konspiracyjnej opozycji w Polsce Ludowej, a następnie okres „karnawału Solidarności") niż tropieniem przestępstw kryminalnych. Ponadto Kalibabka wzbudzał jej podziw. Ponoć za drobne kwoty milicjanci byli skorzy wypuścić go na wolność. Dotarłem również do wielu informacji, że w trakcie przetrzymywania Kalibabki na komisariatach dochodziło tam do alkoholowych libacji, podczas których funkcjonariusze zdecydowali się uwolnić zatrzymanego.

Podczas rozprawy sądowej przyznał się do wszystkiego – z jednym wyjątkiem?

Nie został uznany za gwałciciela, gdyż gwałt nie znalazł się pośród zarzutów postawionych mu w trakcie procesu. Oskarżono go o 160 czynów przestępczych, m.in.: włamania, rozboje, oszustwa, wyłudzenia, uwodzenie nieletnich, pobicia… A w udzielonych po opuszczeniu celi wywiadach przekonywał, że każda kobieta pragnie być zgwałcona.

Wyrok odbył w całości?

Otrzymał wyrok 15 lat pozbawienia wolności, a wyszedł z więzienia po niespełna dziewięciu. W wielu wypowiedziach szczycił się, że gdyby proces odbywał się w Stanach Zjednoczonych, dostałby kilkukrotne dożywocie za to, jakich zachowań się dopuścił. Media bardzo szybko zapomniały o tym, za co Kalibabka został osądzony, i zaczęto nadawać mu tytuł znawcy kobiet. Na kartach swojej książki piszę o tym szczegółowo.

W III RP też miewał konflikty z prawem?

Owszem – i nawet trafił za kratki. Na krótko. Tym razem chodziło o notoryczne niepłacenie alimentów matkom jego dzieci.

A ile potomstwa pozostawił?

Trudno jest jednoznacznie oszacować. Ma to związek z tym, że wiele kobiet nie zdecydowało się zeznawać przeciwko Kalibabce. Oficjalnie miał 28 dzieci. Dwoje z nich dało się poznać za sprawą programu telewizyjnego Top Model. Zarówno córka imieniem Gracja, jak i syn Jacek starali się podbić show-biznes, lecz bez powodzenia.

Z czego utrzymywał rodzinę, którą w końcu założył?

Handlował. Miał stragan na bazarze, a latem otwierał w Dziwnowie bar. Prowadził także kursy… podrywania. Ponoć cieszyły się one dużą popularnością, toteż jeden z ich organizatorów usiłował rozszerzyć działalność, zakładając… szkołę uwodzenia. W tym celu wypłacił Kalibabce zaliczkę, którą ten zabrał, po czym zniknął z pola widzenia. Nauczycielem więc nie został. Dodatkowym źródłem zarobku Kalibabki w ostatnich latach jego życia było udzielanie przez niego wywiadów. Proponował je mediom za kilkaset złotych. Cena każdorazowo do uzgodnienia.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wiktor Krajewski – dziennikarz i autor literatury non-fiction. Napisał osiem książek, w tym: „Łączniczki. Wspomnienia z Powstania", „Pocztówki z Powstania", „Chciałbym cię nigdy nie poznać", „Seksoholicy" oraz wywiady rzeki – „Kobiety pistolety. Maria Kowalska", „Wiem, jak wygląda piekło. Alina Dąbrowska", „Taniec na gruzach. Nina Novak". Jego najnowszą publikacją jest tom reporterski pt. „Kalibabka. Historia największego uwodziciela PRL".

eprasa.pl 6f270c1a94

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Koło Patriotów Polskich

Historii nie zmienimy, ale możemy i powinniśmy ją poznawać. Tymczasem bardzo wiele rzeczy idzie niesłusznie w zapomnienie, przez co nasze rozumienie przeszłości jest ograniczone. Na przykład całkowicie pomija się istnienie i działalność Koła Patriotów Polskich Wyznania Mojżeszowego (KPP WM), które powstało przed odzyskaniem niepodległości przez Polskę w 1918 r. Szkoda, że nie zdobyło ono wówczas „rządu dusz" w społeczności mojżeszowej – wzajemne stosunki polsko-żydowskie w okresie II RP (a także później) mogłyby przybrać zupełnie inny kształt.

Ludzie zawiązujący owo Koło mieli na uwadze dobro zarówno własnego środowiska, jak i dobro Polski. Rozumieli intencje tych, którzy chcieli Polskę porzucić, aby „śniąc o Syjonie, kij tułaczy w rękę ująć […] i mesjaszowe urzeczywistnić marzenia". Ale postulatom dwujęzyczności (a nawet trójjęzyczności, bo tak daleko sięgały niektóre postulaty) przeciwstawiali się bardzo stanowczo. Chodziło o zwalczanie takiego dążenia, aby powstająca Polska była państwem nie tylko języka polskiego jako urzędowego, lecz także języka hebrajskiego, a nawet jidysz. Któż w takich warunkach byłby w RP oficerem, urzędnikiem, adwokatem, pracownikiem naukowym itp.? Któż znał wówczas biegle te oba języki, aby osiągnąć odpowiedni status państwowy?

KPP WM uznało, że „traktuje sprawę żydowską w Polsce wyłącznie z punktu widzenia interesów narodowych polskich"; w starciach interesów narodowych pierwszeństwo mają interesy narodowe polskie; gwarę zaś „niemiecką, czyli »żargon« (czyli jidysz) nie uznaje za język narodowy Żydów, co więcej, uważa, że należy ją wykorzenić". Osiągnęło to dopiero państwo Izrael po 1948 r.

KPP popierało emigrację tych Żydów z ziem polskich, „którzy nie są z mowy i uczuć Polakami". Ten postulat był o tyle ważny, że trwał napływ setek tysięcy Żydów z głębi Rosji, którzy nie tylko nie utożsamiali się z Polską jako taką, lecz także nawet językiem polskim do końca jej istnienia posługiwać się nie chcieli.

KPP było otwarte na uczestnictwo w swych szeregach (jako członków i sympatyków) tych chrześcijan, którzy dążą do zespolenia wszystkich Polaków „bez różnicy wyznania" i zgodnej współpracy dla dobra kraju. Swą orientację polityczną koło określało generalnie jako „stronnictwo ojczyzny", pozostawiając swym członkom sprawę indywidualnej przynależności do partii politycznych zgodnie z przekonaniami i „podług swego rozumienia".

Zwolennicy takiej postawy rozpłynęli się w nurcie asymilatorskim, nie spotkałem się z ich relacjami i wspomnieniami. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć Stefana Batorego

Wbrew informacjom pokutującym w wielu publikacjach po śmierci króla nie wykonano sekcji zwłok. Były to bowiem czasy, gdy na autopsję należało uzyskać osobistą zgodę papieża, i jeżeli faktycznie dokonywano podobnych zabiegów, to wyłącznie w celach badawczych na ciałach skazańców. W przypadku króla Stefana tylko zabezpieczono jego ciało przed rozkładem, bo pogrzebem zmarłego władcy zajmował się jego następca. Rzeczpospolita była monarchią elekcyjną i mogły upłynąć długie miesiące, zanim kolejny król zostałby wybrany. Tak zresztą się stało i szczątki Batorego czekały w Grodnie na pogrzeb półtora roku – złożono je w krypcie wawelskiej 23 maja 1588 r.

Medycyna tamtych czasów nie była w stanie uratować władcy

Zachowała się relacja z zabiegów konserwujących zwłoki. Ciało zostało rozcięte w celu usunięcia wnętrzności. Przy okazji opisano stan narządów. Lekarze zwrócili uwagę na zmiany w płucach, co mogło sugerować stan zapalny. Najważniejsza była jednak opinia o nerkach, które okazały się tak duże, że porównano je do nerek wołu. Relacja stała się podstawą do zwołania w 1933 r. konsylium lekarskiego mającego ustalić przyczyny zgonu króla. W jego skład wchodzili wybitni specjaliści, którzy doszli do wniosku, że najprawdopodobniejszą przyczyną śmierci władcy było zwyrodnienie torbielowate nerek. Choroba trwała zapewne całymi latami, aż wreszcie doprowadziła do uremii. Wpływ na jej zaostrzenie miał zapewne wysiłek fizyczny. Polując na mrozie pod Grodnem, władca miał „szereg napadów dusznicy bolesnej". Zachorował też na zapalenie płuc, co dodatkowo pogorszyło stan jego zdrowia.

Jeden z członków konsylium, prof. Franciszek Walter, zwrócił uwagę, że na większości portretów z epoki król Stefan miał półprzymknięte oczy, co jest charakterystycznym objawem choroby nerek. Wszystko zatem wskazuje, że król zmarł w efekcie przewlekłego schorzenia, które niespodziewanie przeszło w ostre stadium, a oskarżenia o truciznę, które się pojawiły, nie były prawdą.

Torbielowatość nerek była zapewne schorzeniem dziedzicznym w rodzinie Batorych. Ojciec króla i jego dwaj bracia cierpieli przecież na artretyzm (dnę moczanową), która może być skutkiem defektów układu wydalniczego. Być może było to przyczyną braku zainteresowania króla seksualną stroną życia, bo schorzenia nerek często odbijają się na poziomie libido. ©℗

eprasa.pl 6f270c1a94

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

WÓDKA I INNE PATOLOGIE CZERWONEGO IMPERIUM

Jak system komunistyczny zniszczył rosyjskie społeczeństwo

Produkt strategiczny z procentami – Stalin budował potęgę ZSRS m.in. dzięki alkoholowi

Konanie Zygmunta Augusta – Czy król Polski rzeczywiście umierał „otoczony tylko złowrogiemi sokołami"?

Bicz Boży z Florencji – Savonarola zawładnął sercami i umysłami mieszkańców miasta i za pomocą bezwzględnych metod zaczął wprowadzać moralną rewolucję

Największe zwycięstwo Ukraińców – W Konotopie stoi pomnik, na którym trzy szable – ukraińska, tatarska i polska – przybijają do ziemi szablę moskiewską

Oberszpicel i sutenerzy – Istnieją przesłanki, że niezwykle brutalny pogrom warszawskich domów publicznych był prowokacją rosyjskich władz

Cesarscy lokaje Hitlera – Następca tronu Wilhelm Hohenzollern i jego młodszy brat August Wilhelm dali się owinąć nazistom wokół palca

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 6f270c1a94

Kto pokona Bidena?

Ron DeSantis ma nadzieję, że w 2024 r. pokona Trumpa i Bidena i wygra walkę o Biały Dom FOT. CRISTOBAL HERRERA-ULASHKEVICH/EPA/PAP

Jacek Przybylski

W fatalnym stylu swoją kampanię przedwyborczą rozpoczął oficjalnie gubernator Florydy Ron DeSantis. Czterdziestoczterolatek przez wielu uważany jest za człowieka, który mógłby odebrać partyjną nominację Donaldowi Trumpowi. Ani jeden, ani drugi nie budzi jednak sympatii Amerykanów pochodzenia ukraińskiego. A ci w 2024 r. mogą być kluczowi

Kandyduję na prezydenta Stanów Zjednoczonych, by przewodzić wielkiemu amerykańskiemu powrotowi, ponieważ wiemy, że nasz kraj zmierza w złym kierunku – ogłosił w środę wieczorem DeSantis na Twitter Spaces. Jego sztab złożył już też stosowne dokumenty w Federalnej Komisji Wyborczej.

Donald Trump ma wciąż ogromną przewagę nad gubernatorem Florydy, który – jak podkreślał były prezydent USA – „rozpaczliwie potrzebuje przeszczepu osobowości". Według opublikowanego w czwartek sondażu przeprowadzonego przez SSRS były prezydent cieszy się poparciem 53 proc. ankietowanych wyborców Partii Republikańskiej, a DeSantis 26 proc. Czy to się zmieni? Czy pozbawiony wrodzonej charyzmy polityk może pokonać samego Trumpa? Zdaniem zwolenników DeSantisa tak, bo to właśnie gubernator Florydy ma mieć największe szanse na zwycięstwo w szrankach ze schorowanym Joe Bidenem i właśnie z tego powodu, według jego obozu, powinien otrzymać z ramienia Partii Republikańskiej (GOP) prezydencką nominację.

KOSZMAR NA TWITTERZE

Argumentów przemawiających za tą tezą jest rzeczywiście kilka. Po pierwsze, Ron DeSantis ma zaledwie 44 lata (Joe Biden świętował już 80. urodziny, a Donald Trump ma na koncie 76 wiosen). Po drugie, gubernator Florydy, który jeszcze przed pięcioma laty był po prostu jednym z wielu republikańskich kongresmenów, zdołał świetnie poprowadzić swoją kampanię i w pięknym stylu wygrać zarówno wybory w roku 2018, jak i ubiegłoroczną walkę o reelekcję na stanowisku gubernatora, miażdżąc kandydata demokratów w zazwyczaj trudnym dla konserwatystów stanie i osiągając wynik niewidziany na tych

eprasa.pl 6f270c1a94

ziemiach od roku 1982. To właśnie on odbudował siłę Partii Republikańskiej na Florydzie, którą z tradycyjnie „swingującego" stanu przemienia z roku na rok w twierdzę konserwatystów.

Po trzecie wreszcie, młody polityk kreuje się na kandydata bez skandali na koncie, doskonale wykształconego (studiował na Yale i Harvardzie), oddanego ojczyźnie (jako prawnik służył w marynarce wojennej) i nowoczesnego. Komentatorzy lubiący uproszczenia nazywają go po prostu „Trumpem z mózgiem".

Aby udowodnić, że nikt po prawej stronie sceny politycznej nie jest tak profesjonalnie zorganizowany jak DeSantis ani nie czuje się tak komfortowo w nowoczesnym mediach, a także by zdobyć przychylność milionów fanów nowego właściciela Twittera, oficjalne ogłoszenie startu kampanii rywala Trumpa odbyło się podczas rozmowy z miliarderem Elonem Muskiem na Twitter Spaces. Taki ruch był nowatorski, odważny i ryzykowny, ale miał być mocnym ciosem wymierzonym w często chaotycznego Trumpa. Tak fatalnego przebiegu tego wydarzenia ani DeSantis, ani członkowie jego sztabu nie wyobrażali sobie zapewne nawet w najgorszych snach.

Gdy 600 tys. użytkowników Twittera chciało posłuchać długo wyczekiwanego ogłoszenia o starcie konkurenta Trumpa, zaczęły się poważne kłopoty techniczne: regularnie szwankował dźwięk, aż w końcu streaming padł, a link przestał działać. Niemal 25 minut później wszystko od strony technicznej działało już poprawnie, ale zainteresowanych było już wówczas tylko nieco ponad 300 tys. internautów. PR-owscy eksperci zatrudnieni przez rywali błyskawicznie wykorzystali zaś wpadkę, aby przekonywać, że nie było to zwykłe techniczne potknięcie, ale symboliczny znak tego, iż DeSantis tak naprawdę wcale nie jest takim profesjonalistą, na jakiego się kreuje, a już na pewno nie nadaje się na nowego przywódcę Ameryki. „Ten link działa" – napisali na Twitterze marketingowcy prezydenta Joe Bidena, kierując internautów na stronę, na której można składać darowizny na kampanię mającą zapewnić reelekcję obecnemu gospodarzowi Białego Domu. Suchej nitki nie zostawił na rywalu również Donald Trump. Start DeSantisa był fatalny również dlatego, że nawet gdy już wszystko teoretycznie działało poprawnie, rozmowa była tak fatalnie prowadzona, że nawet najwięksi fani konserwatystów musieli się zmuszać, by słuchać czegoś, co z prezentacji młodego konserwatysty przemieniło się w nachalną i drętwą promocję Tesli, dopieszczanie rozdętego do granic ego Elona Muska i reklamę Twittera. Kandydat na kandydata na prezydenta zamiast wyluzowany i tryskający humorem był spięty i nudny. „To była katastrofa" – podsumował to wydarzenie Philip Klein na łamach „National Review". I trudno się z tą oceną nie zgodzić. „Nieudane ogłoszenie kampanii Rona DeSantisa to kolejny przykład na to, że nie jest on po prostu jeszcze gotowy na to stanowisko. Stawka jest zbyt wysoka, a walka o ocalenie Ameryki jest zbyt ważna, by móc postawić na debiutanta, który najwyraźniej nie jest gotowy na walkę w pierwszej lidze. Prezydent Trump jest sprawdzonym przywódcą, który będzie gotowy od pierwszego dnia, aby odmienić sytuację w kraju" – oznajmiła rzeczniczka kampanii Trumpa.

Mimo poważnej wizerunkowej wpadki – szansę na zrobienie dobrego pierwszego wrażenia na wyborcach z innych stanów ma się w końcu tylko jedną – wielu komentatorów amerykańskiej sceny politycznej wciąż jednak w DeSantisie widzi najważniejszego rywala zarówno byłego prezydenta USA, jak i obecnego gospodarza Białego Domu. Nie poddaje się również ekipa potencjalnego następcy Bidena. „Cześć, tu gubernator Ron DeSantis. Kandyduję na prezydenta Stanów Zjednoczonych, aby pokierować Amerykę z powrotem ku wielkości. Ogłosiliśmy to dziś wieczorem na Twitterze, to rozbiło Internet" – próbował ratować swój wielki dzień gubernator Florydy.

„RON DECEASEFIRE"

Biorąc pod uwagę kiepskie wyniki w sondażach pozostałych kandydatów, takich jak Niki Haley czy Tim Scott, którzy zdecydowali się już ogłosić swój udział w wyścigu po partyjną nominację, rzeczywiście nie wolno go skreślać.

W hipotetycznych starciach z walczącym o reelekcję prezydentem Bidenem zarówno DeSantis, jak i Trump w badaniach opinii publicznej osiągają bardzo podobne wyniki. Młody polityk w przeciwieństwie do byłego prezydenta ma jednak więcej sympatyków niż przeciwników. Z pewnością nie można go więc skreślać po pierwszej PR-wskiej wpadce, zwłaszcza że fatalny wizerunek Trumpa był jedną z przyczyn kiepskich wyników republikanów podczas listopadowych wyborów do Kongresu.

Konserwatywny gubernator Florydy jest lubiany przez republikańskich wyborców z kilku powodów. Dał się już poznać Amerykanom jako stanowczy przeciwnik lockdownów oraz nakazu noszenia maseczek. Pozwoliło mu to zdobyć serca wielu wyborców, bo stanowa gospodarka nie traciła na zakazach, a zachorowalność na COVID-19 na Florydzie i tak była podobna jak w innych stanach Ameryki.

Zyskał nie tylko na oskarżeniach Bidena o „medyczny autorytaryzm". Dał się również poznać jako prawdziwy konserwatysta – wciąż żyje z pierwszą żoną i na pewno nie ma w szafie tyle trupów co Donald Trump. Do tego z sukcesem prowadzi kampanię przeciwko przedstawicielom radykalnej lewicy, forsującym absurdalne i nierzadko agresywne pomysły rodem z ruchu „woke". Ograniczył możliwość szkolnych pogadanek o „gender i seksualności" w szkołach, a także obciął stanowe fundusze na tzw. programy różnorodności na uniwersytetach. Podkreśla również wagę tradycyjnej rodziny i konsekwentnie walczy z aborcją. Tym wszystkim zyskuje sobie przychylność wielu republikańskich wyborców, a zwłaszcza tych, którzy sami siebie określają mianem „bardzo konserwatywnych".

Podczas inauguracji kampanii na Twitterze kolejny raz zaatakował też mainstreamowe media, finansowe elity o lewicowych poglądach i zwrócił uwagę na zagrożenie płynące ze strony nielegalnych imigrantów i rządów Joe Bidena. Poza okrągłymi formułkami nie ogłosił co prawda konkretnego planu działań, który miałby odmienić życie elektoratu, ale tym razem nie wzbudził też żadnych kontrowersji.

Wcześniej wiele skrajnych emocji po prawej stronie sceny politycznej DeSantis wywołał, gdy w marcu w programie niedawnej gwiazdy telewizji Fox News Tuckera Carlsona mówił, że dalsze angażowanie się w „spór terytorialny" Rosji z Ukrainą nie leży w „żywotnym interesie USA". Ubolewał wówczas, że administracja Bidena

eprasa.pl 6f270c1a94

wystawiła w tej sprawie „czek in blanco", nie definiując celów, przez co nie zwraca uwagi na „najpilniejsze wyzwania dla naszego kraju".

Gubernator Florydy wbrew ostrzeżeniom Kijowa w ostatnich tygodniach tak stanowczo apelował, że „w interesie wszystkim jest próba stworzenia sytuacji, w której może dojść do zawieszenia broni", że magazyn „Politico" w tytule zmienił mu nazwisko z DeSantis na DeCeasefire (co i tak nie brzmi tak źle, zważywszy na to, że Trump junior podczas twitterowej inauguracji kandydata napisał o nim krótko „DeSaster" – „disaster" oznacza katastrofę).

PLAN B PUTINA

Kontrowersyjne słowa DeSantisa w sprawie wojny na Ukrainie są o wiele bliższe opinii impulsywnego Trumpa niż stanowisku szeroko rozumianej Partii Republikańskiej (GOP). Były prezydent po rosyjskiej agresji na Ukrainę buńczucznie stwierdził, że zakończyłby wojnę rosyjsko-ukraińską w ciągu 24 godzin (nie powiedział jednak jak) i wielokrotnie narzekał na koszty pomocy wojskowej dla Kijowa („Brakuje amunicji dla nas samych. Za dużo dajemy").

Wypowiedzi gubernatora rozpętały więc gorącą debatę wśród republikanów. Mainstreamowi działacze partii, jak Nikki Haley, wprost potępili wypowiedź o „sporze granicznym". Zdecydowana większość kongresmenów i członków elit Partii Republikańskiej, jak choćby były gubernator Chris Christie czy były wiceprezydent Mike Pence, popiera finansową pomoc, której USA udzielają Ukrainie.

W wywiadzie dla Fox News już po oficjalnym ogłoszeniu startu DeSantis skrytykował „upolitycznienie" amerykańskiej armii. Zastrzegł też, że nie chciałby, aby ukraińskie siły zbrojne zostały uwikłane w konflikt Rosji z Ukrainą. – Chciałbym już zobaczyć rozstrzygnięcie. Nie chciałbym wojny na szerszą skalę – podkreślił kandydat na prezydenta.

Przyjęcie trumpowskiej linii dotyczącej polityki wobec brutalnej agresji Rosji na Ukrainę może być więc dla młodego polityka jeszcze bardziej ryzykowne niż próba ogłoszenia startu na Twitterze. DeSantis będzie miał bowiem problem z przekonaniem do siebie tej części GOP, która obecnie popiera Trumpa, a opowiadając się po stronie izolacjonizmu w stylu byłego prezydenta, traci też szanse na ewentualne głosy ukraińskiej diaspory w Stanach Zjednoczonych.

Z drugiej strony sondaże pokazują, że choć zdecydowana większość Amerykanów nadal negatywnie postrzega Rosję i uważa ją za wroga USA, to wyraźnie rośnie grupa wyborców twierdzących, że Stany Zjednoczone powinny poświęcać mniej uwagi problemom za granicą i skupiać się na problemach w kraju. Według opublikowanego w maju badania Pew Research Center uważa tak 55 proc. ankietowanych w porównaniu z 43 proc. respondentów, których zdaniem dla przyszłości Ameryki najlepiej byłoby być aktywnym w sprawach światowych. To istotna zmiana. W 2021 r., zanim Rosja dokonała inwazji na Ukrainę, 50 proc. Amerykanów chciało się skupić na problemach wewnętrznych, a 49 proc. popierało aktywność na światowej scenie. Wśród zwolenników Partii Republikańskiej te proporcje zmieniły się odpowiednio z 67:32 proc. dwa lata temu do 71:29 proc. w ostatnim badaniu. Wśród wyborców po prawej stronie amerykańskiej sceny politycznej zmniejszył się również odsetek badanych, którzy mają pozytywne zdanie o NATO (z 55 do 49 proc.). Zyskać na tym może np. Donald Trump, który już w 2018 r. groził europejskim sojusznikom wyjściem USA z NATO lub zlekceważeniem art. 5, jeśli inne kraje nie zaczną więcej wydawać na obronę.

Trump czy DeSantis? Ani jeden, ani drugi – mówią amerykańscy wyborcy o ukraińskich korzeniach

„Trump czy DeSantis: tak czy owak to katastrofa dla Ukrainy" – zauważył David DeBatto w tytule swojej analizy, opublikowanej w maju na łamach „Kyiv Post". Jest bowiem bardzo prawdopodobne, że jeśli były prezydent lub obecny gubernator Florydy zwyciężą w listopadzie 2024 r., to amerykańskie wsparcie dla obronnych wysiłków Kijowa może się całkowicie zakończyć lub zostać znacząco ograniczone. „Jeśli Trump odetnie dostawy broni, to wojna zakończy się na warunkach rosyjskich, co byłoby realizacją najgorszego koszmaru dla Zachodu" – zauważył były szef brytyjskich tajnych służb Sir Alex Younger, cytowany przez BBC. „Putin dokonując inwazji na Ukrainę, nie miał planu B, ale teraz jest to jego plan B… aby przeczekać" – dodał Sir Alex Younger.

„Trump czy DeSantis? Ani jeden, ani drugi – mówią ukraińsko-amerykańscy wyborcy" – informował przed tygodniem Reuters w reportażu, w którym dawni wyborcy Donalda Trumpa z ukraińskimi korzeniami jasno deklarują, że czują się zdradzeni przez Partię Republikańską i jeśli do walki z Bidenem staną Trump czy DeSantis, to tym razem wcale nie pójdą do urn lub pójdą, ale pierwszy raz zagłosują na kandydata Partii Demokratycznej. I chociaż liczba amerykańskich wyborców o ukraińskich korzeniach jest stosunkowo niewielka i według cenzusu z 2021 r. wynosi zaledwie 1,017 mln osób, to – jak zauważa Agencja Reutera – mieszkają oni w wielu „niezwykle konkurencyjnych okręgach, w których ich głosy mogą potencjalnie mieć decydujące znaczenie". Na przykład w Pensylwanii, gdzie mieszka ok. 92 tys. Amerykanów ukraińskiego pochodzenia, Trump w 2016 r. wygrał przewagą 44 tys. głosów, a Biden w 2020 r. otrzymał o 81 tys. głosów więcej niż jego konkurent. Podobnie jest np. w Michigan, gdzie mieszkają 33 tys. Amerykanów z ukraińskimi korzeniami, a przewaga Trumpa w 2016 r. wynosiła tu jedynie 11 tys. głosów. Podobnie, jak zauważa Reuters, jest w kilkunastu innych okręgach, w których ukraińscy Amerykanie nie tylko stanowić mogą języczek u wagi, lecz także w których będą oni nadzwyczaj aktywni we wspieraniu tych kandydatów, którzy opowiadają się za wsparciem Kijowa w walce z Moskwą.

W ostatnich miesiącach członkowie Kongresu z obu partii solidarnie popierali pomoc Waszyngtonu dla walczących Ukraińców. Z oficjalnym optymizmem do wyborów za oceanem podchodzi więc również prezydent Ukrainy. – Wybory w USA są za rok. Kto wie, jaka będzie wtedy sytuacja. Wierzę, że do tego czasu wygramy – podkreślał Wołodymyr Zełenski w rozmowie z BBC.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f270c1a94

FOT. ADOBE STOCK

CORAZ BLIŻEJ DO HOMOŚLUBÓW NA LITWIE

Litewski Sejm w ubiegłym tygodniu zatwierdził projekt ustawy legalizujący związki partnerskie osób tej samej płci. Za projektem głosowało 60 parlamentarzystów, przeciw – 52. Za przyjęciem takiego prawa lobbował ambasador USA na Litwie. Robert S. Gilchrist dawał do zrozumienia, że brak takich regulacji ma wpływ na podejście amerykańskich firm cyfrowych do Litwy.

WYGRAŁA, A INNI SIĘ NIE CIESZYLI

Lesley Mumford – mężczyzna, który identyfikuje się jako kobieta – wystartował w wyścigu rowerowym kobiet z Kolorado do Utah. W kategorii 40–49 lat zajął pierwsze miejsce. Gdy odbierał nagrodę, stał na podium sam. „Nie mam pojęcia, dlaczego tak wiele osób uciekło przed wręczeniem nagród" – napisał w sieci. Internauci wyjaśnili mu, że ściganie się mężczyzny z kobietami jest nieuczciwe.

RACHUNEK ZA SOWIECKIE „WYZWOLENIE"

Rosjanie, którzy do spółki z Niemcami napadli na Polskę w 1939 r., uważają teraz, że należy im się wdzięczność za późniejsze „wyzwolenie" Polaków od hitlerowskiej okupacji. Aleksiej Puszkow, były przewodniczący komisji spraw zagranicznych w rosyjskim parlamencie, stwierdził na Twitterze, że Rosja powinna Polsce za to wystawić rachunek.

SPRZĄTACZKA ASYSTOWAŁA PRZY OPERACJI

W Uniwersyteckim Centrum Medycznym w Moguncji w Niemczech lekarz przeprowadzał amputację palca stopy. Ponieważ znieczulenie nie zadziałało idealnie, w trakcie zabiegu pacjent zaczął ruszać nogą, lekarz, choć miał do dyspozycji odpowiedni personel, poprosił o pomoc sprzątaczkę. Kobieta trzymała nogę pacjenta, podawała też lekarzowi waciki. Chiururg został zwolniony z pracy.

URATOWAŁ KACZKI, ALE SAM ZGINĄŁ

W kalifornijskim mieście Rocklin kierowca zatrzymał się na widok kaczek przekraczających jezdnię. Casey Rivara opuścił swój pojazd i pomógł ptakom przedostać się na drugą stronę. Niestety, nie zadbał o własne bezpieczeństwo – został uderzony przez pojazd prowadzony przez 17-latka. Policja stwierdziła, że nastolatkowi nie postawi żadnych zarzutów. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ujemne ceny prądu

Stało się. Cena energii elektrycznej za cały dzień spadła w tym kraju poniżej zera. Symbolicznie, ale jednak. W ubiegłą środę produkcja była bowiem wysoka, a konsumpcja niska. Niestety, tym krajem nie jest Polska, ale Finlandia, gdzie elektrownie wodne pracują pełną parą, a do systemu prąd dostarczają również elektrownie słoneczne i wiatrowe oraz z reaktorów otwartej niedawno elektrowni jądrowej Olkiluoto 3.

Zamiast zachęcać odbiorców do oszczędzania energii – jak czynił jeszcze niedawno rząd w Helsinkach w obawie, że po rosyjskiej agresji na Ukrainę i rozstaniu się z prądem wytwarzanym w Rosji energii elektrycznej po prostu zabraknie – teraz przekonuje się Finów, iż korzystanie z prądu jest dobre i że mogą bez wyrzutów sumienia włączać, co tam sobie wymarzą. Nie znaczy to, że Finom za korzystanie z urządzeń elektronicznych ktoś dopłaca, ale cieszą się z wyjątkowo korzystnych cen przy uwzględnieniu siły nabywczej. Finlandia jest zaś na dobrej drodze do energetycznej samowystarczalności.

Takie cuda tylko w Finlandii? Otóż nie. W kwietniu 2023 r. na giełdzie Epex Spot w Amsterdamie również zdarzyła się sytuacja, gdy cena za MWh była ujemna (dochodziła nawet do –739,96 euro za MWh). Był to kolejny przykład zaprzeczający czarnym prognozom kremlowskich propagandystów dla Europy. Stary Kontynent poradził sobie bez Rosji nie tylko z prądem, lecz także z gazem (ze względu na nadpodaż surowca jego cena na rynkach w czwartek spadła do poziomu najniższego niemal od dwóch lat). Skoro jest już bezpiecznie, a na świecie tanio, to pytanie do polskiego rządu brzmi: Kiedy i u nas prąd i gaz wreszcie stanieją?

eprasa.pl 6f270c1a94

Rosjanie napadli na Rosję

Maciej Pieczyński

Rajd biełgorodzki był propagandowym zwycięstwem Ukrainy. Naiwnością jest jednak wierzyć, że rosyjscy ochotnicy na służbie Kijowa wywołają rewolucję w Rosji

Niewiele wiadomo na pewno, jeśli chodzi o ubiegłotygodniowe walki w obwodzie biełgorodzkim. Trudno się dziwić, skoro akcja miała charakter bardziej propagandowy niż stricte militarny. Kijów ogłosił, że do Rosji wkroczyli Rosjanie, aby wyzwolić ją od Putina. „Ukraina z zainteresowaniem obserwuje wydarzenia w obwodzie biełgorodzkim i bada sytuację, jednak nie ma z nią bezpośredniego związku" – oświadczył doradca szefa biura prezydenta Zełenskiego Mychajło Podolak. Rzecznik ukraińskiego wywiadu wojskowego HUR Andrij Jusow oznajmił, że oddziały rosyjskich ochotników rozpoczęły operację, której celem jest „wyzwolenie Biełgorodczyzny od tzw. reżimu Putina" oraz wyparcie przeciwnika tak, aby stworzyć „kordon bezpieczeństwa dla obrony ukraińskiej ludności cywilnej".

Do ataku przyznały się dwie formacje zbrojne walczące po stronie Kijowa: Legion „Wolność Rosji" oraz Rosyjski Korpus Ochotniczy. Obie ogłosiły, że ich celem jest wyzwolenie ojczyzny od putinowskiej dyktatury. Wezwały rodaków, aby chwycili za broń i dołączyli do walki z reżimem. Było oczywiste, że kilkusetosobowa grupa proukraińskich najemników nie jest w stanie obalić Putina ani też „wyzwolić" (czy też może włączyć do Ukrainy) obwodu biełgorodzkiego. Naiwnością byłoby wierzyć, że atak Rosjan na Rosję to pierwszy akt rewolucji czy też rychłego rozpadu agresywnego imperium.

BLAMAŻ „DRUGIEJ ARMII ŚWIATA"

Narracja o Rosjanach wyzwalających Rosję jest dla Moskwy wizerunkowo bardzo niewygodna. Dlatego Kreml od razu oświadczył, że ataku dokonali Ukraińcy. Obie strony zgadzały się natomiast co do tego, że doszło do regularnych starć na terenie Rosji. Gubernator obwodu

eprasa.pl 6f270c1a94

Do ataku w obwodzie biełgorodzkim przyznały się dwie formacje zbrojne walczące po stronie Kijowa: Legion „Wolność Rosji" oraz Rosyjski Korpus Ochotniczy

FOT. V. MADIYEVSKYY/UKRINFORM/GETTY IMAGES

biełgorodzkiego Wiaczesław Gładkow informował, że „na teren okręgu gajworońskiego wkroczyła grupa dywersyjno-rozpoznawcza Sił Zbrojnych Ukrainy". Dmitrij Pieskow mówił o „ukraińskich bojownikach", przyznając, że atak wywołał „głębokie zaniepokojenie" na Kremlu.

Było oczywiste, że za atakiem stoi Kijów. Uderzenie w przygraniczne miejscowości, i to jeszcze pod flagą rosyjskich ochotników, było dla Kremla zbyt dotkliwe wizerunkowo, aby można było podejrzewać, że to prowokacja. O wiele mniejszą kompromitacją jest wpuszczenie do kraju dywersantów (co do zasady działających w ukryciu) niż regularnych oddziałów wroga, których nie sposób zauważyć, stąd też kremlowska narracja o „ukraińskiej dywersji". Ponadto atak Rosjan na Rosję o wiele trudniej wytłumaczyć niż atak Ukraińców. Z tego samego powodu Kijów akcentuje rosyjskość atakujących, dążąc tym samym do wewnętrznych napięć w Rosji, czyli do pokonania wroga od środka. Posłużenie się najemnikami pozwala Ukraińcom także formalnie obejść amerykański zakaz atakowania terytorium Federacji Rosyjskiej.

Jednocześnie i tak wszyscy wiedzą, kto naprawdę stoi za dywersją. A skoro Ukraina potrafi wkroczyć na teren Rosji, to znaczy, że jest potencjalnie zdolna nawet spróbować odzyskać Krym. A skoro tak – to należy się jej wsparcie Zachodu. Tak być może rozumują stratedzy w Kijowie. Ponadto, jeśli regularne siły (czy to ukraińskie, czy to rosyjskie po stronie Ukrainy) weszły na kilka kilometrów w głąb Rosji bez większego trudu, jest to kolejny cios w wizerunek „drugiej armii świata". I zarazem dowód, że Rosjanie we własnym kraju nie mogą czuć się bezpiecznie. Wreszcie, uderzając znienacka na niebronione wsie na terenie Rosji, Kijów umiejętnie odwrócił uwagę od swojej porażki w Bachmucie. Nikt już nie pamięta, że Rosjanie wreszcie zdobyli oblegane od 10 miesięcy miasto w Donbasie, bo oczy całego świata zwrócone są na obwód biełgorodzki.

Szczególnie sfrustrowany jest Jewgienij Prigożyn, który zdobycie Bachmutu traktował (zasadnie) jako swój osobisty sukces. Na pocieszenie zyskał jednak kolejny pretekst, by otwarcie krytykować nieudolność władz rosyjskich. Liczące łącznie zapewne kilkuset żołnierzy, uzbrojone w ciężki sprzęt oddziały zniszczyły posterunek graniczny, zajęły wieś Kozinkę i ruszyły kilka kilometrów w głąb Rosji, w kierunku miasteczka Grajworon – te informacje potwierdzone zostały przez obie strony konfliktu. Według ukraińskiego wywiadu Rosjanie ewakuowali nie tylko okoliczną ludność cywilną, lecz także znajdujący się pod Grajworonem magazyn amunicji jądrowej. Atak ma też znaczenie czysto militarne. Po pierwsze, zagraża łańcuchom dostaw w pobliżu granicy z Ukrainą. Po drugie, zmusza Rosjan do przerzucenia części sił do obwodu biełgorodzkiego, co oznacza osłabienie frontu ukraińskiego.

OBROŃCY KONTRATAKUJĄ

Rajd antyputinowskich ochotników trwał niespełna dwie doby. Według wersji Moskwy „ukraińskie formacje nacjonalistyczne" zostały rozbite. Według wersji samych dywersantów może i nie wyzwolili Biełgorodczyzny, ale sukcesem był już sam fakt przekroczenia granicy, a poza tym prawie nie ponieśli strat. Kijów osiągnął jeszcze jeden, symboliczny, ale istotny cel. Zaatakował Rosję jej własną hybrydową bronią. Wysłał na Biełgorod rzekomych „wyzwolicieli", udając, że nie ma z nimi wiele wspólnego. Ochotnicy spełnili zatem rolę analogiczną do „zielonych ludzików" na Krymie czy separatystów w Donbasie. Nieprzypadkowo w proukraińskim Internecie pojawiły się żarty z „Biełgorodzkiej Republiki Ludowej". Rosjanie sami tę narrację uwiarygodnili, ogłaszając na terenie zaatakowanego obwodu „operację antyterrorystyczną". Czyli robiąc dokładnie to samo, co Ukraińcy, którzy w 2014 r. właśnie pod oficjalnym hasłem „operacji antyterrorystycznej" rozpoczęli rozprawę z prorosyjskim separatyzmem na południowym wschodzie kraju.

To jednak wyłącznie umiejętny trolling. W obwodzie biełgorodzkim nie ma żadnych nastrojów separatystycznych, sytuacji nie da się w żaden sposób porównać do tego, co działo się dziewięć lat temu na Krymie i w Donbasie. Mychajło Podolak, oświadczając na Twitterze, że Kijów nie ma nic wspólnego z atakiem na Biełgorod, ironizował: „Jak wiadomo, czołgi można kupić w każdym wojentorgu [wojentorg – sklep, zaopatrujący armię rosyjską – przyp. M.P.], a podziemne oddziały partyzanckie składają się mimo wszystko z obywateli Federacji Rosyjskiej". To nawiązanie do słynnej kpiny Putina, który w 2014 r. zapewniał, że na Krymie nie ma rosyjskich żołnierzy, są natomiast przebierańcy, bo przecież mundur można kupić w każdym wojentorgu.

Rajd rosyjskich ochotników nie jest pierwszym uderzeniem Kijowa na przygraniczne tereny rosyjskie. Są one regularnie ostrzeliwane przez Ukraińców. Według danych z końca kwietnia od początku wojny zginęło 30 mieszkańców obwodu biełgorodzkiego, a 123 zostało rannych. Również nie po raz pierwszy rosyjscy ochotnicy na służbie ukraińskiej wdarli się na teren Rosji. Wcześniej co najmniej dwukrotnie (w marcu i kwietniu) korpus ochotniczy informował o wkroczeniu do przygranicznych miejscowości w obwodzie briańskim. Obie strony konfliktu te doniesienia potwierdzały, przy czym Kreml – podobnie jak teraz – zapewniał, że nie są to żadni

eprasa.pl 6f270c1a94

wyzwoliciele, tylko ukraińskie grupy dywersyjno-rozpoznawcze, które zostały niemal natychmiast spacyfikowane. Były to jednak działania na o wiele mniejszą skalę niż obecnie.

Tak czy inaczej rajd biełgorodzki nie jest wydarzeniem bez precedensu. Kreml zapewne już się „przyzwyczaił" do tego, że obrońcy nie tylko się bronią, lecz także atakują, i to nie tylko w swoich granicach. Ukraińcy już dawno udowodnili, że rosyjskie zapowiedzi użycia broni jądrowej w odwecie za atak na terytorium Federacji Rosyjskiej są groźbami bez pokrycia. Oczywiście zupełnie inaczej sytuacja wyglądałaby, gdyby Kijów zaczął wyzwalać na poważnie Krym. Na to Putin nie mógłby sobie pozwolić. Szczególnie że ukraiński półwysep jest dla Kremla o wiele ważniejszy niż prowincjonalny przygraniczny obwód, którego i tak na poważnie Kijów nie zamierza zająć.

Rosyjski Korpus Ochotniczy oraz Legion „Wolność Rosji" łączy tylko jedno – są to wchodzące w skład armii ukraińskiej oddziały złożone z Rosjan. Nie tylko nie są ze sobą powiązane, lecz także konkurują ze sobą. Po wkroczeniu do obwodu biełgorodzkiego oba oddziały wydały oświadczenia. RKO jedynie lakonicznie zapowiedział „wyzwolenie Rosji". Legion z kolei, ustami jednego z żołnierzy, wygłosił obszerny manifest do rodaków, w którym zapewnił: „Jesteśmy takimi samymi Rosjanami jak wy. […] Chcemy, żeby nasze dzieci dorastały w pokoju i były wolnymi ludźmi. Żeby mogły podróżować, uczyć się i żeby po prostu były szczęśliwe w wolnym kraju. Ale na to nie ma miejsca we współczesnej putinowskiej Rosji, przegniłej od korupcji, kłamstwa, cenzury, ograniczeń wolności i represji. W tej Rosji, gdzie życie człowieka znaczy mniej niż portfel urzędnika […], nadszedł czas, aby położyć kres dyktaturze Kremla".

OBALIĆ REŻIM PUTINA

Umownie rzecz biorąc, RKO to prawica, a Legion – lewica. Dowódca RKO Denis Nikitin (prawdziwe nazwisko Kapustin) był pseudokibicem klubów piłkarskich w Niemczech i Rosji, weteranem „ustawek", założycielem firmy White Rex produkującej ubrania z symboliką neonazistowską, a także organizatorem amatorskich turniejów MMA w całej Europie, skupiających środowiska neofaszystowskie. Związał się z pułkiem „Azow" i osiadł na Ukrainie. Podobną drogą po 2014 r. podążyło zresztą wielu rosyjskich pseudokibiców. Zafascynowani skrajnym nacjonalizmem przechodzili na stronę Kijowa i walczyli w szeregach „Azowa". Latem 2022 r. na bazie tego typu środowisk powstał RKO z Nikitinem na czele.

Oficjalnie korpus stawia sobie za cel obronę granic Ukrainy według stanu z 1991 r. oraz obalenie reżimu Putina, a także „zagwarantowanie wolności narodowej dla narodu rosyjskiego" oraz „umożliwienie realizacji prawa do samostanowienia narodom żyjącym w granicach Rosji". Nikitin opowiada się zatem de facto za rozpadem Federacji Rosyjskiej na państwa narodowe. „Żołnierze RKO wyznają poglądy prawicowo-konserwatywne" – czytamy w treści manifestu korpusu, ogłoszonego jesienią 2022 r.

Zupełnie inaczej sytuacja wyglądałaby, gdyby Kijów zaczął wyzwalać na poważnie Krym. Na to Putin nie mógłby sobie pozwolić

Nikitin i jego ludzie mają własną, historiozoficzną wizję konfliktu między Rosją a Ukrainą. Obecną wojnę traktują jako kontynuację średniowiecznych zmagań despotycznej, carskiej Moskwy z demokratycznym, kupieckim Nowogrodem, w którym władców wybierał wiec. Rzecz jasna, Moskwa to Rosja Putina, a współczesnym Nowogrodem jest Ukraina. Na to nakłada się jeszcze jedna ideologiczna opozycja – spór między imperializmem a nacjonalizmem. Rosja Putina kontynuuje imperialne tradycje Moskwy, Ukraina – nacjonalistyczne, izolacjonistyczne tradycje Nowogrodu. Korpus postuluje zastąpienie zaborczego „rosyjskiego świata" równorzędnym współistnieniem trzech państw narodowych – Ukrainy, Rosji i Białorusi.

Oficjalny symbol RKO (biały miecz wpisany w czarną tarczę) przypomina symbol nacjonalistycznej organizacji Biała Idea, zrzeszającej rosyjskich białych (antybolszewickich) emigrantów na zachodzie Europy w latach 30. Biała Idea weszła w skład Rosyjskiej Partii Faszystowskiej, działającej w Chinach, a jej twórca, Wiktor Łarionow, wyjechał do III Rzeszy, gdzie stanął na czele Narodowej Organizacji Młodzieży Rosyjskiej, zrzeszającej młodych rosyjskich faszystów, przebywających na emigracji w Niemczech. Część ochotników RKO nosi szewron Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej, czyli wchodzącej w skład Wehrmachtu, dowodzonej przez słynnego gen. Własowa formacji złożonej z sowieckich jeńców, którzy przeszli na stronę III Rzeszy. Oprócz symboli związanych z rosyjskim faszyzmem lub rosyjskimi kolaborantami Hitlera RKO używają również ukraińskiej flagi.

TYLKO MRZONKI?

W RKO służą rosyjscy emigranci. Z kolei szeregi Legionu „Wolność Rosji" zasilają jeńcy wojenni oraz żołnierze rosyjscy, którzy po 24 lutego przeszli na stronę Kijowa. Polityczny patronat nad legionem sprawuje Ilja Ponomariow, lewicowy, radykalny działacz antyputinowskiej opozycji, od kilku lat żyjący na emigracji na Ukrainie. Ponomariow od dawna obiecuje, że doprowadzi do rewolucji w Rosji. „Przyznał się" do zamachów na propagandystów rosyjskich Darię Duginę czy Władlena Tatarskiego. A dokładniej – oznajmił, że zabiła ich Narodowa Armia Republikańska, kierowana przez niego antyputinowska partyzantka. Jej istnienie jest wątpliwe – to najprawdopodobniej PR-owski wymysł samego Ponomariowa. Polityk zorganizował też dwa Zjazdy Deputowanych Ludowych – spotkania byłych rosyjskich deputowanych różnych szczebli, którzy debatowali nad tym, jak przywrócić w Rosji demokrację. Legion posługuje się zmodyfikowaną flagą Rosji, na której „krwawy" kolor czerwony został zastąpiony przez biały. Oficjalnie formacja opowiada się przeciwko separatyzmowi, popierając niepodzielną Rosję w granicach z 1991 r. Czyli bez Krymu i Donbasu.

Podczas rajdu na Biełgorod Ponomariow postulował utworzenie na jakiejś części zajętego terytorium Wolnej Rosji pod flagą biało-niebiesko-białą. Barwy te stały się generalnie symbolem ruchu antywojennego w Rosji po 24 lutego. Ruch ten jednak jest na tyle efemeryczny, że ambicje dowódców oraz politycznych patronów zarówno legionu, jak i korpusu najpewniej pozostaną mrzonkami.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f270c1a94

Poranny program informacyjno-publicystyczny na żywo.
Najważniejsze wydarzenia dnia, analizy gospodarcze,
prognoza pogody, przegląd prasy.
Zacznij dzień z Telewizją Republika.
REPUBLIKA
Polska
na dzień dobry
od poniedziałku
do soboty
7:35
Zapraszają:
Ilona Januszewska, Aleksander Wierzejski i Emilia Wierzbicki
RepublikaTV
@RepublikaTV
Telewizja Republika
@RepublikaTV
Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.
eprasa.pl 6f270c1a94

Niemieckie genderowanie

Jan Bogatko z Berlina

W walce o władzę (zwaną walką o równouprawnienie) siły postępu zabrały się także do języka, by lepiej oddawał ducha ich czasu. Widać to szczególnie w Niemczech

RYS. 12 KREDEK

Jak zwykle elita narzuca wzorce postępowania. A ponieważ odgórna rewolucja obyczajowa, której celem jest zamiana obywatelskiego społeczeństwa w bezwolną i bezkrytyczną masę, za elitę uznała LGBT itd., to stało się jasne, że ona ustala wzorce postępowania i pilnuje ich realizacji w życiu publicznym.

Jeżeli czytam np. w niemieckiej gazecie w związku z jakimś wydarzeniem sportowym, że „trener*ki osiągną*ły sukces w skali międzynarodowej", to wiem, że uległa ona genderowskiej pandemii, na którą jest wprawdzie szczepionka – zdrowy rozsądek – ale jej produkcja jest marginalna, a stosowanie nieobowiązkowe ani też zalecane.

Język niemieckich mediów przypomina żargon sowieckiej prasy w Polsce, kiedy to co zdanie zamieszczano zwrot „towarzysze i towarzyszki", zaczynając zwyczajowo od rodzaju męskiego, lecz nie stosując obwiązującej dzisiaj w Niemczech pisowni „towarzysz*ki", aczkolwiek i ona rozpoczyna się od… rodzaju męskiego. A co z pozostałymi, podobno istniejącymi, 54 płciami? Ten poważny problem czeka dopiero na rozwiązanie.

MEDIA NA FRONCIE

Do niedawna miarodajny w kwestiach językowych był w Niemczech popularny słownik DUDEN, mający za sobą niemal półtora wieku tradycji, oferujący także w Internecie poradnictwo językowe. Ale to było wczoraj. Rewolucja seksualna rządzi się swoim prawami. I ma własnych idoli, własnych mistrzów, własne ikony. Formalnie to nie DUDEN, lecz Rada Niemieckiej Pisowni, powołana do życia przez Konferencję Ministrów Kultury (konferencję, bo w Niemczech nie ma federalnego resortu kultury, lecz są wyłącznie krajowe, czyli właściwe dla danego landu, z landami miastami, jak np. Berlin, włącznie). Owa Rada ma ustalony zakres działania i nie może sama z siebie dokonać językowej rewolucji. Jest ona czymś w rodzaju cichego obserwatora i stara się w swych sugestiach, które trudno nazwać rozstrzygnięciami czy zaleceniami, przyczynić się do skuteczności komunikacji językowej w Niemczech. Jako organ polityczny w Niemczech nie reguluje ona zagadnień języka niemieckiego jako takiego, a jedynie tego używanego w Republice Federalnej (nie dotyczy zatem ani Austrii, ani Szwajcarii czy innych państw, w których również używa się na co dzień niemieckiego, np. Belgii czy Liechtensteinu).

eprasa.pl 6f270c1a94

Czego nie może w kwestiach językowych ruszyć Konferencja Ministrów Kultury ani DUDEN, z powodzeniem forsują media publiczne, obie wielkie stacje telewizyjne ZDF i ARD, leżące w gestii Niemiec, oraz lokalne stacje radiowe i telewizyjne, działające na niwie landowej. Dialekt, którym się one posługują, Niemcy, którzy preferują język Goethego (ich liczba stale się kurczy, podobnie, jak i wyznawców dwóch wielkich religii chrześcijańskich), nazywają genderowaniem. Na czym ten żargon polega, wie każdy, kto przez kilka minut słucha radia lub ogląda telewizję. Genderuje każdy – czy to „redaktor*ka" czy „spiker*ka", „gość*anka" w studiu czy nawet „dzwoniący*e" podczas emisji programu (chyba instruują ich przed wejściem na antenę). Trudny jest ten żargon, słabo nadający się do przełożenia na polski. Prawidłowa, postępowa i politycznie poprawna wymowa sprowadza się do sztucznej, krótkiej przerwy tam, gdzie w gazetowym języku genderowskim jest słynna gwiazdka (*).

Nowy volapük, zapomniany już dziś „język światowy", wymyślony w XIX w. przez księdza Johanna Martina Schleyera z Konstancji, lecz bez ideologicznego przesłania, znalazł upolitycznionych następców wśród pierwszych Zielonych w Niemczech z lat 90. Jak się wówczas wydawało, śmieszny żargon stał się językiem liturgicznym postępowych aktywistów. Długo nikt nie reagował na narzecze, przy którym „zwis męski" (krawat) czy „podgardle dziecięce" (śliniaczek) z lat radosnej twórczości językowej w PRL budzą dziś jedynie mdły uśmiech politowania.

ŻARGON, KTÓRY WYKLUCZA

Aż wreszcie spokojnych zazwyczaj naukowców trafił szlag. Ponad 170 z nich w opublikowanym liście zwraca uwagę na fakt, że media publiczne – radio i telewizja – w Niemczech odgrywają rolę językowego drogowskazu, służą telewidzom i radiosłuchaczom (już bez słynnej gwiazdki) za przykład do naśladowania i dlatego też muszą się one orientować w obowiązujących w Niemczech normach językowych, ponieważ to język właśnie stanowi – nikt na to nie wpadł – skarb kultury. Uczeni stwierdzają, że „genderowanie ewidentnie łamie zasadę neutralności". A zdaniem kapłanów gender właśnie ta sztuczna nowomowa miała stać się przecież jej wyrazem.

Rada Niemieckiej Pisowni, powołana do życia przez Konferencję Ministrów Kultury w Niemczech, w 2021 r. zwróciła już stanowczo uwagę, że dodatkowe oznakowania genderowskie w pisowni, jak słynna gwiazdka (*), pełniąca nieco inną funkcję w żargonie politycznym polskiego lewactwa, czy niewłaściwie używany dwukropek lub myślnik i temu podobne nie mają nic do szukania w niemieckiej pisowni. Na uzasadnienie swego stanowiska Rada Niemieckiej Pisowni podaje, że stosowane w komunikacji medialnej formy genderowskie ujemnie wpływają na zrozumienie przekazu oraz zasadę jego jednoznaczności. Na domiar złego (ale to już całkiem inna historia) język ten jest niezrozumiały dla tych mieszkańców Niemiec, którzy nie bardzo radzą sobie z i bez tego trudnym językiem i mają trudności ze zrozumieniem tekstu, a to wyklucza innych, zamiast ich integrować. 6,2 mln mieszkańców Niemiec – lub inaczej 12,1 proc. osób zawodowo czynnych – to analfabeci, względnie półanalfabeci. Dalszych 10,6 mln dorosłych mieszkańców, czyli 20,5 proc., ma trudności z pisownią najprostszych słów. A żargon genderowski z założenia miał walczyć z wykluczeniem!

Ta rozbieżność (nie tylko w dziedzinie lingwistyki) komisarzy politycznych LGBT itd. w zakresie metod i skutków to charakterystyczna cecha utopijnych ruchów lewicowych. Każda rewolucja (francuska czy rosyjska) kreowała własny język z mniej lub bardziej pożądanym skutkiem. Światowa rewolucja seksualna, której dziś jesteśmy świadkami, na tym froncie prowadzi bezpardonową walkę. Jak każda siła totalitarna, jej polityczni oficerowie kreują cenzurę w redakcjach rozgłośni czy gazet, w których pracują. Ten, kto nie ulega tym rewolucyjnym „normom", rychło znajdzie się pod presją „bardziej światłych" „kolegów*żanek" i jeśli nie chce stracić pracy, to musi się podporządkować ich żądaniom. Mają oni wyraźny, leninowski cel: podporządkować sobie konsumenta mediów i nieważne, że – jak wynika z sondaży – ponad trzy czwarte słuchaczy i czytelników odrzuca genderowską nowomowę. Liczba naukowców, krytyków genderzenia językowego rośnie – pod koniec sierpnia tego roku apel podpisało 283 przedstawicieli nauki w Niemczech. Należą do nich znani badacze, jak Gisela Zifonun, wieloletnia dyrektor Wydziału Gramatyki w Instytucie Języka Niemieckiego w Mannheimie i autorka książki „Niemiecki jako język europejski", czy Peter Eisenberg, autor licznych dzieł z zakresu gramatyki języka niemieckiego, Heide Wegener, profesor z Poczdamu, Manfred Krifka, dyrektor Instytutu Leibnitza Lingwistyki Ogólnej w Berlinie, czy też Manfred Bierwisch, były kierownik Grupy Studyjnej do spraw gramatyki strukturalnej Towarzystwa Max-Planck na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. To tylko kilka nazwisk z długiej listy.

Uczonych zastanawia (o rewolucji nie słyszeli?) bezczelność, po prostu hucpa, ze strony mediów publicznych, niezasługująca na krztę tolerancji. Jednak rewolucyjni orędownicy „na odcinku" mediów są odporni na wszelkie racjonalne i naukowe argumenty. One do nich przemawiać nie mogą, bo rewolucja kieruje się innymi regułami i zasadami. Tak było z rewolucją francuską roku 1789, rosyjską w 1917 r. Dlaczego akurat ta miałaby być inna? Każda rewolucja – odwrotnie, niż głoszą jej kapłani – jest antydemokratyczna. Rewolucja seksualna miesza w genderyzmie rodzaje i myśli, że w ten sposób stworzy jakoby neutralny język. Nic z tego – powstaje jedynie karykatura języka, niezrozumiała dla nikogo, zaciemniająca przekaz, utrudniająca komunikację między ludźmi. A może o to właśnie stróżom poprawności politycznej chodzi?

Należy mieć nadzieję, że seksualna genderrewolucja prędzej czy później pożre własne dzieci. Oczywiście nie jest tak, że minie bez śladu. Zachwaszczony język potrzebować będzie wiele czasu, by oczyścić się z wulgaryzmów gramatycznych. Także i postponowany obecnie rodzaj męski wróci w końcu do łask. Wyklucza on bowiem tak samo kobiety „i inne tożsamości", jak rodzaj żeński mężczyzn. To ideologiczna bzdura. Oczywiście ślady tej „operacji język" tu i tam pozostaną, może na uniwersytetach, gdzie LGBT itd. nadają ton. Ale z językiem jest dokładnie tak samo, jak i z innymi dziedzinami nauki: ma on służyć komunikacji. Ten niezrozumiały stoczy się w nicość, trafi na śmietnik historii, drogie „panowie*nie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f270c1a94

Głodzenie samorządów

Jakub Wozinski

PiS ogranicza fundusze samorządowcom, którzy prowadzą dywersyjną politykę wobec państwa. Ta metoda spowodowała pogorszenie sytuacji finansowej samorządów. Może na tym też ucierpieć sama idea samorządności

Dokonując przeglądu poczynań władców udzielnych księstw polskiego samorządu, trudno jest zdobyć się na choćby minimalne wyrazy współczucia. Lewicowi prezydenci największych polskich miast już od lat wyróżniają się przede wszystkim udziałem w tęczowych marszach, wypłacaniem bizantyjskich premii swojemu otoczeniu, uprawianiem fałszywej polityki historycznej czy też wspieraniem niejasnych układów biznesowo-mafijnych. Bez względu jednak na to, ile stref relaksu z europaletami za milion złotych nie stworzyłby Rafał Trzaskowski, czy też jak bardzo rozkopałby Poznań do granic funkcjonalności Jacek Jaśkowiak, w większości wypadków i tak wydają się oni murowanymi kandydatami do zwycięstwa w kolejnych wyborach samorządowych. Zmiany społeczne i kulturowe sprawiają, że największe miasta w Polsce jeszcze długo będą w rękach lewicy, nawet jeśli ta będzie zarządzała nimi niegospodarnie lub szokowała kolejnymi aferami.

METODA MAŁYCH KROCZKÓW

Logicznym wnioskiem z tej sytuacji, który już dawno temu został wyciągnięty przez obóz Zjednoczonej Prawicy, jest konieczność „wygłodzenia" samorządów, które już od lat starają się ustanowić w Polsce faktyczną dwuwładzę. Dzieje się tak w szczególności od 2018 r., gdy PiS zdołał obsadzić swojego prezydenta co najwyżej w liczącym 65 tys. mieszkańców Zamościu.

W ostatnich latach duże ośrodki miejskie stały się głównym celem migracji wewnętrznych i dużych inwestycji zagranicznego kapitału, co stworzyło opozycyjnym samorządowcom wyjątkowo pomyślne perspektywy na przyszłość. Rząd metodą małych i większych kroczków zdołał jednak sprawić, że nawet najbardziej dynamicznie rozwijające się miasta, przyciągające wielki biznes, zaczynają liczyć niemal każdy grosz.

Największy wpływ na pozbawienie samorządów części dochodów miał oczy-

eprasa.pl 6f270c1a94

FOT. ADOBE STOCK

wiście Polski Ład, który zredukował stawki podatku dochodowego od osób fizycznych. Jeszcze w 2021 r. dochód z PIT zapewniał ponad 38 proc. wszystkich dochodów polskich gmin, lecz w 2023 r. dochody z tego tytułu mają być już o 24 proc. mniejsze niż w 2022 r. Prezentując przed dwoma laty założenia budżetu miasta Gdańska na kolejny rok, Aleksandra Dulkiewicz skomentowała fakt pojawienia się wartej 260 mln zł wyrwy w dochodach mianem „końca samorządu lokalnego w Polsce".

Wrażenie „końca samorządu" potęgują u włodarzy miast także inne czynniki. Galopująca od miesięcy inflacja jest szczególnie dotkliwa dla samorządów, które muszą płacić wyższe stawki za energię (nawet dwu-, trzykrotnie więcej niż do tej pory). Jednocześnie stale podnoszona przez rząd kwota wynagrodzenia minimalnego sprawia, że rosną budżety płacowe. W samym tylko Krakowie samorząd miejski zatrudnia 3 tys. osób, a niemal każde większe miasto zatrudnia ich co najmniej tysiąc. Nieustannie rosnące w sektorze prywatnym płace wywierają na samorządowcach narastającą presję, lecz pieniędzy na zaspokojenie żądań finansowych pracowników coraz bardziej brakuje. Coraz częściej dochodzi do sytuacji, w których samorządy są zwyczajnie zmuszone zrezygnować z planowanych od lat ważnych inwestycji, ponieważ galopujący wzrost kosztów usług, materiałów czy płac sprawia, że pierwotne założenia stają się kompletnie nierealne, a włodarzy nie stać nawet na wkład własny (wynoszący np. 25 proc.) przy realizacji projektów z unijnym dofinansowaniem.

NA ŁASCE SUBWENCJI

To jednak niejedyne zmartwienie. Nie dość, że wydatki są coraz większe, to samorządy mogą liczyć na coraz mniejsze przychody. Miasto Warszawa będzie miało do dyspozycji w obecnym roku aż 1,4 mld zł mniej niż w 2021 r. Teoretycznie rząd obiecał przy okazji tworzenia Polskiego Ładu, że zapełni lukę w dochodach samorządów subwencjami celowymi, lecz czyni to na ogół w sposób dość uznaniowy. W ustawie budżetowej na 2023 r. zapisano, że w 2023 r. subwencja ogólna dla jednostek samorządu terytorialnego wyniesie 83,23 mld zł, czyli o ponad 15 proc. więcej niż w poprzednim roku. Zdecydowana większość tej kwoty jest rozdysponowywana zgodnie z obiektywnymi parametrami (np. odnoszącymi się do wielkości miast), lecz rząd pozostawił sobie pewien margines swobody, który pozwala mu wspierać bardziej przyjazne mu jednostki. W ramach Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych czy też Programu Inwestycji Strategicznych samorządy mogą starać się odzyskać to, co kiedyś wpływało bezpośrednio na ich konta, lecz i tak są zdane na decyzje szczebla centralnego. Oprócz tego znajdujące się w gorszej sytuacji samorządy narzekają na to, że mimo to muszą płacić coraz wyższe „janosikowe".

Gdyby jednak nawet jakimś cudem opozycyjne samorządy zdołały uzupełnić swoje budżety dotacjami celowymi do poziomu sprzed dwóch lat, i tak kolejnym wyzwaniem stałaby się dla nich konieczność sprostania coraz większym zobowiązaniom finansowym, wynikającym m.in. ze zmian przeprowadzonych przez rząd w sektorze oświaty. Ministerstwo Edukacji zasłania się danymi, że od czasu przejęcia władzy przez Zrównoważoną Prawicę subwencja oświatowa dla samorządów stale rośnie, ale faktyczne wydatki na oświatę rosną znacznie szybciej. Oświata pochłania obecnie średnio 34 proc. wszystkich samorządowych wydatków, które stanowią faktyczną studnię bez dna. Dzieje się tak m.in. dlatego, że w systemie pojawiły się tysiące ukraińskich dzieci. Polityczna poprawność nie nakazuje jednak samorządowcom nagłaśniać wynikłych z tego powodu trudności.

KIEPSKI MATERIAŁ NA OFIARY

Od ponad dwóch lat lewicowi włodarze polskich miast starają się przedstawić siebie jako ofiary i wskazują na konieczność podejmowania dramatycznych decyzji. Znaczna część samorządów po raz pierwszy od lat zmuszona była uchwalić deficyt, a powszechną praktyką stało się nawet wyprzedawanie miejskiego majątku.

Z drugiej jednak strony polskie samorządy wydają wciąż miliony złotych na całkowicie zbędne i szkodliwe programy in vitro, dotują aktywistów ruchu LGBT, rozdają horrendalnie wysokie premie czy też dofinansowują nikomu niepotrzebne projekty spod znaku zrównoważonego rozwoju. Jak poważnie potraktować utyskiwania na niezwykle trudną sytuację finansową jednostek samorządu terytorialnego, w momencie gdy wciąż stać je na realizację ekstrawaganckich i nikomu niepotrzebnych pomysłów?

Żaden z wielkomiejskich samorządów z finansowania tęczowych środowisk rezygnować jednak nie zamierza. Wręcz przeciwnie. Jak powiedział niedawno w wywiadzie dla RMF FM prezydent Poznania, Jacek Jaśkowiak, promowanie agendy ruchu LGBT jest dziś traktowane jako magnes przyciągający zagranicznych inwestorów. Pomimo więc tego, że w samorządowych kasach będzie coraz mniej środków na podwyżki dla urzędników, oświatę czy pomoc społeczną, homo- i transaktywiści mogą liczyć na stały dopływ pieniędzy. Wynika to również z tego, że wobec nawarstwiających się trudności finansowych największe miasta coraz chętniej sięgają po inne metody finansowania, np. emisję obligacji. Na rynkach finansowych coraz większe

eprasa.pl 6f270c1a94

znaczenie zyskuje zaś raportowanie ESG, nakazujące wszystkim łaszenie się do postępowej agendy. Paradoks całej sytuacji polega na tym, że im bardziej rząd dokręca śrubę samorządom z intencją ukrócenia prowadzonej przez nie wywrotowej polityki, tym większą zachętę zyskują do tego, aby właśnie poprzez sprzyjanie mocno lewicowym ideologiom przyciągnąć do siebie jak najwięcej zagranicznych inwestorów.

Jak pokazała awantura wokół inicjatywy C40 Cities, miasta decydujące się na wdrażanie radykalnych (gdyż przewidujących daleko posuniętą ingerencję we własność prywatną) postulatów z zakresu zrównoważonego rozwoju dzięki temu mogą liczyć na szczególne względy inwestorów. Do pewnego stopnia wszczęty przez samorządy największych polskich miast alert i utyskiwania z powodu trudnej sytuacji finansowej są jedynie grą pozorów, gdyż w wielkim rozdaniu finansowym nowego wspaniałego, zrównoważonego świata do zgarnięcia są naprawdę wielkie pieniądze. Straty wynikające z polityki rządu mogą być kiedyś nadrobione z nawiązką poprzez miliardy dostępne m.in. dzięki emisji zielonych obligacji czy też w ramach innych mechanizmów finansowania.

Pomocną dłoń samorządom wyciągnęli zresztą już teraz eurokraci. Jak pokazała zeszłoroczna wizyta Fransa Timmermansa na Śląsku, Komisja Europejska najchętniej uczyniłaby z opozycyjnych jednostek samorządu terytorialnego właściwego dysponenta wszystkich dotacji. Pomimo propozycji, aby podziałem tzw. koperty narodowej zajął się nie tylko rząd, nie udało się znaleźć żadnej furtki prawnej pozwalającej obejść istniejące regulacje. Rząd Mateusza Morawieckiego kategorycznie sprzeciwia się takiemu rozwiązaniu, ale jak pokazuje dotychczasowa historia jego relacji z Brukselą, nierzadko stanowcza niezgoda zamieniała się nieoczekiwanie w zadziwiającą uległość.

SKUTKI UBOCZNE

Uzasadniona politycznie batalia z samorządami wydaje się pomimo wszystkich wymienionych tu zastrzeżeń dość skuteczna. Wraz z kurczeniem się samorządowych budżetów kurczy się także do pewnego stopnia ich polityczna sprawczość. Ubocznym efektem tej batalii jest jednak niebezpieczny proces centralizacji władzy oraz mechanizmów dysponowania publicznymi środkami. Jednym z najważniejszych elementów demontażu ustroju komunistycznego była ustawa samorządowa z 1990 r., której istotnym skutkiem było przejęcie przez lokalne struktury większej decyzyjności finansowej. Obecnie obserwujemy niestety proces powolnego demontażu tego mechanizmu.

Krok po kroku – w imię walki z opozycją – rząd odbiera jednostkom samorządowym coraz większą część należnych im kompetencji. W ostatnich latach m.in. uzależniono wydatki inwestycyjne w zakresie ochrony zdrowia od decyzji wojewodów oraz odebrano samorządom kontrolę nad stawkami niektórych opłat. Większość tych zmian, wzięta z osobna, ma swoje uzasadnienie, lecz całościowo przekładają się one na coraz bardziej scentralizowany model wydatkowania publicznych środków. W dobrze pojętym interesie nas wszystkich lepiej byłoby jednak, aby mechanizm dysponowania nimi był możliwie jak najbardziej rozproszony. Abstrahując od kwestii politycznych, z samych tylko przyczyn ekonomicznych nie jest przecież wskazane, aby o lokalnych wydatkach decydował w coraz większym stopniu centralny planista.

Przyjęta przez rząd taktyka jest dla niego bardzo użyteczna, gdyż pozwala tworzyć system klientalny wzmacniający struktury partyjne. Na szczególne względy przy rozdzielaniu subwencji mogą wszak liczyć samorządowcy powiązani ze Zjednoczoną Prawicą. Skutkiem tego jeszcze bardziej postępuje proces spadku jakości zarządzania samorządami, które, zamiast skupiać się na lokalnych sprawach, czują się jeszcze bardziej zobowiązane do uczestnictwa w partyjnej przepychance.

ODBIĆ SAMORZĄDY

Nie wolno także zapominać, że obrany przez obóz rządzący model walki z dywersyjnymi samorządowcami nie jest wcale jedynym możliwym. Większość ekscesów, których dopuszczają się włodarze dużych miast, byłaby nie do pomyślenia, gdyby tylko istniało dobre prawo skutecznie walczące z ideologią LGBT czy ograniczające radykalne projekty związane z szeroko rozumianym zrównoważonym rozwojem. Obóz Zjednoczonej Prawicy wyraźnie nie chce jednak na serio walczyć z tęczową propagandą, a w przypadku agendy zeroemisyjności sam aktywnie wspiera samorządy w jej wdrażaniu.

Jeszcze bardziej wskazanym środkiem walki o uzdrowienie wielkomiejskich samorządów byłaby ewentualna próba odbicia ich z rąk lewicy w wyborach. Z jednej strony profil światopoglądowy mieszkańców największych aglomeracji wybitnie tego nie ułatwia, a z drugiej strony właśnie preferowany przez obecną władzę model rządzenia oraz budowania poparcia, opierając się na polityce rozdawnictwa, stanowi jedną z głównych przyczyn niemożności przekonania do siebie miejskiego elektoratu. Głodzenie samorządów wynika więc w jakimś sensie wprost z frustracji w szeregach partii rządzącej, że nie zdoła zbyt prędko zaistnieć w strukturach władzy dużych miast.

Kiepska sytuacja finansowa skłoniła wielu samorządowców do wyrażania coraz głośniejszych żądań, aby rząd podzielił się z nimi wyższymi ostatnio wpływami z VAT. Rząd na razie nie pali się do działania, a włodarze wielu miast już teraz się odgrażają, że będą musieli jeszcze bardziej podwyższyć opłaty za wywóz śmieci czy też ceny biletów komunikacji miejskiej. Finalnie ciężar konfliktu o władzę dźwigać będą więc i tak zwykli obywatele. Na dodatek do czasu przyszłorocznych wyborów samorządowych i tak zapewne nic się nie zmieni, gdyż jednym z istotnych elementów nadchodzącej kampanii wyborczej będzie najpewniej wizja wielkich projektów, które powiązani z obozem rządzącym kandydaci będą mogli potencjalnie zrealizować w przypadku przejęcia władzy.

Rządzący mają w dziele głodzenia samorządów jeszcze spore pole do popisu. Ogranicza ich jedynie ryzyko nadmiernego zadłużenia jednostek samorządu, które wlicza się do zadłużenia liczonego wedle metodologii unijnej. Na razie nie jest to oszałamiająca kwota (ok. 3 proc. PKB na koniec 2022 r.), lecz ostatnio szybko się zwiększa. W pewnym sensie, głodząc samorządy, rząd tak naprawdę sam może za jakiś czas ograniczyć swoje własne możliwości wydatkowania. Wcześniej czy później i tak trzeba będzie zawrzeć rozejm.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f270c1a94

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rząd naprawi to, co zepsuł?

Bardzo lubię chwalić – ba, wprost uwielbiam chwalić. Uwielbiam chwalić i rząd, i opozycję. A chwalę je rzadko wyłącznie z jednego powodu – bo rzadko dają po temu powód.

No i właśnie premier Morawiecki taki powód całkiem niedawno dostarczył, zapowiadając, że naprawi to, co wcześniej sam zepsuł. Czyli że doprowadzi do powstania projektu ustawy konsolidującej polskie finanse publiczne – ostatnio ustawicznie i potężnie przez niego „dekonsolidowane" – której głównym celem ma być likwidacja wielu pozabudżetowych funduszy, stworzonych w niemałej mierze właśnie za jego rządów, a w jeszcze większej mierze już wręcz na skalę przemysłową wykorzystywanych do obchodzenia reguł rządzących kasą naszego państwa.

Dziś do prowadzenia owej podwójnej księgowości państwa polskiego służy bowiem rządowi aż 126 takich funduszy pozabudżetowych, niepodlegających żadnej kontroli parlamentu, a więc i wyborców. I to właśnie za ich pomocą rząd w ciągu ostatnich zaledwie trzech lat doprowadził do tego, że różnica między państwowym długiem Polski liczonym metodą krajową a tym samym długiem liczonym metodą unijną wzrosła z niewiele ponad zera do aż 10 proc. PKB, a do 2026 r. – jak wynika z, nie inaczej, rządowej strategii zarządzania długiem – wzrośnie do aż 15 proc. PKB!

A zatem premier Morawiecki uroczyście ogłosił, że teraz to, co wcześniej naknocił, naprawi i przywróci finansom publicznym Polski taką przejrzystość, jaka powinna charakteryzować finanse cywilizowanego państwa. I to oczywiście niepomiernie cieszy – wszelako pod warunkiem, że zapowiedź przywrócenia należytej przejrzystości naszym nieprzejrzystym finansom nie okaże się takim samym kapiszonem, jak ten, z którego premier Morawiecki strzelił jesienią 2022 r. Czyli wtedy, kiedy to – gdy kasie polskiego państwa zajrzała w oczy groźba kłopotów z wypłacalnością (rentowność polskich obligacji skoczyła do 9 proc.!) – nagle zaczął nawoływać do pilnych oszczędności budżetowych, o których niemal zupełnie zapomniał „nazajutrz", czyli gdy tylko rentowność polskich obligacji spadła o kilka punktów procentowych.

No bo co do tego, że ów „projekt ustawy konsolidującej polskie finanse publiczne" jest przygotowywany dopiero teraz, pod sam koniec drugiej kadencji rządów Zjednoczonej Prawicy – głównie z myślą o podrzuceniu go jako kukułczego jaja opozycji, w przypadku gdyby ta zyskiwała szanse na wydarcie władzy z rąk polityków ZP – to chyba nikt przytomny wątpliwości nie ma? Ale w końcu mniejsza o czystość intencji, gdy w grę wchodzi – jeśli rzeczywiście w grę wchodzi – przejrzystość finansów Polski. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Szwedzkie strefy no-go

Centrum Sztokholmu jest czyste i schludne, a w maju prezentuje się wyjątkowo pięknie. Nic nie wydaje się potwierdzać opowieści o walącym się kraju, w którym imigracja wymknęła się spod kontroli. To jednak w jakiejś mierze pozory.

Rządzący od października ubiegłego roku rząd Ulfa Kristerssona z konserwatywno-liberalnej Partii Umiarkowanej jasno mówi to, co w Polsce było wielokrotnie wyśmiewane jako rzekomo karykaturalny i skrajnie nieprawdziwy obraz Szwecji. Urzędnicy gabinetu, złożonego z przedstawicieli Partii Umiarkowanej, Chrześcijańskiej Demokracji oraz Liberałów, a popieranego przez mocno konserwatywnych i narodowych Szwedzkich Demokratów, mówią to, co było przedmiotem kampanii wyborczej i doprowadziło do – jak to oceniali niektórzy – prawdziwego politycznego trzęsienia ziemi. Mówią zatem, że jest w Szwecji kłopot z rejonami pozostającymi poza kontrolą państwa. Że jest olbrzymi problem zorganizowanej przestępczości. Że jest problem strzelanin. Że, wreszcie, jest problem nadmiernej imigracji. I że tym wszystkim obecny rząd zamierza się zająć.

Jeśli gabinet Kristerssona odniesie sukces, to Szwecja na dłużej może pozostać pod władzą prawicy

Podczas krótkiej podróży do Sztokholmu (ukłony wobec organizatora, przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Warszawie) z ust przedstawicieli obecnej władzy, a także osób z nią niezwiązanych, słyszałem rzeczy, które naszych rodzimych lewicowców wpatrzonych w mit szwedzkiej integracji przyprawiłyby o zawał. Ze wszystkich tych rozmów wyłaniała się oczywista konkluzja: w zarządzaniu imigracją w Szwecji zostały popełnione błędy, które doprowadziły do wyborczego przełomu i uznania oferty m.in. Szwedzkich Demokratów za bardzo atrakcyjną. To dzisiaj w Riksdagu druga partia po socjaldemokratach, choć formalnie pozostająca poza rządem, ale udzielająca mu wotum zaufania.

Szwedzi mieli po prostu dość. Co prawda, opozycję i rząd wraz z popierającymi partiami dzielą obecnie zaledwie trzy głosy (173 do 176), ale jeśli gabinet Kristerssona odniesie sukces, to Szwecja na dłużej może pozostać pod władzą prawicy. Warto trzymać kciuki. ©℗

eprasa.pl 6f270c1a94

Tu trzeba mieć dwa zestawy odzieży. Jeden, ciągle mokry, nosi się na sobie, drugi, suchy, służy do spania FOT. ARCHIWUM JACKA PAŁKIEWICZA

Hartowanie liderów

Jacek Pałkiewicz

Nie wystarczy zapamiętać i uwierzyć w formułki, że ktokolwiek odpowiednio zmotywowany może pokonać każdą przeszkodę. Powinno się udowodnić swoją wartość, by wyróżnić się na tle innych

Kto wie jak się nazywał żeglarz, który w ślad za Krzysztofem Kolumbem osiągnął kontynent amerykański? OK, nie wiemy. Dobrze. A kto pamięta drugiego himalaistę na szczycie świata, Evereście? Dalej. Z zapartym tchem przeżywaliśmy emocje lądowania Armstronga i Aldrina na Księżycu. A jacy dwaj astronauci znajdowali się w załodze kolejnej misji, Apollo 12, którzy spacerowali po powierzchni Srebrnego Globu? Tu też trudno oczekiwać pozytywnej odpowiedzi. To znaczy, że ten drugi w żadnym razie się nie liczy, godny uwagi jest tylko pierwszy. Czyli najlepszy!

Tak często zaczynam wykład dla studentów czy kadr zarządzających. Na temat tego, jak być numer jeden, o krok przed innymi, istnieje wiele publikacji i jeszcze więcej warsztatów czy kursów, często on-line, gdzie zapewnia się zdobywanie nowych kompetencji kierowniczych na odległość. Niewątpliwie nawet największa wiedza dotycząca zarządzania nie wystarczy do tego, aby np. zachować odporność psychiczną w sytuacjach niepewności. Wzmocnienie psychiki i sformowanie umiejętności dowódczych można było osiągnąć w szkole przetrwania, którą na początku lat 80. stworzyłem we Włoszech pod patronatem ministerstwa obrony cywilnej. Przy wejściu do niej widniał slogan, który pojawił się po jakimś czasie u Dana Browna: „Wszystko jest możliwe. Niemożliwe wymaga tylko więcej czasu".

Doświadczenie w tej dziedzinie zbierałem podczas oceanicznego rejsu szalupą ratunkową, na katorżniczej wyprawie przez bagna Nowej Gwinei, pośród burzy piaskowej na pustyni Takla Makan czy w drodze przez lodowatą pustkę na biegun zimna w Jakucji, gdzie niegdyś odnotowano –71 st. C. Te empiria były hołdem dla nieograniczonych możliwości przystosowawczych ustroju człowieka. Balansując na krawędzi i pokonując granice ludzkiej wytrzymałości, przychodziło mi podważać podstawowe prawa fizjologii i biologii człowieka, dokazując, jak wspaniale nasz organizm adaptuje się do gorąca, mrozu, głodu i pragnienia, strachu i zwiększonego wysiłku fizycznego. Specjalistyczne umiejętności survivalowe raz po raz przyswajałem w środowisku, gdzie najmniejszy błąd mógł okazać się fatalny w skutkach.

SZKOŁA SURVIVALOWA

W szkole zajęciami survivalowymi kierowali instruktorzy różnych specjalności, wśród których wyróżniali się ich szef Alberto Giustetto, z długim stażem w Legii Cudzoziemskiej, oraz sierżant Zielonych Beretów Scott Penn, kuzyn znakomitego aktora Seana Penna. To do nich należało kształtowanie w realiach dzikiej przyrody Trydentu poczucia własnej wartości, współpracy w zespole i funkcjonowania w sytuacjach stresowych. Cena była duża, bo – jak napisał pewien dziennikarz – u Pałkiewicza trzeba zostawić wiadro potu. Ale kursanci wiedzieli, co ich czeka, bo w reklamowej broszurze była klarowna przestroga: „Być może niektóre nasze metody są mało humanitarne, ale musicie wiedzieć, że nauczymy was paru rzeczy, które po-

eprasa.pl 6f270c1a94

zwolą zachować życie. Nie ukrywam, że będziemy was nieustannie nękać, poddawać ciągłej presji, że zrobimy wszystko, aby doprowadzić do granic wytrzymałości. Kto dobrnie do przedsionka piekła, a następnie stamtąd jeszcze wróci, posiądzie dodatkowy »szósty bieg« i odkryje, że jest dużo silniejszy mentalnie, niż jemu się wcześniej wydawało. Bo zwykle jest tak, że gdy myślisz, że nie dasz już rady, to oznacza, że jesteś dopiero na progu 60 proc. swoich możliwości".

W szkole nie brakło przysposobienia prowadzonego przez doświadczonych trenerów rozwoju osobistego, którzy powtarzali, że jeżeli chce się coś w życiu osiągnąć, to trzeba mieć śmiałe marzenia, ustawić wysoko poprzeczkę, celować w gwiazdy i sięgać po niemożliwe. Pamiętając przy tym, że droga do wiktorii nie jest prosta. Tam nie ma skrótów, nie obejdzie się bez fatygi, żelaznej konsekwencji, entuzjazmu i pokładanej w sukces wiary. Za dorobek z góry płaci się określoną cenę, nie mając przy tym gwarancji zwrotu. Nigdy nie wolno się poddawać, bo potknięcia są nieuniknione i nie wolno bać się porażki. Jeśli się nie uda, to zawsze można spróbować ponownie. „Sukces zależy od ciebie – zapewniali. – Jeśli zdobędziesz się na odwagę, aby podjąć decyzję przeskoczenia przez palisadę, to znajdziesz się o krok przed innymi". Przykłady czerpali częstokroć ze sportu, bazując na mentalności zwycięzców. Tłumaczyli, dlaczego słabszy zawodnik niejednokrotnie wygrywa z silniejszym. Bo mistrza zawiodła psychika. Wielekroć drużyna potrafi wygrać mecz w zasadzie przegrany, bo umie udźwignąć presję. Wiara w zwycięstwo graniczy często z wiarą w cuda. Świadczy o tym przykład amerykańskich hokeistów amatorów, zebranych z zespołów uniwersyteckich, którzy w 1980 r. na zimowych igrzyskach olimpijskich w Lake Placid upokorzyli niezwyciężoną Sborną ZSRS. Była to jedna z największych sensacji w dziejach sportu. Drużyna, która teoretycznie nie mogła liczyć na nawiązanie wyrównanej walki, dzięki determinacji dokonała niemożliwego, wygrała 4:3. To symbol tego, do czego zdolny jest zmotywowany zespół. Przegrać i być pokonanym to nie to samo. Przegrywają ci, którzy nawet nie próbowali się zmagać, a pokonani to ci, którzy potrafili walczyć. Taka porażka nie przynosi ujmy.

Praktyczna lekcja w szkole przetrwania

FOT. ARCHIWUM JACKA PAŁKIEWICZA

BOGATE DOŚWIADCZENIE

Osobiście przychodziło mi niezliczoną ilość razy walczyć w sytuacji kompletnego wyizolowania, niepewności i strachu, sam ze sobą i z trudnościami losu. Jednym z największych wyzwań, które rzuciłem potędze natury, był atlantycki rejs niewielką szalupą ratunkową. Chciałem dodać wiary ofiarom katastrof morskich i dowieść, że jeśli nie dadzą za wygraną, to mają szansę się uratować. Nie miałem łączności ze światem zewnętrznym, GPS nie istniał, nie dysponowałem sekstantem, był tylko kompas. Głównym problemem rozbitka jest brak wody pitnej, zatem zbierałem deszczówkę oraz zawierający sporo płynu plankton, drobne przezroczyste organizmy wpadające do siatki z muślinu. Łowiłem także ryby, pocięte na kawałki i przeżute dostarczały bezcennego płynu. Bezmiar oceanu napawał okazałością, ale i grozą. Piekła przeżarta solą skóra, czyraki od ciągłej wilgoci na pośladkach sprawiały piekący ból.

Niebawem nadszedł dzień, kiedy ocean na dobre objawił potęgę przyrody. Wicher świszczał w olinowaniu, góry wodne przesuwały się groźnie obok łupiny zaginionej w bezmiarze królestwa Neptuna. To był już sztorm. Nieustannie wylewałem wodę, bo fale zalewały łódź i w każdej chwili mogły ją wywrócić. Zmaganie z żywiołem wyczerpało mnie bez reszty. Ciążyła bezkresna samotność, coraz częściej nachodziły mnie złe myśli, ale totalnym wysiłkiem umacniałem wiarę we własne siły. Szukałem u Stwórcy pocieszenia, nadziei i otuchy. Modliłem się, bo wiem, że wiara w krytycznych momentach wzmacnia morale. Po trzech nieprzespanych nocach bałem się, że mogę się załamać i stracić instynkt samozachowawczy. Ale wewnętrzny głos był silniejszy: „Nie poddam się!".

Kilka dni po nawałnicy napotkany statek kubański „Oceano Antartico" chce mnie wyrwać z niebezpieczeństwa. Miotam się z myślami, bojąc się ulec. Czy po jakimś czasie wybaczę sobie, że skapitulowałem? Decyzja mogła być jedna: płynę dalej. To „nie" przy burcie statku, który ofiarowywał mi suchą koję, ciepłą strawę oraz gwarancję powrotu do bliskich, było najbardziej wartościową lekcją i największym sukcesem mojego życia. Odzywa się we mnie z całą siłą w trudnych chwilach, ilekroć nawiedza mnie myśl, że miałbym zrezygnować z jakiegoś najeżonego trudnościami konceptu.

Na początku mojej aktywności survivalowej odbyłem staż we wzbudzającym respekt brazylijskim CIGS, centrum szkolenia do walki w dżungli w Manaus, gdzie „budowanie" komandosa określane jest drogą krzyżową, pozwalającą wydobyć z człowieka jego drugie dno. Właśnie od żołnierzy uczyłem się, jak kształtować nieugięty charakter. Jak zmotywować do długotrwałego wysiłku fizycznego i psychicznego, jak zbudować zespół i podnieść jego efektywność.

eprasa.pl 6f270c1a94

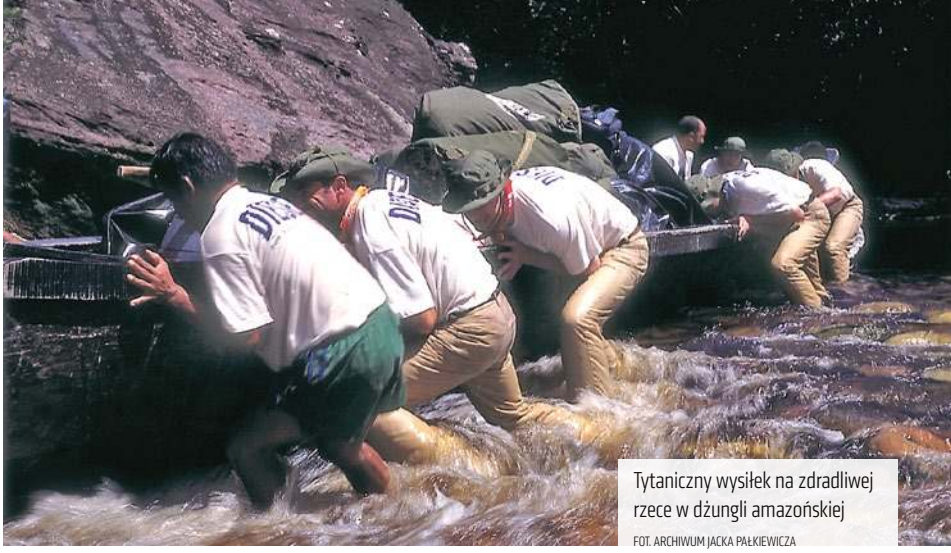

Tytaniczny wysiłek na zdradliwej rzece w dżungli amazońskiej

FOT. ARCHIWUM JACKA PAŁKIEWICZA

Po pewnym czasie prowadziłem tam obok miejscowych instruktorów zajęcia dla europejskich jednostek antyterrorystycznych. Nie wszyscy zaliczyli drogę przez mękę, trzech oficerów zawiodła psychika, przegrali na finiszu morderczego etapu i niechlubnie wrócili do swoich jednostek. Jednego pokonała malaria, on też opuścił kurs w poczuciu przegranej. Ja, jako pierwszy cywil obcokrajowiec w historii CIGS, zostałem uhonorowany prestiżową machetą „wojownika dżungli" z numerem 0055.

SZKOLENIE NOWOCZESNEGO MENEDŻERA

Dzisiaj dynamiczne, hiperkonkurencyjne środowisko biznesowe wymusza na liderach poszukiwanie nowych rozwiązań, a zatem nieustannego rozwoju osobistego i edukacji. Nic dziwnego, że w trosce o wykształcenie cech przywódczych nowoczesnego menedżera pojawiło się zainteresowanie tematem przekraczania barier osobowości. Któregoś dnia szef zarządzania personelem międzynarodowej korporacji, chcąc stworzyć nowe narzędzia do lepszego radzenia sobie z trudnościami, których nastręcza zarządzanie zespołem, zaproponował mi zorganizowanie treningu nastawionego na praktyczne umiejętności. Uważał, że to, co jeszcze wczoraj było innowacją, dziś jest standardem, a jutro stanie się reliktem przeszłości. Jeśli ktoś się nie rozwija, to po prostu się cofa. Tak zrodził się projekt challenging, próba sił czy – jak ktoś woli – wyzwanie do bezwzględnego pojedynku w skrajnych warunkach klimatycznych. Takie very hard, zaawansowane szkolenie to koktajl survivalu-wysiłku-adrenaliny-przygody, oparty na spójnych wzorcach aktywności menedżerów i elitarnych formacji, które miały kształtować postawę „mogę wszystko".

Zabrałem ich do „zielonego piekła" wyspy Borneo, najbardziej bezlitosnego środowiska naturalnego na naszej planecie, na wyprawę w lesie równikowym, pełnym pełzającego robactwa, skorpionów, pijawek i dokuczliwych insektów żądlących nawet przez przepoconą, przylepioną do ciała koszulę. Pot zmieszany z repelentem szczypał boleśnie oczy. Nie dawały spokoju komary roznoszące zarodźca malarii czy wirusa żółtej febry. Spadające z gałęzi za kołnierz czarne mrówki cięły boleśniej niż osy, a kolczaste pnącza drapały ręce, co groziło infekcją. A co powiedzieć o wszechobecnych jadowitych wężach? Kiedy czarna kobra ukąsiła jednego z uczestników, wysysaliśmy jad, a potem, po zszyciu rany, po prostu dygotaliśmy ze strachu i prosiliśmy Boga o wsparcie.

Nie ukrywam, że lęk był nieodłącznym towarzyszem moich wędrówek. Taka reakcja jest naturalnym sygnałem alarmowym, hamulcem wyznaczającym granice ryzyka. Związana z instynktem przetrwania bojaźń wyostrza zmysły, ostrzega, powstrzymuje przed postawieniem tego jednego kroku, który mógłby się okazać wstąpieniem do wieczności. Dodajmy, że właściwie spożytkowany strach jest ojcem odwagi, sprawia, że człowiek jest w stanie pokonać większą przeszkodę, niż by mu się mogło wydawać. Nie jestem bojaźliwy, bo – jak pisał Fiodor Dostojewski – „Tchórzem jest ten, kto się boi i ucieka, a ja się boję, ale nie uciekam". Mężny człowiek to nie ten, który nie ma pietra, ale ten, któremu udaje się go kontrolować.

Parna atmosfera powoli wchłaniała siły i spowalniała ruchy. Wyczerpujący marsz w korytach rzek, nieraz po pas w wodzie, wydawał się nie mieć końca. Podróż była nieustannym zmaganiem z siłami przyrody i własnymi słabościami. Trzydziestosiedmioletni Szymon, który po początkowym załamaniu wyszedł na prostą, z nieukrywaną dumą zauważył, że jeśli ktoś nie musiał zmierzyć się z własną słabością, aby ją przezwyciężyć, to nie ma prawa twierdzić, że jest silny.

Edukacja zaczęła się jeszcze przed wyruszeniem w drogę, kiedy wszyscy uczestnicy, biorąc udział w planowaniu w najdrobniejszych szczegółach miesięcznej wyprawy, zrozumieli, że jest ona fundamentem każdego wyjazdu opierającym się na regule 6xP: „Perfekcyjne Planowanie Poprzedzające Podróż Podstawą Powodzenia". Nie wszystko można przewidzieć, bo mogą pojawić się wielorakie pułapki. Istotnym elementem programowania są elastyczność i plan awaryjny na wypadek niespodziewanego zawikłania. Chociaż… Arnold Schwarzenegger, który jest inspiracją dla setek tysięcy miłośników sportów siłowych, zawsze stawiał wszystko na jedną kartę. „Zapomnij o planie B. Jeśli wiesz, co chcesz osiągnąć w życiu, to nie potrzebujesz siatki ochronnej – podkreśla do dzisiaj. – Takie podejście może negatywnie wpłynąć na realizację celu, bo potrafi osłabić". Ja podczas samotnego rejsu przez Atlantyk też musiałem zastosować tę zasadę, ale z zupełnie innego powodu. Nie miałem kontaktu ze światem zewnętrznym.

Wybitny przemysłowiec amerykański Henry Ford wyznawał filozofię, że połączenie sił to początek, pozostanie razem to postęp, a wspólna praca to sukces. Himalaiści mawiają zaś: zdobyć wspólnie szczyt i wrócić jako przyjaciele. Każda ekspedycja, podobnie jak projekt firmowy czy operacja wojskowa, jest przedsięwzięciem zbiorowym, którego siła tkwi w wyrazistym team spirit, zgranym oraz spójnym zespole i jego powodzenie uzależnione jest od zmotywowania, wzajemnego zaufania i wiary we współtowarzyszy. Trzymam się także zasady, aby wszyscy wyglądali jednolicie, bo identyczny ubiór daje każdemu poczucie jedności, wiąże w jedną całość kolektyw i wzmacnia jego ducha.

Już pierwszego dnia obarczyłem każdego jakąś funkcją i obowiązkami, za

eprasa.pl 6f270c1a94

które będzie odpowiadać. Dałem swobodę działania, by mogli wykorzystać drzemiący w nich potencjał. Następnie często i systematycznie ich chwaliłem i wystarczały proste słowa „dobra robota", aby poczuli się docenieni i zmotywowani. Dowartościowani chętniej wykazywali się inicjatywą i wolą współpracy. Zdarzyło się, że kilkakrotnie wystawiłem nawet totalne laurki: „Zrobiłeś wszystko, co było możliwe, a nawet więcej".

LIDER Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

Niezależnie od branży i wielkości przedsiębiorstwa każdy zespół potrzebuje swojego przywódcy, a starożytni znali już wartość pomysłów dla niego, wytyczyli bezdyskusyjny przepis na sukces na podejmowanie działań innowacyjnych, gdyż twierdzili: verba docent, exempla trahunt – słowa uczą, przykłady pociągają. Lider z prawdziwego zdarzenia zobowiązany jest inspirować, promować kreatywność, współpracę oraz rozwiązywać konflikty. Powinien przy tym wyróżniać się nieformalnym autorytetem, osobowością, kompetencją i posiadać charyzmę. Idealny przełożony z pewnością musi wykazać się asertywnością, inicjatywą oraz talentem organizacyjnym i absolutną bezstronnością. Wojskowi dorzuciliby jeszcze odwagę w podejmowaniu trudnych decyzji, sprawność fizyczną oraz dobre radzenie sobie ze stresem i z presją czasu. Ale już nie przesadzajmy z tymi cechami. Dodajmy tylko, że autorytet szefa jest kapitałem, który bardzo trudno jest zdobyć, a także łatwo utracić.

Ustaliłem grafik liderów, którym w szczególnych sytuacjach, na znak obdarzania zespołu zaufaniem, oddawałem po kolei dowodzenie. Takie twórcze wzorce przywództwa przenikają dzisiaj coraz szerzej między zastosowaniami wojskowymi i cywilnymi. Uprzedzam, że nikt nie może podważać jego autorytetu, bo to byłby pierwszy krok ku zgubie. Mam wiedzę o kulisach pewnej himalajskiej ekspedycji. Byli tam ludzie solidni, ożywieni wzniosłymi ideami, a tymczasem zmagania zakończyły się fiaskiem, bo zabrakło respektu dla zwierzchnika. Mówi się, że ten problem istniał zawsze. Znali go zdobywcy bieguna północnego i kapitan James Cook. Temat jest ciągle aktualny na stacjach meteorologicznych, wśród geologów, tam, gdzie trzeba pracować z dala od świata w ograniczonej przestrzeni. Thor Heyerdahl wyznał mi, że w czasie drugiego rejsu na tratwie „Ra II" popełnił błąd, zabierając ze sobą załogę z poprzedniej wyprawy.

Pamiętając lekcję jednego z guru szkoły biznesu, który upoważniał pracowników do tego, by dopuszczali się błędów, a potem się na nich uczyli, zapowiedziałem, aby nie bali się podejmowania ryzyka, bo tego także wymaga droga do sukcesu. A przecież zdarzają się okazje, które mogą się już więcej nie powtórzyć. Bez takiego kroku niełatwo jest osiągnąć cel i pić potem szampana. David Lloyd George, brytyjski polityk i mąż stanu, lubił powtarzać: „Nie wolno się bać dużego kroku. Nie pokona się przepaści dwoma małymi". Pomyłka to nie powód do tragedii, a tylko lekcja. To okazja, aby się rozwijać i uczyć.

Na obozowisku ktoś opowiadał o przyjacielu, który podczas rekrutacji, w rozmowie kwalifikacyjnej wyraził się, że udało mu się dostać na studia, co dla rekruterów wystarczyło, aby go odrzucić. I słusznie, bo udać się może cioci Zosi kupić cebulę cukrową. Taki ulubiony przez Polaków zwrot sugeruje przypadkowość, brak kontroli nad pomyślnie zakończonym, przynoszącym oczekiwane efekty czynem. Coś nie do końca od nas zależnego, czemu nie przypisuje się sprawstwa. Tego rodzaju postawa pasuje co najwyżej do kontekstu loterii, konkursu czy zdrapki, gdzie bezsprzeczną rolę odgrywa fortuna. Niefortunny zwrot „udało się" jest po prostu złodziejem naszych sukcesów, bo nie można przez przypadek zdobyć Everestu czy przepłynąć oceanu samotnie. Dlatego absurdem jest pomniejszanie swojej roli w wykonaniu jakiegoś zadania czy planu i mimowolne oddanie zwycięstwa czemuś, czego nawet nie jesteśmy w stanie określić. Jako że nie jest ono zrządzeniem losu niebios, to po co uciekać się do bezosobowego i biernego „udało się"? „Tak, jak nic się samo nie zrobi, tak nic się samo nie udaje" – oświecał mnie kiedyś w Dąbrowie Białostockiej pan Józef. Słusznie byłoby położyć nacisk, określając osiągnięty wynik czasownikami w pierwszej osobie i w trybie dokonanym: zrobiłem, wykonałem, wygrałem, awansowałem, co ma zdecydowanie korzystniejszą wymowę, niż udało się zrobić czy udało się wygrać lub awansować. Taki nacisk wypowiedzi ma swoją moc i bardziej przekonująco rzutuje na podświadomość. Amerykanie czy Brytyjczycy, doceniając siebie, zawsze zaznaczą: „I did it", czyli „zrobiłem to", a statystyczny Polak pozostanie przy swojej defensywnej strategii: „Udało mi się".

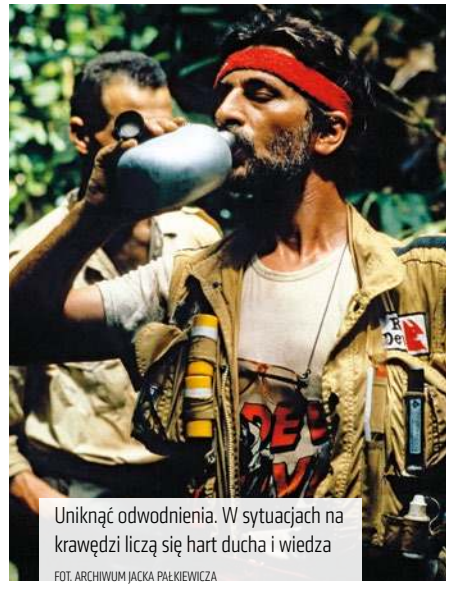

Uniknąć odwodnienia. W sytuacjach na krawędzi liczą się hart ducha i wiedza

FOT. ARCHIWUM JACKA PAŁKIEWICZA

Wreszcie, wyczerpani, dotknięci przez dyzenterię i malarię, ze zranionymi stopami, ale zwycięzcy, ubłoceni i cuchnący dowlekliśmy się do Samarindy, ostoi cywilizacji na drugim krańcu wyspy. Pozbywając się zwykłych ludzkich słabości, działając na granicy swej fizycznej i psychicznej wytrzymałości, dowiedliśmy, że każdy człowiek przymuszony do ciężkiej próby potrafi udźwignąć ciężar, którego w normalnych warunkach nigdy nie zdołałby unieść.

Zaliczyliśmy bezcenną lekcję, ponad miarę wartościowszą od wyniesionej z wyższej uczelni czy z podręcznika kształtowania własnej wartości. Nie wystarczy zapamiętać i uwierzyć w formułki, że ktokolwiek odpowiednio zmotywowany może pokonać każdą przeszkodę. Powinno się udowodnić swoją wartość, by wyróżnić się na tle innych. Zatem nic dziwnego, że certyfikat z tego unikatowego stażu stanowił w przyszłości dla wszystkich nobilitację oraz element godny umieszczenia na czołowym miejscu w swoim życiorysie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6f270c1a94

NISSAN ARIYA

Jak może wyglądać samochód przyszłości? Jedna z propozycji stoi już w salonach japońskiej marki. Ariya to najnowocześniejszy i najbardziej dopracowany model elektryka w parku Nissana. To również jeden z rzadkich na rynku przykładów elektryków, które naprawdę chce się mieć. I to nie tylko z powodu rządowych dopłat.

Futurystyczna, a jednocześnie pozbawiona zbędnych udziwnień bryła z wyraźnymi światłami do jazdy dziennej wyróżnia się z tłumu aut. Elegancją, pomysłowością i jakością wykonania wnętrza Nissan bije zaś na głowę wielu droższych konkurentów, co może być pozytywnym zaskoczeniem nawet dla fanów tej marki.

Testowany model nie został, rzecz jasna, stworzony dla miłośników zwinnych sportowych aut. Może się za to okazać świetnym wyborem dla rodzin, które noszą się z zamiarem przejścia ze spalinowego na elektrycznego crossovera do codziennego podróżowania po mieście i okolicach. Przestrzeni jest tu mnóstwo. Dobre wrażenie robi brak tunelu środkowego. Dodatkowo konsolę środkową można łatwo przesuwać do przodu lub do tyłu za pomocą jednego przycisku. Ruchomy podłokietnik? Ależ to fajne! Jest też elektrycznie otwierany schowek. To już przesada? Jasne, ale sąsiad zzieleniał z zazdrości, gdy to zobaczył, a to jedna z wielu przyczyn, dla których kupuje się nowe samochody. Ariya została stworzona na platformie zaprojektowanej specjalnie dla elektryków (CMF-EV) – i to czuć. Tunelu środkowego nie ma również z tyłu, a przestrzeni na tylnej kanapie i przed nią jest mnóstwo, co docenią nie tylko rodziny z dziećmi. Kufer ma pojemność 468 l przy napędzie na jedną oś albo 415 l przy napędzie na cztery koła. Bagażnik można wypełnić aż po podsufitkę, a i tak można cieszyć się dobrą widocznością w lusterku wstecznym – potrafi bowiem wyświetlać obraz z tylnej kamerki.

Kabina jest wykończona elegancko i minimalistycznie. Materiały są miłe w dotyku, a w stylizowanej na drewnianą listwie ukryte są podświetlane haptyczne przyciski. Drewno jest też na ruchomej konsoli centralnej, a nastrój w kabinie buduje system podświetlenia wewnętrznego. Kierowca ma do dyspozycji dwa ekrany o przekątnej ponad 12 cali. Fotele są wygodne, choć materiał, którymi są pokryte, sprawia wrażenie podatnego na zabrudzenia.

Uzbrojone w liczne systemy zwiększające bezpieczeństwo auto ma wystarczająco dużo mocy, aby dynamicznie przyspieszać. Testowana wersja z akumulatorem 87 kWh i napędem na jedną oś od 0 do 100 przyspiesza w 7,6 s.

Minusy? System multimedialny jest lepszy, ale miejsce na poprawę wciąż widzę. Większy mógłby być też zasięg. Teoretycznie w testowanej wersji z akumulatorem o pojemności 87 kWh to 533 km. W praktyce w zależności od stylu jazdy i pogody oscyluje on raczej w okolicach 400 km. Wariant podstawowy z akumulatorem 63 kWh kosztuje 219,9 tys. zł, a 87 kWh 244,2 tys. zł. Za wersję testową trzeba zapłacić ok. 300 tys. zł, a za najszybszy wariant („setkę" osiąga w 5,1 s) z akumulatorem 87 kWh i napędem na cztery łapy – 339,9 tys. zł. ©℗

HUAWEI P60 PRO

Imponujący aparat fotograficzny, oryginalne wzornictwo, bardzo dobra jakość wykonania, niezła wydajność oraz funkcja szybkiego ładowania 88W – to największe zalety najnowszego flagowca chińskiej firmy Huawei.

Testowany model smartfona został przez branżowe portale okrzyknięty najnowszym królem mobilnej fotografii. Huawei P60 Pro pozwala profesjonalistom rozwinąć skrzydła, umożliwiając w trybie pro manualne wprowadzenie kluczowych ustawień. Nie trzeba być jednak zawodowym fotografem, aby dostrzec, że ten smartfon nawet w trybie automatycznym pozwala robić naprawdę rewelacyjne zdjęcia, i to nawet w trudnych warunkach oświetleniowych. Na pochwałę zasługują zarówno wyjątkowo jasny obiektyw główny (48 Mpix) z laserowym autofocusem dziesięciostopniową przysłoną (f/1.4 do f/4.0), jak i obiektyw ultraszerokokątny oraz teleobiektyw. Zdjęcia są ostre i pełne szczegółów.

Kolejną zaletą tego smartfona jest design. Huawei P60 Pro w wersji perłowej zdołał się wyróżnić z tłumu konkurentów. Mimo mocno wystającej wyspy z aparatami smartfon w wersji imitującej masę perłową wygląda oryginalnie i elegancko. Spełnia również normę IP68, co oznacza, że jest odporny na kurz, pył oraz wodę. Podobać może się również wyświetlacz OLED o przekątnej 6,67 cala, rozdzielczości 2700 x 1220 i częstotliwości odświeżania ekranu 120 Hz, który pokryty został wytrzymałym szkłem Kunlun Glass.

Za wydajność odpowiada ośmiordzeniowy procesor Qualcomm SM8475 Snapdragon 8+ Gen 1, który współpracuje (w wariancie podstawowym) z 8 GB pamięci RAM. Nie jest to hit 2023 r., ale taki zestaw sprawia, że smartfon działa płynnie i umożliwia odpalenie najnowszych gier.

Jak na flagowca przystało, testowany model – wyposażony w baterię o pojemności 4815 mAh – oferuje bezprzewodowe ładowanie, a także szybkie ładowanie (88W).

Największym minusem tego modelu jest brak usług Google. Na szczęście Huawei zdążył już dopracować aplikację Mapy Petal zastępującą google'owskie mapy. W chińskim sklepie z aplikacjami można też znaleźć tysiące programów, w tym np. aplikacje polskich banków. Huawei konsekwentnie przekonuje jednak, że bez Google da się żyć. Druga wada wynikająca z amerykańskich sankcji to brak łączności 5G.

Wersja z 8 GB pamięci RAM i 256 GB pamięci na dane kosztuje 5499 zł. Wariant z 12 GB/512 GB to wydatek rzędu 6299 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X2)

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 6f270c1a94

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Grób kniazia Jaremy

Złożone w przeszklonej trumnie zwłoki księcia Jeremiego Michała Korybuta Wiśniowieckiego zwanego „Jaremą" są jedną z atrakcji klasztoru Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej na Świętym Krzyżu w Górach Świętokrzyskich. Jego legendę – jako dzielnego wojownika, jedynego, który mógł uratować Rzeczpospolitą przed kozakami Chmielnickiego – stworzył Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem". Za antylegendę zaś odpowiedzialny jest Olgierd Górka, atakujący bez pardonu Wiśniowieckiego, w imię pokazania prawdy historycznej o walkach Korony z Kozakami.

Nawet po śmierci Jarema nie zaznał spokoju. Jego szczątki były przewożone, przekładane, ubierane, być może spalone, wreszcie – stały się pokazową atrakcją. Jeremi Wiśniowiecki zmarł 20 sierpnia 1651 r. w obozie wojskowym w Pawołoczy, podczas drugiej części kampanii beresteckiej. Jego śmierć wywołała rozpacz w wojsku. Podejrzewano otrucie – kronikarz Natan Hannower pisał, że wielu panów zazdrościło sławy kniaziowi, wśród jego wrogów był sam hetman Mikołaj Potocki – choć oficjalne źródła mówią, że Wiśniowiecki umarł na skutek zatrucia pokarmowego po przepiciu. Była to częsta przypadłość w owych czasach; o mało nie zszedł na nią sam Jan Chryzostom Pasek. Jak pisał jeden z pamiętnikarzy: „Książę wtenczas zdrów i wesół był, napijając się z Imciami według potrzeby. Nazajutrz w poniedziałek, z pragnienia zjadł ogórków, potem miodu się napił, z czego żołądek zepsował i w gorączkę wpadł". Zarządzona sekcja zwłok nie wykazała trucizny: „Naleziono w nim niesłychanie tłustość wielką, kiszki tak łojem oblane, jako u wieprza nie mogą być tłustsze, serce tak tłustość oblała, że szpilką nie było gdzie tknąć i płuca bardzo zniszczały".

RYS. QBA

FOT. DOMENA PUBLICZNA

22 sierpnia rozpoczęła się tułaczka ciała Wiśniowieckiego – z wielką pompą, ale i z żalem wyprowadzono go za obóz. Kniaź w testamencie prosił, aby pochowano go w Wiśniowcu, jednak zwłoki przewieziono dalej, do Sokala. Powód – jak podaje Jan Widacki – był prosty: ród Wiśniowieckich był w ruinie na skutek kozackiego powstania, nie było za co wyprawić pogrzebu, zwłoki miały zatem pozostać czasowo na wygnaniu i zostać złożone z wielką ceremonią do grobu, kiedy sytuacja ulegnie uspokojeniu. Niestety, tak się nie stało. W 1653 r., być może na skutek nowych klęsk Rzeczypospolitej w wojnie z Kozaczyzną, wdowa przewiozła je do opactwa benedyktynów na Świętym Krzyżu, gdzie miały pozostawać jako swoisty „depozyt" do czasu pogrzebu. Jak czas pokazał, pozostały tam na zawsze, choć dalszy los szczątków okazał się wielką niewiadomą.

Jeszcze w XVIII w. pozostawały na miejscu, o czym wspominał ks. Jan Tomasz Józefowicz. Kłopot w tym, że w 1777 r. w opactwie wybuchł pożar, który zniszczył wszystkie budynki i być może spopielił zwłoki księcia Wiśniowieckiego. Czy jego pozostałości, udostępnione dziś w szklanej trumnie, są autentyczne? Niestety, nie. W 1980 r. badała je komisja specjalistów i to nie byle jakich – Jan Widacki, historyk i prodziekan katedry kryminalistyki Uniwersytetu Śląskiego, Jerzy Konieczny, doktor nauk prawnych, późniejszy szef UOP i biegły sądowy Zdzisław Marek. Nie potwierdzili oni autentyczności. Zgadzały się dwie poszlaki: szczątki należały do człowieka o wzroście ok. 162 cm, a z pamiętników wiadomo, że Jarema nie był wysoki. Zachowały się na nich ślady pomazania czarną substancją, być może smołą, tymczasem źródła historyczne podawały, że zwłoki zostały zasmołowane dla zapobieżenia rozkładowi. Nie zgadzają się jednak pozostałe charakterystyki. Po pierwsze szczątki należały do osoby, która żyła w XVII w., ale zmarła w wieku ok. 55 lat, a Wiśniowiecki miał wówczas 39. Po drugie, nie ma nich śladów sekcji. Kolejnym problemem jest to, że opisy śmierci kniazia pokazywały objawy podobne do zatrucia arsenem. Gdyby zatem został nim otruty, jego ślady powinny być i po wiekach obecne w szczątkach. Niczego takiego nie znaleziono.

Szczątki prezentowane dziś w krypcie klasztoru Misjonarzy Oblatów nie są zatem pozostałościami po Wiśniowieckim. Z drugiej jednak strony nie wiadomo nic o tym, aby prawdziwe zostały stamtąd kiedykolwiek wywiezione. Albo zatem zniszczył je pożar, albo po uporządkowaniu nie trafiły we właściwe miejsce. Na razie prochy Jeremiego stały się obiektem jeszcze jednej historycznej hucpy. W 2011 r. zostały ubrane w historyczny kostium księcia Jeremiego z filmu Jerzego Hoffmana „Ogniem i mieczem". Gest z jednej strony ciekawy, z drugiej – podtrzymujący kolejną historyczną mistyfikację. ©℗

eprasa.pl 6f270c1a94

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Smak wiosny

Rabarbar, czyli inaczej rzewień, właściwie jest warzywem, pochodzi z południowo-wschodniej Azji, a do Europy przez Wyspy Brytyjskie zawitał w XVIII w. wraz z emigracją ludności. Charakteryzuje się oryginalnym, mocnym smakiem i najlepiej go zjadać w towarzystwie truskawek, które nieco go tonują.

Odmian rabarbaru mamy kilkadziesiąt, ale szczególnie popularne to kędzierzawa i lekarska. Sezon na rabarbar trwa od późnej wiosny do początku lata i dlatego warto po niego sięgać szczególnie teraz, kiedy jest najświeższy i najsmaczniejszy. Pamiętajmy jednak, że liście rabarbaru są toksyczne – nie wolno ich jeść, ale za to łodygi to dosłownie bomba witaminowa!

Najbardziej lubimy rabarbar pod kruszonką, czyli popularne crumble, oraz tarty kruche. Możemy również wykorzystać rabarbar do dań wytrawnych i dodać go do duszonych mięs, jako dodatek dla złamania smaku i nadania lekkości. We Wrzeszczynie, czyli polskiej stolicy rabarbaru, wielokrotnie nagradzano wytrawne dania z rabarbarem, szczególnie ryby pod musem rabarbarowym czy kaczkę z sosem rabarbarowym i z imbirem. Na Bliskim Wschodzie popularna jest sałatka z rabarbaru i ogórków z dodatkiem mięty i z sokiem z cytryny – idealna do cięższych mięs czy tłustych ryb. Pamiętajmy, że rabarbar w małych ilościach możemy jeść na surowo, cieniutko pokrojony idealnie sprawdzi się w letnich sałatkach, ale my jednak preferujemy wersję z pieczonym rabarbarem. Warto próbować i eksperymentować z rabarbarem nie tylko w daniach słodkich, lecz także wytrawnych.

FOT. ADOBE STOCK

Sałatka z pieczonym rabarbarem i serem feta

• 1 opakowanie mixu sałat z rukolą • 1 garść pomidorków koktajlowych • 1 świeży ogórek • duża garść świeżych truskawek• 20 dag twardego sera koziego • 3 łodygi rabarbaru • ½ czerwonej cebuli • garść pestek słonecznika • 2 łyżki płynnego miodu

Sos:

• ½ szklanki oliwy z oliwek• 1 łyżka octu balsamicznego • ½ łyżki sosu sojowego • odrobina płynnego miodu • sok z ½ cytryny

Rabarbar opłukujemy i oczyszczamy, obieramy, kroimy na pięciocentymetrowe kawałki, skrapiamy miodem, piekarnik nagrzewamy do 200 st. C, rabarbar pieczemy ok. 10 min. Wyjmujemy, studzimy. Mix sałat wykładamy na misę, układamy pomidorki, ogórki pokrojone w drobne kawałki, ser feta, podprażone na suchej patelni pestki słonecznika, truskawki kroimy na mniejsze kawałki, a cebulkę na cieniutkie piórka. Wszystkie składniki sosu mieszamy energicznie, najlepiej w słoiku, i polewamy sałatę. Podajemy ze świeżą bagietką z pieczonym lub grillowanym mięsem. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Roz Chast

Tygodnik „New Yorker" czytam/przeglądam okazjonalnie. Jego rysownicy nie zawsze mnie śmieszą. Wyjątkiem jest Roz Chast. Jej proste, życiowe, czułe obrazki pobudzają do uśmiechu i do myślenia. Polubiłam Roz za to samo, za co uwielbiałam Sempégo: za prostą, delikatną kreskę, wrażliwą obserwację świata, zaskakującą pointę.

Postanowiłam poznać bliżej tę panią, moją rówieśniczkę skądinąd, i kupiłam jej rysunkową opowieść „Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym". Cóż to za lektura! Musiałam wydzielać sobie kawałki do czytania, żeby nie połknąć w całości naraz.

Można by powiedzieć: komiks. Ponieważ jestem pokoleniem, które ten gatunek uważa za dziecinno-młodzieżową i niezbyt mądrą rozrywkę, nie ośmielę się tak nazwać tej książeczki, choć ma wszystkie składniki komiksu. Ale nie, to nie komiks. „Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym" – tytuł mylący, bo w środku niekoniecznie rozmawia się o rzeczach przyjemnych. To opowieść o starych rodzicach, ich życiu, chorobie i umieraniu. Tydzień po tygodniu, miesiąc za miesiącem i dalej.

Roz Chast jest późnym i jedynym dzieckiem potomków żydowskich emigrantów z Rosji, którzy przybyli do Ameryki na przełomie XIX i XX w. (może i z Polski, która wtedy nie istniała na mapie). Jej rodzice – wicedyrektorka szkoły i nauczyciel francuskiego – całe życie mieszkali na Brooklynie, gdzie i ona się urodziła i wychowała. Potem następuje jakaś przerwa w kontaktach; Roz tego nie rozwija. Co się wydarzyło, nie wiadomo. Konflikt pokoleń? Dorosła córka nie odwiedza rodziców przez 10 lat.

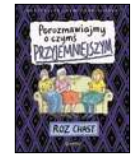

ROZ CHAST „POROZMAWIAJMY O CZYMŚ PRZYJEMNIEJSZYM" PUBLICAT S.A. 2019

Aż w końcu przyjeżdża na Brooklyn. Jest 9 września 2001 r. – zbieżność daty przypadkowa... Oni mają już koło dziewięćdziesiątki i są jeszcze w całkiem niezłej kondycji. Ona ma koło pięćdziesiątki, ma męża i dwoje dzieci. Dalej zdarza się to, co wiele dzieci starszych rodziców ma przed sobą, a niektórzy za sobą: powolny zjazd w dół. Choroby, upadki, niedołęstwo, konieczność całodobowej opieki. I wszystko, co się z tym wiąże: system amerykańskiej opieki społecznej i służby zdrowia działa niewiele lepiej niż u nas, za to dużo więcej kosztuje. Dla nieobytych z tematem to poradnik i przestroga. Przygotujcie się! Pieluchomajtki, balkoniki, amnezja, potłuczone kończyny, łóżka z opuszczanym oparciem, telefony w nocy ze szpitala...

Mogłoby być smutne i nudne, ale nie jest. Jest szczere, zabawne, inteligentne, mądre, pełne czułości i tak bardzo, bardzo prawdziwe! A jak narysowane! ©℗

eprasa.pl 6f270c1a94

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Maoista straszy

W Szwajcarii odbywa się posiedzenie WHO, rocznicowe, bo to już 75 lat działalności. Już świat się przyzwyczaił do końca pandemii, a tu szef organizacji Tedros Ghebreyesus popsuł wszystkim humory. Nie wiadomo, czy dlatego, że się człowiek przyzwyczaił do pandemii i trudno mu zejść ze światowego piedestału zarządzania największą przygodą cywilizacji, czy dlatego, że coś jest na rzeczy. Pan przewodniczący wezwał bowiem państwa do przygotowania się do następnych fal pandemii.

Może to być zwyczajowe straszenie, bo jesteśmy w procesie uzgadniania oddania w przypadku pandemii władzy światowej w ręce WHO, która będzie nie tylko ogłaszała pandemię, lecz także będzie zarządzała w każdym kraju lockdownami, terapiami, obostrzeniami i akcjami szczepiennymi, bez udziału państw członkowskich. Od 2024 r., a więc wszystko się ładnie zbiega. Na razie jesteśmy ekscytowani próbnymi balonami o jakichś wirusach egzotycznych, i to strasznie śmiertelnych.

Przy okazji ogłaszania tych ponurych wieści trochę się szef wygadał. Odbiło mu się, wyssanym z etiopskiej niewoli, maoizmem, którego jest (był?) wyznawcą. Może dlatego umieścili go na tym stanowisku wpływowi Chińczycy. Ghebreyesus bowiem stwierdził: „Jeśli nie dokonamy zmian, które muszą zostać wprowadzone, to kto to zrobi? A jeśli nie zrobimy ich teraz, to kiedy?". Przypomina to trochę leninowskie hasło przedrewolucyjne: „Wczoraj było za wcześnie, jutro będzie za późno – dziś!". Czyli te wszystkie światowe mechanizmy obostrzeniowe nie dość, że będą obowiązywać, to jeszcze przyspieszają.

Szef WHO wysypał się jeszcze bardziej. Motywując potrzebę wprowadzenia światowego traktatu pandemicznego, stwierdził: „Zaangażowanie tego pokolenia, do porozumienia w sprawie pandemii, jest ważne, ponieważ to pokolenie doświadczyło, jak okropny może być mały wirus". Tu miał Ghebreyesus postraszyć, że jak było tyle zachodu z byle patogenem, to co się będzie działo, jak przyjdzie „prawdziwa pandemia". A wyszło jak zwykle – bo takie podejście jest obecnie czytane, że to jednak świat dał się zwariować na punkcie „okropnego, acz małego wirusa". Trudno bowiem sobie wyobrazić jeszcze większe szaleństwo w przypadku kolejnej pandemii.

Ale brawa za odwagę, która dawniej kosztowałaby uznanie takiej wypowiedzi za płaskoziemstwo. Bo kiedyś tak karano Kasandry, które mówiły, że świat oszalał na punkcie wirusa o śmiertelności góra 0,15 proc. Dziś może to mówić szef organizacji, która postawiła z tego powodu świat na krawędzi zapaści. I nikt się nie dziwi. Długą przeszliśmy więc drogę. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Młodzi i racja stanu

Przeciążenie systemu opieki psychologicznej i psychiatrycznej dzieci i młodzieży jest faktem znanym. Według statystyk NFZ w 2021 r. z porady ambulatoryjnej skorzystało ok. 257 tys. dzieci i młodzieży, a 11 450 było hospitalizowanych. Natomiast w pierwszym półroczu 2022 r. było to odpowiednio: 216 tys. i 7665. Niestety, w chwili przygotowywania raportu nieznane były dane za cały rok 2022 (swoją drogą, w okresie walki z pandemią byliśmy bombardowani codziennie statystykami zakażeń COVID-19, a w kwietniu 2023 r. trudno o dostęp do danych za cały rok 2022).

Badania z 2021 r. pokazują, że liczba zgłoszeń po pomoc porad nie daje pełnego obrazu. Według szacunków IPIN ok. 10 proc. populacji dzieci i młodzieży (czyli ok. 700 tys.) wykazuje zaburzenia i wymaga pomocy. Zatem ogłoszenie raportu Instytutu Profilaktyki Zintegrowanej dr. Szymona Grzelaka przychodzi w samą porę. Publikacja „Jak wspierać młodzież w niestabilnym świecie? Wyzwania i rekomendacje dla wychowania, profilaktyki i ochrony zdrowia psychicznego po trudnych latach 2020–2022" to obszerne wyniki badań na grupie 80 tys. nastolatków, obejmujące czas pandemii i początek wojny na Ukrainie. Sporo porównań wychodzi poza ten okres. Autorski program Szymona Grzelaka „Archipelag skarbów" od 15 lat był realizowany w polskich szkołach (ostatnio również na Litwie i Malcie), więc baza badawcza jest imponująca. Raport nie koncentruje się tylko na opisaniu zjawiska, wskazaniu przyczyn i narzekaniu. Szymon Grzelak i jego współpracownicy zawarli w nim wnioski i rekomendacje. Tym, co jest szczególne w raporcie, jest odwaga spojrzenia w dłuższej perspektywie na zagadnienie, które, jak sam autor określa, jest polską racją stanu. Chodzi o demografię. Raport wskazuje, że zmniejsza się liczba uczniów deklarujących marzenia o rodzinie i dzieciach. Pokazuje tez, że „dzietność w marzeniach" występuje częściej u tych nastolatków, którzy: wskazują mamę jako ważnego przewodnika życiowego; wiara/religia mają duże znaczenie; mieli w swoim życiu kontakt z małżeństwami będącymi dla nich pozytywnym przykładem i wierzą w istnienie prawdziwej i trwałej miłości; uważają, że warto czekać z podejmowaniem kontaktów seksualnych do małżeństwa; czują się akceptowani w klasie, są „lokalnymi patriotami".

Ponieważ ministrem zdrowia jest człowiek, do którego nie można mieć zaufania, trzeba mieć nadzieję, że raport zostanie wnikliwie przestudiowany przez minister rodziny i polityki społecznej, a także przez ministra Przemysława Czarnka. Rok wyborczy to okazja, by o wnioski z tego raportu ich potem odpytać. ©℗

eprasa.pl 6f270c1a94

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Z Kubusiątka robią oprycha!

Przez kraj lament się przetoczył, gdyż Kubusiątko nam skazali. Stop. Kubusiątko lat ma 60, wyrok sądu nieprawomocny i nazwisko Wojewódzki, a na drugie imię Władysław, nie żartuję. Stop. Sąd stwierdził, że reklamowało (to Kubusiątko) alkohol w sieci w sposób niedozwolony, z ustawą o przeciwdziałaniu alkoholizmowi sprzeczny, wspólnie z byłym posłem, z penisem na wierzchu gumowym, Palikotem. Stop. Bądźmy jednak sprawiedliwi, w chwili reklamowania alkoholu skazani mieli wszystko pozapinane akurat. Stop. W związku z orzeczeniem sądowym aktywista Jan Śpiewak zażądał od TVN jakby wcześniejszej emerytury dla Kubusiątka, pisząc w mediach społecznościowych: „Po wyroku na Wojewódzkiego nie wyobrażam sobie, żeby TVN i »Polityka« kontynuowały z nim współpracę. Media, które mają na sztandarach praworządność i demokrację, nie mogą promować skazanego oprycha, który reklamował narkotyki nieletnim. Liczę, że rozwiążą z nim umowy". Stop. O ewentualnej emeryturze będziemy informować. Stop.

Tymczasem Donald Tusk udzielił wywiadu mediom na temat tego, jak zachowywać mają się media wobec niego, bo te media najwidoczniej nie wiedziały. Stop. Oto wiekopomny cytat z Tuska: „Oczekuję od mediów krytycznego podejścia do rządzących, a nie do opozycji. Demokracja w Polsce jest zagrożona m.in. dlatego, że także niezależne media uważają, że dużo łatwiej skakać po opozycji niż po władzy". Stop. Powiedzmy wprost: Jakiekolwiek krytykowanie opozycji to hańba, hańba, po trzykroć hańba! Stop.

A teraz ciekawostka z Nowego Jorku, która furorowała także w Polsce. Stop. Osobopostać Dylan Miles, która urodziła się mężczyzną i jest w czasie przekształcania się w Ali Miles, to znaczy w kobietę, ale się jeszcze nie przekształciła, zażądała 5 mln dol. od takich joginów, którzy nie chcieli osobopostaci wpuścić do damskiej szatni. Stop. Jogini to ludzie mili i pewnie nie robiliby problemów, ale osobopostać miała zarost na twarzy jak facet i twarz jak facet i jak facet elementy, których tu wymieniać się nie godzi. Stop. Kobiety, które przyszły na świat jako kobiety, bez przemieniania, mogłyby czuć się przez osobopostać molestowane i jogini by zbankrutowali. Stop. Jak to wszystko pogodzić, kruca bomba? Stop.

Niemieckie media podały, że Polska i Wietnam należą do najszybciej rozwijających się krajów świata. Stop. Myślę, że Donald Tusk powinien niemieckim dziennikarzom urządzić pogadankę na temat odpowiedzialności za słowo pisane i mówione. Stop. Przy takich publikacjach to się reżimu nie obali. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Z życia pszczół

W Warszawie odbyła się właśnie konwencja programowa Prawa i Sprawiedliwości, intrygująco nazwana przez sztabowców „Programowym Ulem". Jak oświadczył europoseł Tomasz Poręba w rozmowie z PAP, nazwa ta nie jest przypadkowa. Zgodnie z zaprezentowaną przez posła interpretacją powinna się ona skojarzyć z nadzwyczajną pracowitością, przypisywaną powszechnie działaczom partii rządzącej.

Pracowitość pszczelich robotnic jest rzeczywiście niezwykła. Równie ciekawa jest jednak organizacja całego ula. Pierwsza wygryzająca się w ulu królowa ma za zadanie zabić swoje konkurentki. Będzie je żądlić nawet wtedy, gdy niewyklute pozostają w swoich komórkach. Jeśli dwie królowe wyklują się jednocześnie, to przy życiu może pozostać tylko jedna.

Pszczeli ul to wspólnota skrajnie zdyscyplinowana, a także silnie od siebie zależna. Jak pisał cesarz filozof Marek Aureliusz: „Co nie jest użyteczne dla roju, nie jest też z pożytkiem dla pszczoły". Nie ma więc w ulu miejsca na debaty czy indywidualne decyzje. Pszczoły robotnice sprawują nad swoją władczynią troskliwą opiekę, karmiąc ją i chroniąc przed intruzami. Co ciekawe, w sytuacji, kiedy w gnieździe zabraknie matki (i, co za tym idzie, również jej feromonów), pszczoły przestają bronić swojego domu przed niechcianymi osobnikami i dochodzi do masowych rabunków w obrębie gniazda. Rola królowej pszczół jest więc nieoceniona – stanowi ona tzw. serce ula.

Równie intrygująca jest w pszczelej rodzinie rola trutni. Jest ich w ulu kilka tysięcy, co stanowi ok. 10 proc. pszczelej populacji. Zadaniem każdego z nich jest zapłodnienie królowej matki, choć udaje się to tylko nielicznym. Pszczelarze twierdzą, że podczas odbywanego raz w życiu lotu godowego królowej matki zbliża się do niej co najwyżej kilka trutni. Przygoda ta kończy się dla każdego z nich fatalnie. W najgorętszej fazie aktu miłosnego pszczelemu kawalerowi eksplodują jądra. Szczątki padają na ziemię, choć jeden z fragmentów trutnia wciąż pozostaje w ciele zapłodnionej królowej. Ma to ewolucyjny sens – urwany w eksplozji narząd blokuje konkurentom możliwość przekazania własnego materiału genetycznego.

Niektórzy pszczelarze mówią, że w letnim powietrzu daje się czasem usłyszeć dźwięk wybuchających z miłości trutni. Sprzyjają temu wysokie temperatury – trutnie w ulu zaczynają ejakulować i eksplodować samoistnie, gdy temperatura przekracza 35 st. C. Powyżej 42 st. C przy życiu pozostaje ledwie połowa z nich.

Polityczne lato zapowiada się w tym roku wyjątkowo gorąco. ©℗

eprasa.pl 6f270c1a94

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Gdzie się podziała Solidarność?

ANDRZEJ NOWAK

Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie" – słowa kanclerza Zamoyskiego, powtarzane przez pokolenia, wydają się może pustym sloganem. Ale nie są. Nad jego praktycznym znaczeniem można się zastanowić na kanwie wyników badania pamięci historycznej młodego pokolenia, wykonanego na zlecenie IPN, a przywołanego już krótko przeze mnie w poprzednim felietonie na tych łamach. Przypomnę tylko, że w badaniu przeprowadzono analizę odpowiedzi ankietowych reprezentatywnej grupy 6 tys. osób: nauczycieli historii, uczniów szkół średnich oraz Polaków powyżej 20. roku życia, celem zbadania w takim kontekście postaw młodych ludzi (uczniów) wobec przeszłości.

Wyniki ukazują niewątpliwie skutki oddziaływania edukacji szkolnej – lub też luk w niej występujących. Oto kilka szczegółów. Najpierw: odpowiedź na pytanie o główne źródło wiedzy historycznej (respondenci mogli podać najwyżej trzy takie źródła). Zdecydowanie najczęściej wskazali dwa: lekcje szkolne (56 proc.) oraz Internet i gry komputerowe (59 proc.); dla porównania książki – 10 proc. Książki zaś to niewątpliwie w znacznym stopniu szkolne lektury, podobnie jak uznane za najatrakcyjniejsze przekaźniki wiedzy historycznej filmy to ekranizacje lektur.

Wśród ulubionych książek historycznych uczniowie wymieniają na pierwszym miejscu „Kamienie na szaniec" Kamińskiego (55 proc.), na kolejnych miejscach, już zaledwie po kilka procent: 2. „Potop", 3. „Krzyżaków", 4. „Chłopców z placu broni", 5. „Dywizjon 303". Wśród całej reszty Polaków powyżej 20. roku życia, dodajmy, nadal wygrywa bezapelacyjnie Sienkiewicz („Potop", „Krzyżacy", „Ogniem i mieczem" i „Pan Wołodyjowski").

Z postaci i wydarzeń budzących ciekawość uczniowie wybierali najczęściej Józefa Piłsudskiego, drugą wojnę, Jana Bytnara „Rudego", Tadeusza Zawadzkiego „Zośkę", powstanie warszawskie oraz Aleksego Dawidowskiego „Alka". Jan Paweł II zajmuje miejsce 10. (chce go lepiej poznać 2 proc. uczniów). Kanon antybohaterów, których się wstydzimy, tworzą dla uczniów, w kolejności od najgorszego: Stanisław August Poniatowski, Jaruzelski, Wałęsa, Jan Paweł II (!), Piłsudski, Bierut, Bogusław i Janusz Radziwiłłowie, Mickiewicz, Henryk Walezy, Gomułka (o kampanii hejtu wobec papieża wiem. Ale czym Mickiewicz zasłużył, by znaleźć się na tej czarnej liście, tuż za Bierutem, a przed Gomułką? Czy tym, że w niektórych szkołach trzeba jeszcze się uczyć fragmentów „Pana Tadeusza" na pamięć?). Wśród wydarzeń wywołujących dumę uczniowie wskazują na pierwszym miejscu odzyskanie niepodległości (1918 r.), powstanie warszawskie, Grunwald, Chrzest Polski, Bitwę Warszawską, udział Polaków w drugiej wojnie, Westerplatte, powstanie listopadowe. Obalenie komunizmu pojawia się dopiero na 9. miejscu.

Poparcie dla rozliczeń z dziedzictwem PRL wyraziło zaledwie 47 proc. uczniów, przy wskaźniku 69 proc. u dorosłych Polaków i aż 82 proc. u nauczycieli. Szok budzi miejsce Solidarności w rankingu wydarzeń o istotnym znaczeniu dla historii Polski. U uczniów jest to miejsce 31.! Bez porównania niższe niż u dorosłych Polaków. Podobnie jest z oceną historycznego znaczenia pontyfikatu Jana Pawła II (w tym pielgrzymek do Polski) – takie znaczenie wskazuje 0,5 proc. uczniów, a dla porównania – 11 proc. dorosłych Polaków.

Tyle wynika z edukacji licealistów, którzy jeszcze nie mieli przedmiotu historia i teraźniejszość. To chyba najprostszy wniosek, jaki wysnuć można z badania. Utrzymująca się do 2021 r. praktyka spychania historii najnowszej na margines, a właściwie poza margines nauczania szkolnego, w połączeniu z promowaną przez najbardziej wpływowe media amnezją historyczną (z wyjątkiem przedstawianej jako gra drugiej wojny światowej) sprawiły, że młodzi ludzie wchodzili – przynajmniej do 2022 r. – w dorosłe życie bez żadnej orientacji odnośnie tego, czym był PRL, czym komunistyczne zniewolenie, czym absolutnie wyjątkowy fenomen Solidarności i jego znaczenie dla pogrzebania sowieckiej dominacji nad Europą Wschodnią. A w związku z tym również Jan Paweł II mógł pozostać tylko postacią z memów, promowanych przez ośrodki „emancypacji" Polski z jej „złej" historii i z „katociemnogrodu".

Czy choć odrobinę uda się ten stan rzeczy zmienić? Warto próbować.

Jakże bym chciał, żeby młodzi ludzie mogli jeszcze na lekcjach historii skorzystać ze świadectw ludzi, którzy o wolność walczyli – i tysiącami wsadzani byli do więzień, a nie zapomnieli również setek tych, którzy – niestety – ginęli z rąk znanych i „nieznanych" sprawców. Aby usłyszeli również, co znaczyła nadzieja, którą dawał wtedy człowiek w białej sutannie, który nas podnosił do wolności właśnie i dźwigał z upadku, w którym przytrzymać chciały Polskę stan wojenny i moskiewska junta z piastowskim orzełkiem na hełmach… ©℗

eprasa.pl 6f270c1a94

PO MĘSKU

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Jak należy rozmawiać z muzułmanami? Po męsku. Twardo. Inna rozmowa prowadzi donikąd. To kwestia kultury, przyzwyczajeń, obyczajów. Po męsku i twardo niekoniecznie oznacza wrogość i konflikt. Żeby cię muzułmanie chcieli słuchać, muszą cię szanować, a szanują tylko tych, którzy z nimi gadają po męsku. Dlatego pan Duda w rozmowie z muzułmanami nie załatwił nic, a taki… Erdoğan lub jakiś Fidel Castro albo Putin załatwi przynajmniej tyle, że go wysłuchają z uwagą i wezmą pod rozwagę to, co mówił.

A z tymi z Afganistanu? Jak rozmawiać z talibami? Albo wcale, albo z pozycji siły, czyli tak, jak oni rozmawiają pomiędzy sobą. Rżną się w okrutny sposób z powodu pastwisk dla owiec i kóz. Raz do roku odbywają wojny o pastwiska i kto taką wojenkę wygra, ten ma pastwiska, a kto przegra, ten się szykuje do kolejnej wojny za rok, a na razie zżera swoje zdychające kozy, które nie mają co jeść. Dlatego żadne „zabiegi dyplomatyczne" w takiej kulturze nie mają sensu. Grzeczne rozmowy z kimś, kto właśnie rozwalił swojego kuzyna z powodu pastwiska? No przecież od razu wiadomo, że to bez sensu.

***

A jak z nimi gadał Trump? Z okazji kampanii wyborczej w USA wypłynęła jedna taka rozmowa. Trump gadał z talibami SKUTECZNIE, a skutek był taki, że przez 18 miesięcy nie zginął żaden amerykański żołnierz – zamachy ustały do zera. Na czym polegała tamta rozmowa?

Najpierw Trump zrzucił im na głowę największą bombę konwencjonalną, jaka istnieje. (Kolejne, większe, są już atomowe). Nie celował w nic konkretnego – rozwalił pastwiska i kozy, bo to rozumieją. A potem sprawnie dogadał się z przywódcą Talibanu, Abdulem. Dogadał się, że Amerykanie z Afganistanu wyjadą, ale zatrzymają sobie na zawsze lotnisko Bagram i bazę wojskową dookoła, czyli coś, co sami zbudowali na pustym afgańskim polu. To lotnisko leży o jedną godzinę lotu od miejsca, gdzie Chiny produkują swoje pociski nuklearne. Jest punktem tak samo strategicznym, jak baza Guantanamo na Kubie.

W tamtej rozmowie o zakończeniu afgańskiej wojny Abdul zwracał się do Trumpa per „ekscelencjo", choć oficjalnie taki tytuł Trumpowi nie przysługiwał. Natomiast Trump zwracał się do Abdula per „Abdulu".

Abdul do Trumpa: Ekscelencjo…

Trump do Abdula: Słucham, Abdulu.

Abdul: Ekscelencjo, czemu mi Pan przysłał fotografię mojego domu?

Trump: Sam się domyśl, Abdulu.

***

W podobny sposób Trump rozmawiał z Putinem i dzisiaj już nawet lewackie media uważają, że taka forma rozmowy jest właściwa, ale wtedy… Wtedy rozpętało się pandemonium, że Trump się z Putinem DOGADUJE. Formalnie prawda, bo, owszem, „dogadali" się, ale na podobnej zasadzie, co z Abdulem.

Najpierw Trump zablokował Ruskim gazociąg Nord Stream 2, a potem się spotkali pogadać o Ukrainie. Trump wysłuchał roszczeń Putina, że Ukraina to kolebka Rosji, carów, Cerkwi, pierwsza ruska stolica była w Kijowie i tak dalej. A potem Trump powiedział Putinowi, że wszystko rozumie, ale nic z tego – po męsku. Jeżeli najedziesz Ukrainę, to ci zrobię coś „brzydkiego" – powiedział Trump. Na co Putin: Nic „brzydkiego" mi nie zrobisz. Trump spokojnie i po męsku: Zrobię.

Putin nie bardzo wierzył, ale… „nie bardzo" oznaczało w tym przypadku że „Trump na 90 proc. nic mi nie zrobi, no ale istnieje jeszcze to niewiadome 10 proc.". Za czasów Trumpa Rosja siedziała cicho i wojny nie było. Za czasów Trumpa również Chiny zachowywały się poprawnie, jeżeli chodzi o Tajwan, bo na temat Tajwanu rozmowa była taka jak z Abdulem i Putinem; i wystarczało 10 proc. niepewności.

Dziś w Białym Domu nie ma mężczyzn, Ameryka z nikim nie prowadzi męskiej rozmowy. W NATO też nie widać mężczyzn gotowych na męskie rozmowy z kimkolwiek.

***

Wróćmy na chwilę do Afganistanu i jeszcze do Iraku. Ameryka obiecała Polsce, że w zamian za nasz koalicyjny wkład dostaniemy konkretne inwestycje na tamtym terenie. Czy ktokolwiek z polskiego rządu rozmawia teraz po męsku z administracją Bidena o pieniądzach za tamte wojny? No bo skoro wojna w Iraku została „zrobiona" na bazie fałszywych papierów (żadnej broni masowego rażenia w Iraku nigdy nie było, a to był powód rozpoczęcia tamtej wojny), a wojna w Afganistanie została zakończona ucieczką na rozkaz Bidena i porzuceniem sojuszników, to w obu tych przypadkach jest o czym gadać. Po męsku byłoby się teraz upomnieć o jakieś dochodowe koncesje, no choćby o zezwolenia na pracę dla Polaków w USA.

***

Krzysztof Skowroński zadał mi w Radiu Wnet trudne pytanie: Wolisz, żeby wygrał Putin czy Zełenski? Przenieśmy to pytanie do Ziemi Świętej (bo te wojny są do siebie podobne) – czy wolałbyś, żeby wygrali Żydzi czy Palestyńczycy? Każda z odpowiedzi oznacza wykończenie drugiej strony. Wolisz, żeby Żydzi wykończyli Palestyńców czy żeby Hamas zrobił Żydom drugi Holokaust?

Pytania o to, kogo byś wolał jako zwycięzcę, mają sens w rozgrywkach sportowych, ale tu rozmawiamy o rozgrywce wojennej. Zastanów się, co oznacza dla Polski i świata zwycięstwo Zełenskiego (czyli odpowiedź „poprawna"). Zwycięstwo Zełenskiego oznacza, że Rosja została pokonana, mocarstwo atomowe padło. Zanim padnie, będzie się bronić WSZYSTKIM, co ma, czyli zwycięstwo Zełenskiego oznacza, że mieliśmy do czynienia z konfliktem nuklearnym, który Rosja jakoś przegrała. Ktoś uważa inaczej? Zełenski pokona Rosję? Jak? Wjedzie do Moskwy, zbombarduje Kreml, naruszy granice i zagarnie terytoria Putina? W każdym z tych przypadków Ruscy odpowiedzą siłą i jeżeli nie będą mieli już żadnej innej siły, to użyją swojej siły atomowej.

Trump na to pytanie odpowiedział tak: Zamiast się zastanawiać, kto ma wygrać, należy tę wojnę natychmiast zatrzymać, bo po obu stronach giną ludzie i rozmawiamy o synach, ojcach, mężach, o dzieciach i cywilach... W tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdyby nikt tej wojny nie wygrał. ©℗

eprasa.pl 6f270c1a94

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

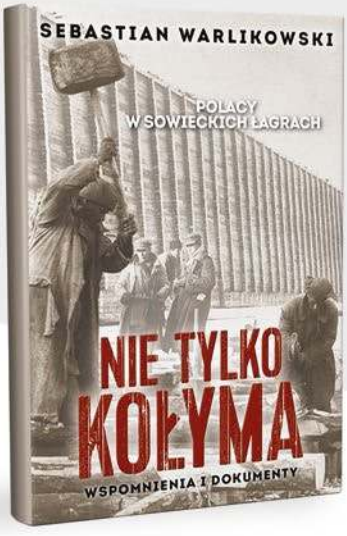

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SEBASTIAN WARLIKOWSKI: „POLACY W SOWIECKICH ŁAGRACH. NIE TYLKO KOŁYMA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~929~~ZŁ

346,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 583ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 6f270c1a94

NARODOWY BANK POLSKI

GŁÓWNE PRZYCZYNY INFLACJI:

1. Agresja rosyjska w Ukrainie
2. Pandemia i jej skutki

Obciążanie NBP i rządu winą za wysoką inflację to narracja Kremla.

Inflacja w krajach Europy Środkowo-Wschodniej

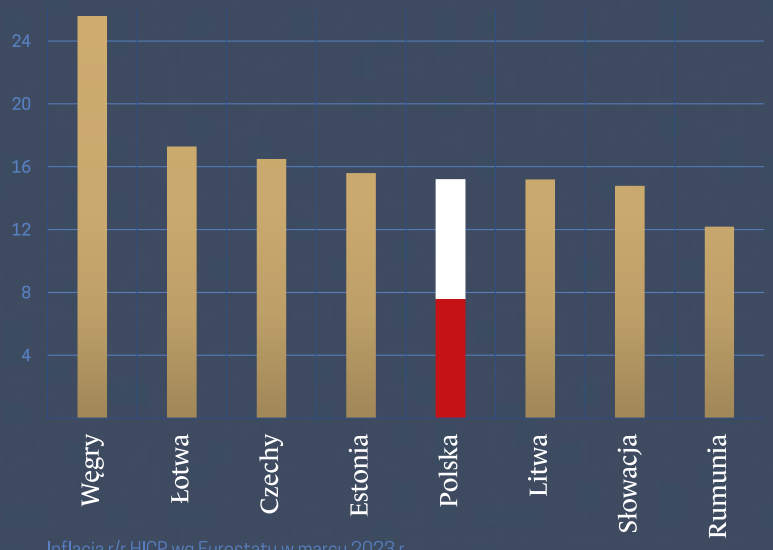

Inflacja r/r HICP wg Eurostatu w marcu 2023 r.

prezes.nbp.pl/wywiad-inflacja

eprasa.pl 6f270c1a94